Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 3 (1294) ROK XXVI 15 STYCZNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

- Podzwonne tragedii słubickiej
- Wiejskim gościńcem do socjalizmu

Przepychanka na lodach Antarktydy

HENRYK SROCZYŃSKI

czytaj 16

JERZY PANASEWICZ

WOKÓŁ TEATRU

Niespodziewane WEJŚCIE SMOKA

Na łamach „Polityki" (numer 45 z 25 grudnia ub. r.) odezwał się Pan Smok, najstraszliwsza potwora naszej publicystyki, czyli Zygmunt Kałużyński we własnej osobie. Zapodał mało, ale smacznie, niby Benia Krzyk, zwany Królem, a zarazem tak sprytnie jakoś, że niespodziewanie wkroczył w samo sedno leniwie toczącej się na łamach „Odgłosów" dyskusji, o której najpewniej nic zresztą nie słyszał.

Zacytujmy:

„Najwyraźniej nie wystarczy ograniczyć się do ustawienia bariery powstrzymującej mierzwę: sztuka popularna u nas potrzebuje jeszcze czegoś: promocji. Otóż ta prawie nie istnieje. Dlaczego? Jest to sprawa mentalności kulturalnej: atmosfery, mody, presji stwarzanej przez środowiska, które wybierają, popierają, aprobują. Otóż ta nasza mentalność tkwi wciąż w wieku XIX. Istnieje podział między dwiema sferami kultury tego wieku: akademicką oraz popularną, wyłonioną w ostatnich dziesięcioleciach, i jest on wciąż zdecydowany, uparty, sztucznie podtrzymywany, i w rezultacie archaiczny".

Tyle dla zachęty, zaś co do dyskusji, to było z nią tak.

2.

Najpierw — nawiązując do oceny minionego sezonu dokonanej przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi — w artykule **„Wiele pytań, mało odpowiedzi"** („Odgłosy" z 12 listopada 1982) pomarudziłem nieco, iż ani nie pławimy się w nadmiarze scenicznych wydarzeń, ani też — co smutniejsze — nie potrafimy robić teatru prawdziwie masowego, zdolnego przyciągnąć na widownię szersze kręgi publiczności.

„Pogódźmy się tedy wreszcie z faktami — pisałem — **choćby bardzo nawet miały być niemiłe, przestańmy bajać o ambicjach, tradycjach i wieloletniej pracy nad wychowaniem teatralnego widza, bo rzeczywistość skrzeczy, publiczności nie ma, a co gorsza tak naprawdę — przynajmniej na przedstawieniach trudniejszych — niemal nigdy nie było".**

Proponowałem też, iżby na serio zabrać się do kruszenia zastygłych struktur, a teatralną piramidę zacząć budować ponownie i od dołu, a więc od dziecięcego widza, który na każdej ze scen, nie tylko lalkowych, powinien coś dla siebie znaleźć. Marzył mi się repertuar, a może nawet teatr, dla „nastolatków", którzy wyrastając z krótkich majtek gubią się też z pola widzenia, z kolei dorosłym scenom — przyznaję, wbrew dobremu tonowi i modzie — doradzałem repertuar bardziej popularny, miast mnożenia super-ambitnych spektakli granych przy pustawej sali.

Niezbyt to było wyważone, trochę mało konkretne, powinienem był może mocniej podeprzeć się statystyką, w każdym bądź razie tezy, iż puste krzesła nijak nie poddają się teatralnej edukacji, nadal gotów jestem bronić.

W polemicznym tekście **„Światła we mgle"** („Odgłosy" z 3 grudnia 82), powołując się na kilka istotnie interesujących realizacji z bieżącego już sezonu, Ewa Pankiewicz spróbowała nieco bardziej optymistycznie ocenić aktualną kondycję łódzkiego teatru, podjęła zarazem — rzekłbym — spór o pryncypia.

9

„(...) Nie jestem pewna — pisała — **czy**

Tu Dziś jest początkiem Jutra

EUGENIUSZ IWANICKI

Kilkanaście lat temu, kiedy włóczyliśmy się z Jurkiem Kissonem po nocnym Piotrkowie i kiedy z głębokiego mroku w żółtym świetle lamp jawiły nam się mury starych kościołów pamiętających Jagiellonów, mój towarzysz powiedział: *„Tu wszędzie dotyka się historii. W tym mieście Dziś jest przedłużeniem Wczoraj i początkiem Jutra".*

Zapamiętałem te słowa. Oddają one bowiem treść i sens tego wszystkiego, co dzieje się w tym mieście. Historia jest tu w każdej kamieniczce, w ulicach biegnących raz w górę, raz łagodnym spadem w dół, w usytuowaniu placów. Iluż mężów stanu, ilu sławnych ludzi związało swoje życie z tym miastem? Ileż było tu szlacheckich zjazdów, sejmików, sejmów, synodów, elekcji królewskich?

Najnowsze dzieje także nie pozostawiły miasta w zapomnieniu: powstają manufaktury, huty szkła, formuje się klasa robotnicza, rodzą się pierwsze protesty, strajki i starcia z rodzimym i obcym kapitałem, walki z najeźdźcą w okresie okupacji, a po wojnie mozolna odbudowa i rozbudowa, rozwój przemysłu maszynowego, dziewiarskiego, meblowego, spożywczego, elektrotechnicznego. Gwałtownie zwiększył się obszar miasta, ludność osiągnęła liczbę 75 tysięcy!

Teraz mógłbym napisać o dynamicznym rozwoju poszczególnych działów gospodarki, wykazać na podstawie statystyki ile, czego i jak szybko dokonano, podsumować osiągnięcia kulturalne i oświatowe, wspomnieć o świadomości klasy robotniczej, która nie szczędząc rąk przysparza miastu i krajowi... Mógłbym użyć słów wzniosłych i patetycznych, słów od święta i od akademii dla przedstawienia Piotrkowa jako miasta, gdzie aż kipi od inicjatyw, pomysłów, zamiarów i chęci. Ale byłby to obraz fałszywy, z gruntu zakłamany, wykrzywiony i tendencyjny. Bowiem Piotrków, jak cała Polska, przeżywa swój kryzys, egzystuje w ramach reglamentacji, ograniczeń i kredytów MM. I jak cała Polska usiłuje rozwiązać tysiąc i jeden problemów, które ze szczególną ostrością wystąpiły w latach załamania gospodarczego. To piękne miasto stara się jak może łączyć owe Wczoraj z trudnym Dziś, choć do pokonania są niebotyczne przeszkody, a do rozwiązania — obok spraw zaległych — sprawy nowe.

I tak oto, w trosce, z oceną realnych możliwości, powstał „Raport o stanie miasta Piotrkowa Trybunalskiego". Zatwierdzony w dniu 8 X.1982 r. na wspólnej sesji Prezydium Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, a miesiąc później na egzekutywie Komitetu Miejskiego PZPR, stał się dokumentem który przez wiele lat będzie stanowił swoisty rejestr potrzeb dla władz politycznych i administracyjnych miasta. Na moje pytanie, co spowodowało opracowanie takiego dokumentu, Prezydent miasta Piotrkowa Trybunalskiego HENRYK ARTOWICZ, odpowiedział:

— *Wszystkie zagadnienia dotyczące Piotrkowa do 1990 roku stały się na dzień dzisiejszy nieaktualne. Perspektywiczne zagospodarowanie miasta opracowane w latach 1976—77 ujmowało zagadnienie rozbudowy Piotrkowa do wielkości 100 tys. Ale ograniczenia, jakie weszły w latach 1980—81 spowodowały konieczność urealnienia tych planów. W związku z tym zaszła konieczność opracowania „Raportu o stanie Piotrkowa" w każdej jego dziedzinie społeczno-gospodarczej i dokonania wyboru najbardziej pilnych przedsięwzięć, które są niezbędne do*

3

Przegląd prasy

CAŁE SPOŁECZEŃSTWO, TO ZNACZY KTO?

To pytanie warto sobie i innym zadawać, kiedy słyszy się stwierdzenie, że *„społeczeństwo uważa"*, że *„społeczeństwo domaga się, odrzuca, potępia, popiera"*. Społeczeństwo nie jest bowiem jednolite i rzadko kiedy zgodne w swoich poglądach. Przypomina o tym Mieczysław F. Rakowski w „KONTRASTACH" (nr 2 z grudnia 1982 r.). Przypomina też o dezaktualizacji poglądów obowiązujących przed sierpniem 1980 roku, a głoszących o *„jedności moralno-politycznej narodu"*, o *„budowie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego"*, o tym, że *„społeczeństwo polskie popiera (albo potępia)"*. Sformułowań takich używali różni działacze i politycy. Po sierpniu 1980 roku szybko o tym zapomnieli, gdyż nie odpowiadały one rzeczywistości.

Ale poglądy takie i takie sformułowania rychło przyjęli inni. *„Powstały na jesieni związek* — pisze M. F. Rakowski — *potrzebował niewiele czasu, by zakochać się we wszechuogólniających formułach. Szczególnie chętnie korzystał z nich we wszystkich sprawach, które dotyczyły stosunków na linii społeczeństwo — władza"*. A społeczeństwo nie było ani jednolite i jednakowo myślące przed sierpniem 1980 roku, ani — tym bardziej — po sierpniu 1980 roku, ani również po grudniu 1981 roku. Nie jest zresztą i dziś. Nie wszyscy chcą o tym pamiętać.

„Otóż okazuje się — pisze M. F. Rakowski — *że w niektórych środowiskach skłonność do uogólnień na linii społeczeństwo — władza nadal istnieje. Ba, nie tylko istnieje, lecz bujnie kwitnie. Teraz okazuje się, że całe społeczeństwo jest przeciw stanowi wojennemu, całe społeczeństwo ma negatywny stosunek do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, całe społeczeństwo wzdycha za „Solidarnością", całe społeczeństwo popiera idee powrotu do Polski przedgrudniowej itp."*

Taki pogląd M. F. Rakowski nazywa mitem. I słusznie. Społeczeństwo jest bowiem w swych poglądach i postawach podzielone. Są ludzie, którzy byli za zniesieniem stanu wojennego, ale i tacy, którzy się tego obawiali. Byli tacy, którzy uznawali tylko potrzebę zawieszenia stanu wojenego, ale są i tacy, którzy są z tego niezadowoleni i to z różnych powodów. Jedni uważają, że stało się to za wcześnie, inni, że to za mało. Ale — przypomina M. F. Rakowski — *„między postawami skrajnymi istnieje cała gama postaw pośrednich i neutralnych"*. Kto więc tego nie widzi, albo nie umie dostrzec, albo nie chce dostrzec, ten *„albo chce przebywać w krainie fantazji, albo też jest cynicznym graczem politycznym"*. I M. F. Rakowski nie ukrywa, że to ostatnie podejrzenie jest mu bliższe.

Jak bardzo nasza rzeczywistość jest zróżnicowana, co prawda w innej sferze, ale ma ona również wpływ i na społeczne poglądy, pokazuje publikacja „ŻYCIA GOSPODARCZEGO" (nr 1 z 2 stycznia 1983 r.). Jest to rozmowa Grażyny Smulskiej z dyrektorem Departamentu Badań Społecznych GUS, doc. dr hab. Janem Kordosem. Rozmowa ta zaczyna się od pytania:

JAK ŻYJEMY?

Ale z treści tej rozmowy wynika, że możemy dowiedzieć się tylko o tym, jak żyliśmy w 1982 roku w porównaniu z rokiem 1981. Statystycy dysponują oczywiście różnymi metodami badawczymi, ale dziś — w okresie kryzysu — trudno jest o precyzyjne porównania.

GUS bada 9 tysięcy gospodarstw domowych. Grażyna Smulska wyraża w związku z tym wątpliwość, czy nie jest to *„mała zbiorowość w stosunku do 10 mln gospodarstw"*? Okazuje się, że nie. W innych krajach bada się bowiem tylko 5 tysięcy gospodarstw domowych i to wystarcza dla uzyskania obrazu poziomu życia. Decydują bowiem metody badań. A przy okazji Jan Kordos powiada, że *„nie jest łatwo uzyskać dokładne dane, gdyż niektóre informacje są systematycznie zaniżane"*. I to nie tylko u nas. W innych krajach też. Otóż, jak się okazuje, *„badane gospodarstwa domowe zaniżają zwykle dochody o charakterze niestałym, wydatki na alkohol, na wyroby tytoniowe i gastronomię"* Mężczyźni — można przypuszczać — nie przyznają się do zaskórniaków. Co wtedy robią statystycy? *„Aby uzyskać poprawne informacje niezbędne są pewne korekty na podstawie danych z innych źródeł"* Statystycy, choć obracają się wśród liczb, muszą dobrze znać życie.

Jeśli chodzi o metody badań to stosuje się ciągłe i rotacyjne Ciągła metoda jest niezwykle uciążliwa dla badanego. Według tej metody *„wybrane gospodarstwo domowe robiło notatki przez okres 4 do 5 lat"* Tą metodą posługiwano się do 1981 roku. W ubiegłym roku wprowadzono metodę rotacyjną, *„która zakłada, że gospodarstwo rejestruje wszystkie dochody i wydatki tylko w ciągu jednego kwartału, a za okres roczny informuje jedynie o dochodach i wydatkach na niektóre pozycje rzadkie, jak np. przedmioty trwałego użytkowania"* W 1982 roku około 5,7 tysiąca gospodarstw domowych przebadano metodą ciągłą i około 6,8 tysiąca metodą rotacyjną. W 1983 roku i następnych będzie się stosowało już tylko metodę rotacyjną, a przebada się nią 21,6 tysiąca gospodarstw domowych.

Tak GUS bada nasze wydatki i dochody.

A JAKIE SĄ WYNIKI TYCH BADAŃ?

Jan Kordos zastrzega, że są to wyniki wstępne. GUS na przykład nie dysponuje jeszcze badaniami dotyczącymi poziomu życia w gospodarstwach wiejskich, są one w opracowaniu. Jeśli chodzi o gospodarstwa w miastach, to dochody w porównaniu do 1981 roku zwiększyły się o 60 procent. *„Jednakże dochody z pracy zwiększyły się tylko o 44 procent, a dochody ze świadczeń społecznych, gdy włączymy w to także rekompensaty, o około 220 procent"*. W gospodarstwach rencistów i emerytów dochody wzrosły o 80 procent.

Z tych danych wszakże wcale nie wynika, że wszystkim wzrosły dochody w jednakowym stopniu. Na przykład dla około 30 proc. gospodarstw domowych dochody wzrosły o nie więcej niż 40 procent, ale dla około 20 procent gospodarstw domowych dochody podwoiły się, czyli wzrost wyniósł 100 procent. Badania wykazały pewną prawidłowość — co stanowi odbicie polityki społecznej — w gospodarstwach, które miały niższe dochody w 1981 roku nastąpił wyższy wzrost dochodów, a w tych, które miały wyższe wzrost był niższy. W gospodarstwach, w których w 1981 roku dochód na osobę wynosił 3 000 zł, w 1982 roku nastąpił wzrost o 80 procent, a tam, gdzie w 1981 roku dochód na osobę przekraczał 7 000 zł, wzrost w 1982 roku wyniósł tylko około 25 proc. Podobne zróżnicowanie nastąpiło też w gospodarstwach emerytów i rencistów.

„W wyniku zastosowania systemu rekompensat — powiada Jan Kordos — *zwiększyło się w 1982 r. spłaszczenie dochodów, tzn. większy odsetek osób grupuje się wokół średniego dochodu, niż w roku poprzednim. Dotyczy to wszystkich grup gospodarstw domowych"*,

Ale dochody nasze to jedno, a wydatki — to drugie. Dopiero zestawienie tych dwóch wielkości może nam pokazać

JAKIE BYŁY KOSZTY UTRZYMANIA

„Przeciętnie rzecz biorąc — powiada Jan Kordos — *wskaźnik kosztów utrzymania dla gospodarstw pracowniczych w porównaniu z rokiem 1981 wyniósł ok. 205 proc., a więc wzrósł o ok. 105 proc., zaś dla gospodarstw emerytów i rencistów wyniósł ok. 215 proc., tj. wzrósł o 115 proc., czyli wszędzie ponad 2-krotnie"*.

Ale to jest *„przeciętnie rzecz biorąc"*, a jak to wygląda w poszczególnych przypadkach? *„Dla konkretnego gospodarstwa domowego* — powiada Jan Kordos — *wskaźnik kosztów utrzymania mógł być inny, jednakże dla 90 proc. gospodarstw domowych mieścił się w granicach od 180 proc. do 240 proc."*.

Jak z tego wynika statystyka też może być ciekawa, a przy tym pożyteczna, gdyż dane — nawet zakładając ich minimalną niedokładność — pozwalają lepiej poznać rzeczywistość i mogą przez to przyczynić się do obalenia wielu mitów i tak zwanych obiegowych poglądów, które często są błędne. I aby już było zupełnie ciekawie Jan Kordos zdradza metodę obliczania dochodów realnych. Tak więc, jeśli czytasz *„dochody nominalne wzrosły w 1982 r. w porównaniu do 1981 r. o 30 proc., tzn. wskaźnik równa się 130 proc., a wskaźnik kosztów utrzymania wyniósł 210 proc., wtedy wskaźnik dochodów realnych kształtuje się: (130 : 210) x 100 = 61,9 proc."* Teraz od 61,9 należy odjąć 100 i otrzymamy — 38,1. A więc dochód realny spadł o 38,1 proc. Proste, nie?!

Obliczanie dochodów realnych i płac realnych pozostawmy jednak specjalistom. Otóż twierdzą oni, że *„według wstępnych szacunków płace realne spadły w ubiegłym roku o 28 — 30 proc.* oraz, że *„siła nabywcza przeciętnej płacy obniżyła się do poziomu z 1972 r."*. Trudno się temu zresztą dziwić, gdyż ciągle jesteśmy w warunkach kryzysu, z którego dopiero bardzo powoli zaczynamy wychodzić, ale droga przed nami długa i niełatwa, a inflancji jeszcześmy nie zlikwidowali. Dobrze jednak znać statystyczny obraz naszego życia, aby nie ulegać mitom. Ten obraz służy również politykom i działaczom gospodarczym dla kształtowania polityki społecznej i gospodarczej.

Przed świętami nie zawsze był czas na wnikliwą lekturę opasłych niekiedy numerów tygodników, stąd chciałbym po części odrobić zaległości, bo w całości mi się to nie uda, i przynajmniej zwrócić uwagę na

WSPOMNIENIA SERGIUSZA KŁACZKOWA

o czasach, kiedy był redaktorem naczelnym „Argumentów", a były to lata 1976—1978. Okazję do wspomnień dali Maria Maciejewska i Andrzej Wieluński, którzy przeprowadzili rozmowę z Sergiuszem Kłaczkowem i opublikowali ją w tychże „ARGUMENTACH" (nr 41/42 z 19 — 31 grudnia 1982 r.).

„Jestem zdania — wspomina S. Kłaczkow — *że żaden redaktor naczelny, obejmujący nową dla siebie placówkę, nie powinien mniemać, iż historia pisma, którym zamierza kierować, zaczyna się właśnie od momentu jego przyjścia, czyli de facto od początku. Jeśli ktoś stawia sobie zadanie zaczynania ab ovo — musi mieć świadomość tego, że ani sam nie udźwignie ciężaru, ani też żaden zespół dziennikarski, nie podda się takim metodom, ani ich nie zaakceptuje. Chyba że chce się robić pismo wbrew zespołowi i mimo niemu, ale wtedy skutki są zawsze opłakane"*.

Jest to wspomnienie — można powiedzieć — o znaczeniu ogólnym. Taki charakter, ze wszech miar słuszny, nosi druga wypowiedź, którą też chciałbym zacytować.

„Chcę powiedzieć, że zawsze, nie tylko w „Argumentach", linię mojego postępowania starałem się opierać na zaufaniu do kolegów, ich kwalifikacji, kompetencji i znajomości uprawianej problematyki. Tylko bowiem przy takiej postawie możliwe jest skuteczne pobudzanie twórczej inicjatywy zespołu, a tym samym zrealizowanie założonych celów ideowych i warsztatowych".

Wspominając okres pracy w „Argumentach" Sergiusz Kłaczkow powiedział między innymi:

„Ze szczególną atencją podchodziliśmy jednak do problematyki historycznej, którą udało się nam rozbudować do takich rozmiarów, żeśmy chyba słusznie i bez zbytniej zarozumiałości mogli powiedzieć, że był to jeden z najcenniejszych sukcesów zespołu w latach 1976—1978. Wynikało to po prostu z tego, że w doświadczeniach historycznych narodu widzieliśmy możliwość skuteczniejszego spotkania się różnych dróg kształtowania się świadomości historycznej, świadomości socjalistycznej współczesnych Polaków".

Warto może przypomnieć Czytelnikom, że Sergiusz Kłaczkow wiele lat spędził w Łodzi, pracował w „Expressie Ilustrowanym", „Łódzkim Expressie Ilustrowanym", „Głosie Robotniczym", którego też przez pewien czas był naczelnym redaktorem. Po wyjeździe z Łodzi kierował Centralną Agencją Fotograficzną i „Argumentami".

Wróćmy jednak do przeglądu już tegorocznej produkcji publicystycznej. Oto w „POLITYCE" (nr 1 z 1 stycznia 1983 r.) Daniel Passent dokonał osobiście, ale jako osoba prywatna i tylko w ramach prywatnej przymiarki i ewentualnej sugestii, przeglądu czasopism, które mogłyby stać się organem PRON.

I KTÓŻ OKAZAŁ SIĘ GODNYM TEGO?

Ano nim padła odpowiedź przed jego obliczem — w jego wyobraźni oczywiście — przedefilowało 13 pism i tylko dwa mogą pełnić tę zaszczytną rolę. O miano to — wedle D. Passenta — ubiegały się: „Argumenty", „Barwy", „Fois Sztyme", „Forum", „Kulisy", „Perspektywy", „Polityka", „Przegląd Tygodniowy", „Rzeczywistość" „Tygodnik Powszechny", „Tu i Teraz", „Żołnierz Wolności" oraz „Żołnierz Polski". Kto nie czytał felietonu „Wedle alfabetu" niech zgadnie, kogo D. Passent zaprotegowałby do godności organu PRON? Oczywiście kilka tytułów odpadło już na wstępie.

Nie będę dłużej męczył Czytelnika. Dwa tylko tytuły okazały się — wedle Daniela Passenta — godnymi tego miana. Są to „Perspektywy" i „Przegląd Tygodniowy". Ale czy tak się stanie, tego nawet Daniel Passent nie wie. Dziwne!

„PANI BASI Z „EXPRESSU ILUSTROWANEGO" OPADAJĄ MAJTKI"

— *można przeczytać w rubryce „Coś z życia" w tejże „POLITYCE". „Proponuje ona* — czytam dalej — *aby na kartki za 25 dkg cukierków sprzedawano 2,5 m gumki do reform. Autorka rozumuje ekonomicznie: dlaczego część naszej garderoby ma się marnować tylko dlatego, że bez gumki w talii jest bezużyteczna? Gumka do reform czy reforma na gumce?"*

Ale jest jeszcze inne rozwiązanie. Mogę je opatentować, choć stare jak świat, albo jak majtki czy reformy — wszystko jedno. Otóż w dawnych czasach nosiło się majtki na klapę i majtki na sznurku. Kto nie wierzy niech zapyta babci, albo lepiej prababci. Można też zapytać dziadunia lub pradziadunia. Tylko, że ten opowie zaraz, ile to miał kłopotu z takimi majtkami na klapę albo na sznurek. I zgorszenie młodocianych gotowe. Lepiej więc uwierzcie mi na słowo.

I NA KONIEC PYTANIE CAŁKIEM SERIO

Czy wydawnictwa różne nie dostrzegają, że niektóre pisma zaczęły publikować książki w odcinkach. „KONTRASTY" drukują Jana Osmańczyka „Sprawy Polaków", a „ŻYCIE LITERACKIE" w świątecznym numerze zaczęło drukować Pawła Jasienicy „Polskę Piastów". Tę ostatnią (piąte wydanie) wydano w 1974 roku. Książkę J. Osmańczyka w 1982 r. Czy nie jest to sygnał, że albo nakłady były niskie, albo ciągle jest na te publikacje zapotrzebowanie?

LUCJAN BOGUSZ ■

PS. Dlaczego post scriptum? Ano dlatego, że nie robię przeglądu telewizyjnego, a rzecz godna odnotowania. Gratulacje dla zespołu Dziennika Telewizyjnego za ciekawy program z niedzieli, 2 stycznia 1983 r. i za 25 lat pracy.

L. B.

ENVER HODŻA O BYŁYM PREMIERZE

Agencja REUTERA otrzymała angielskojęzyczną wersję najnowszej książki Envera Hodży, wydanej niedawno w Tiranie. Przywódca albański pisze w niej m.in. o okolicznościach śmierci byłego premiera Mehmeta Shehu. Hodża „rozwija" oficjalną wersję propagandy albańskiej, wg której Shehu targnął się na własne życie w chwili załamania nerwowego. Nie kwestionując samobójstwa stwierdza, że były premier, który służył obcym wywiadom, załamał się, gdy otrzymał od swych mocodawców rozkaz natychmiastowego zgładzenia Hodży. „Rewelacje" przywódcy albańskiego rzucają pewne światło na najnowsze zmiany personalne w kierownictwie Albanii, jako że po raz pierwszy wymienia on z nazwiska wspólników b. premiera.

Hodża oskarża w swej książce Shehu o przygotowywanie zamachu na jego życie od wielu lat. Byłemu premierowi miała w tym pomagać żona oraz dwóch ministrów spraw wewnętrznych. Na dzień przed popełnieniem samobójstwa Shehu otrzymał rzekomo od jugosłowiańskiej służby specjalnej rozkaz zlikwidowania Hodży podczas posiedzenia Biura Politycznego Albańskiej Partii Pracy. Polecono mu ponoć zabić Hodżę, nawet gdyby sam miał to przypłacić życiem. Jednak 68-letni premier, obawiając się, że jego zdrada wyjdzie na jaw, wybrał śmierć samobójczą. Jego żona przystała na to, wierząc, że uratuje to ją i jej synów oraz że reputacja małżonków Shehu jako długoletnich bojowników komunistycznych pozostanie nie splamiona.

A oto, co jeszcze „ujawnił" Hodża w najnowszym tomie swych pamiętników: Jugosłowiański rozkaz zamordowania przywódcy partii dostarczył Mehmetowi Shehu 16 grudnia 1981 roku o godz. 10.00 były minister spraw wewnętrznych, Fecor Shehu. Hodża pisze o nim jako o „elemencie antypartyjnym i zaprzysiężonym wrogu Albanii, którego zdemaskowano po odkryciu zdrady premiera, aresztowano i przekazano organom wymiaru sprawiedliwości.

Jugosławia zdecydowanie odrzuca, jako bezpodstawne oszczerstwa, wszelkie tego rodzaju oskarżenia albańskie. Jednocześnie SFRJ zarzuca Tiranie ingerencję w jugosłowiańskie sprawy wewnętrzne, a zwłaszcza oskarża kierownictwo albańskie o inspirowanie i podżeganie nacjonalistycznych zajść w Kosowie.

„Rewelacje" Envera Hodży są w opinii dziennikarzy jugosłowiańskich próbą zrzucenia odpowiedzialności za niesłychaną prowokację, jaką było zaaranżowanie rozruchów w okręgu Kosowo przez agenturę albańskie. Przywódca albański spodziewa się, że podane przez niego informacje o rzekomym spisku A. Shehu rzucą cień na kierownictwo Jugosławii i pozwolą zrzucić na Jugosławię odpowiedzialność za wypadki w Kosowie.

„DZIEWIĄTKA" I KŁOPOTY DEMOGRAFICZNE

Duży napływ młodzieży na rynek pracy w EWG na razie potęguje problem bezrobocia, ale po przejściu wyżu demograficznego, za 3—4 lata Europa Zachodnia będzie miała do czynienia ze stagnacją przyrostu naturalnego i systematycznym wzrostem przeciętnej wieku ludności. Według obecnych prognoz, tendencja ta rozwijać się będzie powoli do 1995 roku, ale w następnych dwudziestu latach odsetek osób powyżej 65 roku życia zacznie wzrastać z nie znaną nigdy przedtem szybkością. Jeżeli dojdzie do poprawy koniunktury gospodarczej, a komputery i roboty nie doprowadzą do powszechnego wyrugowania ludzi z procesu produkcji, to Europa Zachodnia może mieć ok. 2000 r. do czynienia z niedoborem siły roboczej. Już teraz eksperci zastanawiają się nad środkami zaradczymi. Przewidują, że wobec niewielkiej zdolności adaptacyjnej starych społeczeństw nie przyniosą efektów inicjatywy idące w kierunku przedłużenia czasu pracy lub szerszego zatrudnienia kobiet zamężnych i emerytów, wobec czego trzeba będzie zapewne ponownie dopuścić do masowego napływu robotników cudzoziemskich.

Odwrócenie proporcji między podażą a popytem na rynku pracy to jednak perspektywa bardzo niejasna, ponieważ wiele czynników przemawia za ciągłym spadkiem zapotrzebowania na siłę roboczą. Za niewątpliwe uchodzą natomiast zmiany nawyków konsumpcyjnych pod wpływem starzenia się ludności zachodnioeuropejskiej. Spadnie zapotrzebowanie na zabawki, sprzęt sportowy, płyty, motocykle. Niektóre przedsiębiorstwa już teraz korzystają z porad demografów, by odpowiednio przygotować się do tych zmian. Ze słabą koniunkturą będzie nadal miało do czynienia budownictwo, gdyż mniej liczne będą przypadki zakładania nowych gospodarstw domowych. Wobec braku presji demograficznej osłabną inwestycje w niektórych dziedzinach infrastruktury, jak np. budowa nowych szkół i środków transportu publicznego.

Budżety państwowe będą bardziej obciążone świadczeniami na rzecz emerytów i rencistów oraz wszelkiego rodzaju pomocą dla ludzi starszych. Wynikną stąd specyficzne i kosztowne inwestycje w dziedzinie medycyny. Z drugiej strony powinny spaść nakłady państwa na opiekę nad młodzieżą, która będzie mniej liczna. Nie ma jednak wątpliwości, że spadek ten nie wyrówna zwiększonych kosztów świadczeń dla ludzi starszych.

Wśród ekspertów zajmujących się tą problematyką występują dwie główne szkoły: jedni uważają naszkicowane powyżej zjawiska za nieuniknione i kładą nacisk na zapoczątkowanie już teraz odpowiednich działań przystosowawczych o charakterze społeczno-gospodarczym; drudzy natomiast uważają taki rozwój wydarzeń niemal za katastrofę, której trzeba za wszelką cenę zapobiec, pobudzając przyrost naturalny. Tego zdania jest również przewodniczący Komisji EWG Gaston Thorn, który w jednym ze swoich wystąpień wskazał na groźbę „wyludnienia się" Europy Zachodniej.

ŻOŁNIERZE IZRAELSCY O OKUPACJI LIBANU

AFP informuje z Jerozolimy, że doszło do polemiki między sztabem generalnym armii izraelskiej i państwową telewizją w wyniku nadania przez TV reportażu poświęconego żołnierzom izraelskim w Libanie. Rzecznik sztabu generalnego zarzucił dziennikarzowi, Danowi Scemama że przedstawił w sposób tendencyjny stan ducha młodych żołnierzy, wchodzących w skład oddziałów znajdujących się w Libanie. W jednym z fragmentów reportażu żołnierze zaintonowali przed kamerą piosenkę ośmieszającą ich misję w południowym Libanie i wyrażającą ich znużenie. Na znak protestu przeciwko emisji reportażu dowódca izraelskich sił lotniczych, gen. David Ivry, odmówił udziału w audycji TV, w czasie której miał z nim przeprowadzić wywiad Dan Scemama.

Dziennikarz ten powiedział dziennikarzowi HAARETZ, że w czasie pracy nad reportażem nie spotkał „ani jednego żołnierza, który uznałby obecność izraelską w Libanie za usprawiedliwioną".

■

Tu Dziś jest początkiem Jutra

Dokończenie ze strony 1

życia obywateli naszego miasta.

Z dużej gamy tych zagadnień wyodrębniono 4 zasadnicze: woda, oczyszczalnia ścieków, budownictwo mieszkaniowe i szkolnictwo podstawowe. I one stanowią zarówno dla dnia dzisiejszego jak i dla przyszłości nieuniknioną konieczność.

Prześledźmy zatem dokładnie, bez odświętnych dekoracji i napuszonej pompy, dzień dzisiejszy i niedalekie jutro Piotrkowa Trybunalskiego.

PO PIERWSZE: MIESZKANIA!

Sprawa budownictwa mieszkaniowego nie jest czymś wyjątkowym: w całej Polsce jest to problem pierwszorzędny i determinujący częstokroć pozostałe działy gospodarki. W Piotrkowie z mieszkaniami jest źle. Przez wiele lat nie udawało się tej sprawy rozwiązać, teraz, kiedy budownictwo przeżywa regres, perspektywy nie są różowe. W latach 1945—80 oddano tu 13.119 mieszkań (w budynkach wielorodzinnych i jednorodzinnych), a największy przyrost odnotowano w czasach, kiedy Piotrków awansował do rangi miasta wojewódzkiego. Niestety, mimo otrzymanych możliwości i kredytów, nie wykorzystano w pełni szansy i zamiast 6.500 mieszkań, oddano z tego zaledwie 65 proc. A przecież prawie połowa zasobów mieszkalnych w mieście została wybudowana jeszcze przed 1944 rokiem (z tego kolejna połowa przed 1918 r.). Dodajmy, że część budynków mieszkalnych wzniesiono z materiałów łatwopalnych, spora część nie remontowana przez lata ledwo się trzyma, a będziemy mieli obraz nie tyle smutny co zatrważający. Na dziś szacuje się, że 150 budynków (zamieszkuje je 500 rodzin) może w każdej chwili się rozsypać runąć lub spłonąć. Co więc robić? Gdzie przenieść tych ludzi, skoro miasto dysponuje zaledwie 36 izbami zastępczymi? Dodajmy do tego, że według szacunkowych danych za trzy lata liczba ludności w Piotrkowie osiągnie *80 tysięcy. Czyli, że przybędzie około 2,9 tys. nowych gospodarstw domowych potrzebujących samodzielnych mieszkań.* Biorąc to pod uwagę, do końca 1985 r. trzeba będzie wybudować co najmniej 6 tys. nowych mieszkań. Nie można pominąć jednak faktu, że do tego czasu zostanie wyburzonych 780 mieszkań, a 300 się zlikwiduje jako nie nadające się do zamieszkania (np. komórki, sutereny, poddasza itp.). Tak więc już dziś miastu jest potrzeba pięciu tysięcy mieszkań. A co będzie za trzy lata?

Wspomniany „Raport" zakłada plan minimum. Wszyscy zdają sobie sprawę z faktu, że istniejące na terenie miasta jednostki budowlane przeżywają także regres, że ich wydajność jest mniej niż średnia. Tak więc do 1985 r. miasto otrzyma mniej niż połowę potrzebnych mu mieszkań, a okres wyczekiwania na własne M-ieść tam wydłuży się ponad 15 lat. Władze, w ramach wdrażania reformy, podjęły pewne decyzje dotyczące reorganizacji budownictwa. Wojewoda powołał Bełchatowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego, które będzie swoim zasięgiem obejmowało także Piotrków, a na bazie Rawsko-Koluszkowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego podjęto organizację Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych. Rozbuduje się także Piotrkowski Kombinat Budowlany i dokończy budowy miejscowej Fabryki Domów. Wszystko to jednak zależy od zaopatrzenia w surowce i od ludzi, którzy będą chcieli podjąć pracę w budownictwie.

WODA NA KARTKI

Jeśli nic się nie zmieni, to za parę lat w Piotrkowie wprowadzi się wodę pitną na kartki, a za dalszych kilka będziemy świadkami katastrofy komunalnej, gdyż wody nie będzie w ogóle. Ale po kolei. Na dziś istnieją dwa ujęcia wody: przy ul. Żwirki (wybudowane w 1925—28) i nowsze, z roku 1975, przy ul. Wiatracznej. Dostarczają one w sumie 25 tys. m. sześciennych wody dziennie. Przy jej maksymalnym zużyciu występują przerwy w dopływie, czyli na wyższych piętrach krany są suche. Co prawda, niektóre zakłady mają własne ujęcia, a w sytuacjach kryzysowych doraźnie włącza się ich nadwyżki do miejskiej sieci. Jest to jednak prowizorka nie do utrzymania na stałe. Tym bardziej, że prognozy przewidują, iż za trzy lata zużycie wzrośnie dwukrotnie.

Nieodłączną częścią ujęć wodnych, jest sieć wodociągowa. Jest jej 60 km. W połowie pamiętająca lata przedwojenne, w połowie zaś wybudowana po wojnie wymaga niezbędnej konserwacji, wymiany starych rur na nowe, wymiany wąskich na rury o większym przekroju.

W tej sytuacji „Raport" zakłada podjęcie niezwłocznych starań budowy projektowanego, a dotąd nie zrealizowanego, ujęcia wody w Uszczynie. Jak do tej pory na przeszkodzie stoi niemożność wprowadzenia tej budowy do planu inwestycyjnego.

GRZAĆ I GAZOWAĆ

Rejonowa ciepłownia miała osiągnąć w 1980 r. 125 Gcal/h. Nie osiągnęła. Miasto jest nadal więc ogrzewane przez 6 kotłowni osiedlowych i 14 lokalnych. Reszta — to piece. Ratując się przed zamarznięciem podjęto budowę drugiej miejskiej ciepłowni z docelową wydajnością 150 Gcal/h. Ale i tu nie wyszło. Nie osiągnięto nawet planowanych do 1980 r. 50 Gcal/h. Ostateczny termin włączenia tej ciepłowni do eksploatacji określono na sezon 1982/83, jednak z ograniczeniami takimi jak: bez bocznicy kolejowej i bez komina. Dlatego też ze względu na opóźnioną budowę obu wspomnianych kotłowni zaniechano likwidacji kotłowni przemysłowych i osiedlowych.

Gaz w Piotrkowie był już w XIX w. Dziś są tu gazociągi wysokiego ciśnienia gazokoksowniczego i ziemnego. Długość sieci gazowej wynosi 50,7 km, co jest wskaźnikiem dość wysokim. Niestety, do wielu jeszcze osiedli gaz nie dociera i w „Raporcie" określono perspektywicznie kiedy i jakie ulice zostaną objęte siecią gazociągową. Jednakże rodzi się dylemat: czy ciągnąć wpierw nowe nitki gazu, czy wymieniać zużyte ciągi, które są przestarzałe i grożą w każdej chwili eksplozją? Ale ten dylemat pozostaje dylematem bez pokrycia, bowiem Piotrków nie ma ani środków, ani grup konserwacyjno-remontowych, które by podjęły się wymiany rur zużytych na nowe.

WIEMY JAK UCZYĆ, TYLKO NIE WIEMY GDZIE

Są tu 3 LO (1.451 uczniów), 9 szkół zawodowych (4.782 uczniów), 15 szkół podstawowych (8.519 uczniów), a wszystkimi formami wychowania przedszkolnego objętych zostało 3.048 dzieci. Ktoś, nie obeznany z realiami, może powiedzieć, że jak na 75 tysięczne miasto, to dużo. Otóż jest to nieprawda. Zaledwie 7 przedszkoli posiada odpowiednie sale i place zabaw do zajęć ruchowych, muzycznych i tematycznych, natomiast w ośmiu placówkach tego typu warunki są więcej niż trudne, a w niektórych wręcz fatalne. Jeśli zostaną zlikwidowane trzy przedszkola (nr 3, 10 i przedszkole PKP jako nie nadające się do prowadzenia w nich zajęć), sytuacja stanie się katastrofalna, gdyż dziś aż 800 dzieci pozostaje poza wychowaniem przedszkolnym.

Nie najlepiej jest ze szkolnictwem podstawowym. W Piotrkowie od 1971 r. nie wybudowano ani jednej szkoły. Dokonuje się jedynie reanimacji starych budynków przez remonty i adaptacje. A przecież na jedną izbę lekcyjną przypada 45 dzieci, a nauka trwa na dwie zmiany. Jednak prawdziwa klęska nadejdzie za trzy lata. Skoro dziś brakuje ponad 100 izb lekcyjnych, to w 1985 r. do istniejących szkół podstawowych przyjdzie prawie 10 tys. dzieci. Skąd władze oświatowe wezmą dalsze 60 izb lekcyjnych? Po podliczeniu okazało się, że aby nauka szkolna odbywała się w miarę normalnie, miasto musi w ciągu najbliższych trzech lat wybudować 6 nowych szkół! Fantastyka i tyle.

Całe szczęście, że nie ma tych problemów w szkołach ponadpodstawowych i średnich. Nie zmienia to faktu, że w „Raporcie" wiele miejsca poświęcono szkolnictwu, uznając je za jedno z najważniejszych zadań wymagających radykalnego i pilnego rozwiązania.

SZTUKA KULTURY I KULTURA SZTUKI

Ta dziedzina jest mi duchowo najbliższa. Właściwie trawestując znane powiedzenie, mógłbym rzec, że każde miasto jest takie, jakim jest jego życie kulturalne. Czyli: pokażcie mi to, co dzieje się w mieście w dziedzinie kultury, a powiem wam o ambicjach tego miasta.

W Piotrkowie doliczono się aż 18 placówek kulturalnych. Zlokalizowane są przeważnie w centrum miasta, daleko od osiedli, niektóre gnieżdżą się kątem w instytucjach, nie mają własnych pomieszczeń, wegetują. W latach kryzysu niektóre zakłady, z braku funduszy, zaczęły likwidować swoje świetlice i kluby, niektóre ograniczyły ich działalność. W wielu przypadkach lokale po placówkach kulturalnych przeznaczono na biura, stołówki, magazyny lub sklepy. Natomiast podejmowane przez lata wysiłki, by w Piotrkowie zbudować bodaj dom kultury z prawdziwego zdarzenia czy kino, nie przyniosły rezultatów. Wniosek: łatwiej jest z czegoś zrezygnować niźli powołać cokolwiek do życia.

Kiedy przyjeżdżam do Piotrkowa kieruję się niezawodnie na stare miasto. Jest to perła, którą można podziwiać, i której można zazdrościć. Ale ta perła jakby z roku na rok stawała się bardziej zaniedbana, ulegała niszczeniu, traciła swoją oprawę. Kogo za to winić? Od kilku lat Pracownia Konserwacji Zabytków w Warszawie opracowuje dokumentację mającą na celu uratowanie tego pięknego kompleksu urbanistycznego. Dotąd opracowano zaledwie wstępną koncepcję programowo-przestrzenną otoczenia Rynku Trybunalskiego. Wynika z tego, że jest to akcja wieloletnia, pochłonie sporo grosza, ale jestem przekonany, że cel jest tego wart.

W Piotrkowie mieszka sporo twórców, ludzi pióra. Ale swoje ambicje twórcze muszą oni realizować poza Piotrkowem. Nie twierdzę, że potrzebne jest miastu własne wydawnictwo lecz wzorem innych miast (Sieradz, Zduńska Wola, Łask, Skierniewice itp.) także i tu można wydawać druki bibliofilskie, zbiorki poetyckie lub teksty poświęcone miastu, jego zabytkom czy życiu kulturalnemu. Mój przyjaciel, Rafał Orlewski, poeta, prozaik i działacz społeczny, który jak twierdzi wpierw zakochał się w Piotrkowie, a potem w piotrkowiance, ubolewa, że nie ma tu żadnego ruchu edytorskiego. Byłaby to, obok wymowy czysto popularyzatorskiej, praca kronikarska.

Tę propozycję kieruję do autorów „Raportu".

OSTROŻNY OPTYMIZM

Mógłbym jeszcze wspomnieć o kłopotach służby zdrowia, o jej zmaganiach, by prowadzić swoją działalność w miarę dobrze w przychodniach zawilgoconych, zagrzybiałych ciasnych i nadających się przeważnie do rozbiórki; mógłbym napisać osobny rozdział o braku lekarzy specjalistów, farmaceutów, pielęgniarek, salowych; szerzej potraktować niedostatki lokalowe handlu i usług. Byłaby to długa wyliczanka potrzeb, trudności, problemów i skarg. A przecież nie o to chodzi.

Zamierzałem napisać optymistyczny artykuł o Piotrkowie Trybunalskim, a wyszedł rejestr kłopotów i mankamentów. Lecz myślę, że najbardziej optymistycznym jest sam „Raport". Jest to punkt, z którego trzeba się odbić. Wiadome stało się co i jak, trzeba teraz tylko rozpisać to na głosy. Władze miasta bez fanfaronady i wielkich słów, bez akademii i pustych referatów, zabrały się za dzieło poprawy błędów swoich poprzedników i chcą po sobie zostawić w społeczeństwie dobrą pamięć.

Zapytałem I sekretarza KM PZPR JÓZEFA PISARKA o jego opinię na ten temat.

— *Dokonaliśmy wyboru celów i zadań po to, aby Piotrków nie cofał się w swoim rozwoju. Położyliśmy nacisk na ponowne włączenie zakładów przemysłowych do rozwiązywania problemów ogólnomiejskich. Miasto nie może żyć bez zakładów, a zakłady bez miasta. Chcemy, by tę prawdę właściwie pojmowały kierownictwa tych zakładów w ramach wprowadzanych trzech S. W związku z tym powołano już Radę Prezesów Piotrkowskich Spółdzielni Pracy oraz Radę Dyrektorów. Ich zadaniem będzie wspólne rozwiązywanie najpilniejszych problemów miasta. Nasza polityka to polityka otwartych drzwi. Pragniemy zaapelować do społeczeństwa o pomoc finansową i rzeczową, mamy już taką pomoc od wielu zakładów i spółdzielni. Stąd bierze się mój optymizm i wiara, że rejestr potrzeb zawartych w naszym „Raporcie" może być zrealizowany.*

Wyjeżdżając z Piotrkowa i przez wiele godzin stojąc na deszczu w oczekiwaniu na samochód, pomyślałem sobie, że jakże dobrze byłoby gdyby w „Raporcie" znalazła się wzmianka dotycząca połączeń autobusowych z Łodzią, żeby nie trzeba było przez trzy godziny wysłuchiwać komunikatów, że autobusy miejskie na wyznaczone stanowiska nie podjadą, a przelotowe nie zatrzymają się w Piotrkowie, gdyż są przepełnione. Ale ten „Raport" winien już napisać zupełnie kto inny.

EUGENIUSZ IWANICKI

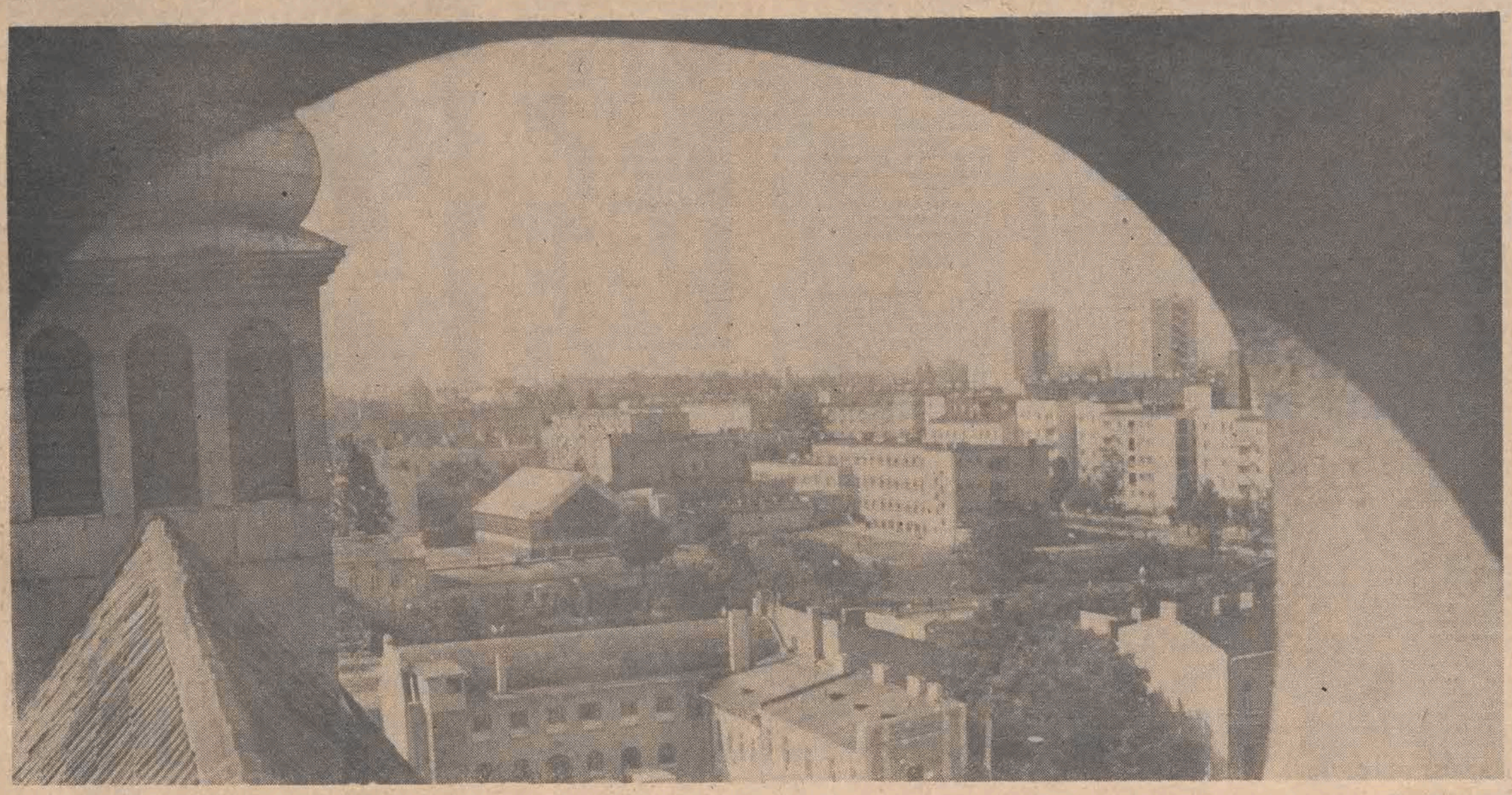

Foto: M. Zajdler

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Polak z milionera pucybutem

U źródeł potocznego myślenia moich kompatriotów o pomyślnym dla siebie i Polski rozwoju leży mit o pucybucie, który dzięki wzorowaniu się na zamożniejszych odeń wybił się na milionera. Starsze pokolenia znają tę przypowieść ze specjalnej czytanki, za pomocą której w międzywojniu wpajano wiarę w możność kapitalistycznego awansu i ukształcono w cnotach pomocnych w osiąganiu tegoż. Z miernym jednak skutkiem, warunki właściwe dla polskiego kapitalizmu – niedorozwiniętego, zależnego od obcych kapitałów — nie sprzyjały tego typu karierom; raczej w stylu hochsztaplerskim a la Nikodem Dyzma. Świadczyło to nie tyle o niedostatku ubogich Polaków chętnych do wybijania się na burżuazyjny sposób, ale o tym, że ten rodzaj awansu był względnie możliwy w zaraniu kapitalizmu i tylko w krajach, w których ustrój ten rozwinął się w pełni efektywnie i efektownie. W XX wieku ubodzy młodzieńcy w krajach kapitalistycznych mogą liczyć na awans z pucybuta (pomywacza, zamiatacza, gazeciarza itp.) na robotnika. Współczesne wyjątki od tej reguły świadczą, że trzeba co najmniej trzech-czterech pokoleń na to, by promil spośród aspirujących wybił się z nizin społecznych w burżuazyjne wyżyny. Są to fakty potwierdzone przez udokumentowane badania naukowe: burżuazyjnych uczonych zresztą, a więc nie obciążonych skłonnością do deprecjonowania kapitalizmu.

Należałoby więc oczekiwać, że mityczna wizja wybicia się z pucybuta w milionery zostanie między bajki, włożona. Zwłaszcza u nas, gdzie i ustrój zmienił się z kapitalistycznego na socjalistyczny. Aliści nastąpiło odrodzenie tegoż mitu w nowej, usocjalistycznionej niejako wersji. W postaci marzenia o awansie już nie indywidualnym, lecz narodowym między najbogatszych tego świata.

Socjalizm w takim rozumieniu stawał się nie jakościowo odmienną od kapitalistycznej formacją społeczeństwa, lecz jedynie innym sposobem osiągnięcia dostatków dostępnych w najwyżej rozwiniętym kapitalizmie. Innym przez to, że umożliwiającym szybszy rozwój ekonomiki, czego najwyraźniejszym odzwierciedleniem idea dogonienia i przegonienia kapitalistycznych potęg gospodarczych. A odmiennym w tym, że obiecującym uwolnienie od właściwych dla kapitalizmu drastycznych zróżnicowań społecznych oraz wynikających zeń walk klasowych — w socjalizmie bowiem wszyscy mieliby korzystać z uprzywilejowań dostępnych tam burżuazji. No może z poprawką, że najpierw najbardziej zasłużeni, a w przyszłości ogół Polaków.

Ten sposób myślenia o socjalizmie nie jest bynajmniej współczesnym polskim wynalazkiem. Znali go i krytykowali twórcy naukowego socjalizmu, pisząc w programowym dokumencie tego ruchu: „Socjalistyczni burżua chcieliby zachować warunki bytu nowoczesnego społeczeństwa (tj. kapitalistycznego — MG) bez nieuchronnie stąd wynikających walk i niebezpieczeństw". Jest to zaś niemożliwe nie dlatego, bo sprzeczne z przykazaniami naukowego socjalizmu. Marksizm nie jest religią i nie zakazuje niczego, co pożądane przez społeczeństwo — jeśli jest osiągalne. A ten rodzaj postępu jest po prostu niemożliwy. Podobnie, jak na przełomie niewolnictwa i feudalizmu nierealne było upowszechnienie dostatków zażywanych przez patrycjat rzymski — cudownych pałaców, wykwintnych strojów, biesiad urozmaicanych występami artystów, wspaniałości rydwanów i lektyk — również wonczas ponętnych dla społeczności organizujących się na nowy sposób, nazwany potem ustrojem feudalnym.

Toż samo powtórzyło się na styku feudalizmu i kapitalizmu. Dość przypomnieć purpury, złotogłowia, koronki brabanckie, farfury, karoce i pałace arystokracji — i zestawić to ze skromnością strojów ówczesnej burżuazji, jej mieszkań w wielorodzinnych kamienicach, obyczajem podróżowania publicznymi dyliżansami. Nie obyło się i wówczas bez dramatycznych dylematów, czego znamienitym świadectwem w polskiej literaturze postacie Wokulskiego i Połanieckiego — umiejących już zarabiać na kapitalistyczny sposób, lecz niezdolnych do przezwyciężenia nacisków skłaniających do marnotrawnego wydawania wedle arystokratycznych, czy szlacheckich wzorów. Ze skutkiem odzwierciedlonym w połowiczności rozwoju kapitalizmu w naszym kraju. Rozwinął się ten ustrój natomiast w pełni tam, gdzie nowy sposób wytwarzania został sprzęgnięty z równie nowym, mniej efektownym niż właściwy dla feudałów w okresie schyłkowym, ale bardziej efektywnym sposobem zaspokajania potrzeb bytowych. Kluczową rolę zmiany etosu i stylu życia odnotowała literatura naukowa, zwłaszcza Max Weber w pracy o znaczeniu protestantyzmu dla zwycięstwa kapitalistycznego sposobu produkcji, z polskich zaś autorów Maria Ossowska w znakomitej rozprawie o moralności mieszczańskiej.

Dodatkowym źródłem przewag starej formacji staje się skonstatowany przez Karola Marksa fakt, iż w jej centrach właśnie rodzi się nowy, wyższy poziom sił wytwórczych. Stwarza to znaczący przyrost produktu dodatkowego, umożliwiającego klasie panującej wystawniejszą niż wcześniej konsumpcję oraz łagodzenie napięć społecznych przez dopuszczanie do tych dostatków w pewnej mierze również i klas podporządkowanych w metropolii.

To składa się na urokliwość dostatku obserwowanego w schyłkowym stadium każdej z formacji w jej centrach — w Rzymie cezariańskim, Hiszpanii u zarania czasów nowożytnych, współczesnych Stanach Zjednoczonych i państwach zachodniej Europy. A zarazem sprawia, że wykształcone w tym stadium wzorce dostatku nie nadają się do upowszechnienia — zaadaptowania przez społeczności nie dysponujące podobnymi jak centra starego ustroju przewagami. Stąd nieuchronność kończenia się wszelkich prób naśladownictwa rozczarowaniem z gorszej jakości i elitarnej dostępności tego typu dostatków. I uwikłaniem w zależności ekonomiczne, technologiczne, ideologiczne i polityczne od metropolii starego ustroju.

Przezwyciężenie tych zagrożeń jest możliwe na jeden tylko sposób. Przez konsekwentne tworzenie jakościowo odmiennego sposobu reprodukcji życia społecznego, czyli nowego ustroju. Innego nie tylko pod względem stosunków władzy i własności, ale i stylu życia — skromniejszego niż w centrach starej formacji, ale za to racjonalniej zaspokajającego potrzeby bytowe ogółu. I takie właśnie szanse stwarza współcześnie socjalizm. Tylko takie i aż takie. Nie dogonienia i przegonienia kapitalizmu w luksusach, lecz w wyzwalaniu od niedostatków wszystkich członków społeczeństwa oraz sprawiedliwszym nagradzaniu zaspokajaniem aspiracji do dobrobytu w zamian za korzystną dla ogółu pracę.

Historia bowiem przyznała rację poprawce do materializmu historycznego wniesionej przez Lenina, że socjalizm jest najpierw szansą wyzwolenia od wyzysku zewnętrznego i wewnętrznego, przezwyciężania niedorozwoju i zależności od obcego kapitału. Tym torem właśnie dokonuje się upowszechnienie socjalizmu na nowe społeczności — omijając jak dotąd wyżej rozwinięty kapitalizm.

Jest to zgodne z ogólniejszymi prawidłowościami. Wnikliwsze zbadanie początków uprzednich formacji dowodzi, że nowy ustrój niemal zawsze startował tam najpierw, gdzie stary nie w pełni się udał. I stąd właśnie próbą jakości każdej rodzącej się formacji jest przezwyciężenie tego co ponętne, a niemożliwe do upowszechnienia ze starej. I tylko te korzystają w pełni z szans postępu stwarzanych przez nowy ustrój, które wyprą skłonności do naśladownictwa przez nowe wzorce dostatku — bardziej realne i powszechniej dostępne. Te zaś, które poddadzą się efektowi demonstracji wzorców konsumpcji z centrów starego ustroju — przegrywają podwójnie, bo i brakiem szans zaspokojenia rozbudzonych apetytów, i nawrotem uzależnień ekonomicznych. Czyli tak, jak to nam się właśnie zdarzyło w rezultacie prób zbudowania „drugiej Polski" na wzór i podobieństwo rozwiniętego kapitalizmu — miast konsekwentnego dokończenia tworzenia pierwszej Polski socjalistycznej. W pełni pod każdym względem.

Po to, by negatywy, jakie odczuwamy na skutek takiej polityki, stały się przynajmniej ceną zapłaconą za naukę jaką winniśmy wynieść z tego przykrego doświadczenia, trzeba skompromitować i odrzucić mit zbiorowego awansu wedle wzorca z pucybuta w milionery. Nauki już chyba dostatecznie. Skutek poddawania się tego typu złudzeniom jest przecież dokładnie odwrotny od zakładanego i pożądanego. Naród zasobniejszy od wielu innych w bogactwa naturalne i wykwalifikowane kadry, o podobnym poziomie rozwoju, okazuje się niezdolny do zaspokojenia swych potrzeb bytowych i poniża się prośbą o wsparcie ze strony społeczności lepiej kojarzących swe aspiracje z możliwościami. I marzeniem niektórych młodych Polaków staje się wyrwanie na Zachód, by tam — o paradoksie! — pracować za pomywacza, zamiatacza, czarnoroboczego wyrobnika z dyplomem polskiej uczelni.

Sądzę, że to jest właśnie dno, od którego winniśmy się odbić. Jest to konieczne dla zapewnienia bytu narodowego i przywrócenia partnerskich pozycji wśród innych nacji. Musi więc być możliwe.

MARIUSZ GULCZYŃSKI

Wiejskim gościńcem do socjalizmu

Rozmowa z Mieczysławem Maksymowiczem członkiem Komitetu Centralnego PZPR, rolnikiem indywidualnym ze wsi Kędzierzyn, woj. koszalińskie

— Czy kułak może być komunistą?

— A czy w ogóle istnieje we współczesnej wsi, polskiej coś takiego jak kułak? Samo to pojęcie jest już dzisiaj puste. Bo czy kułakiem można nazywać rolnika gospodarującego na kilkudziesięciu hektarach? To jest raczej nowoczesny producent żywności, wkładający w swój warsztat pracy ogrom wysiłku, własnego i rodziny, a nie najemnych i wyzyskiwanych wyrobników. No i przecież nie dla siebie tylko i nie dla prywatnego zbytu pracuje taki gospodarz, ale dla państwa, bo jemu sprzedaje swą produkcję. Owszem, istnieje na wsi kategoria wielkich właścicieli ferm lisów, kur czy pieczarkarni, ale to nie są rolnicy, raczej biznesmeni. Jedni robią w plastyku, inni w żywności. Rolnik, to ten, co sam sieje, orze i zbiera — oczywiście mówię skrótowo, przede wszystkim jednak, rolnik pracuje sam i ze swą rodziną. Nie mówmy już więc o kułakach, choć rozumiem, że jest to zaczepka wobec mnie. Bo jakże — 24 hektary własnej gospodarki i jednocześnie członek władz partii komunistycznej.

— Orze pan na roli i w Komitecie Centralnym?

— Zgadza się. I w obu dziedzinach jest roboty po łokcie.

Dla mnie partia zaczęła się dużo wcześniej niż rolnictwo. Tak dawno, że nawet nie pamiętam, ile to lat. A na wsi jestem dopiero od lat ośmiu.

— To znaczy, że nie jest pan rolnikiem z urodzenia na wsi i dziedziczenia ojcowizny?

— Nie wyrosłem na wsi, ale i nie odejdę z niej. Ludzie mówią o takich jak ja

NIE PTAK, NIE KRZAK

nie ma na roli korzeni, ale nie odleci po zrobieniu rzekomych milionów. Na wieś poszedłem z pasji i wyboru, a w ojcowiźnie dostałem żyłkę społecznikostwa. Mój ojciec był działaczem przedwojennej PPS na wileńszczyźnie, po wojnie w Koszalinie, od 1948 w PZPR. To był taki wieczny działacz, nosiło go do ludzi. Urodziłem się w mieście i rosłem w atmosferze ciągłego działania, mówienia o sprawach publicznych. Po szkołach, urzędniczyłem parę lat na państwowej posadzie, wtedy też wstąpiłem do partii. Ojciec nauczył mnie dwóch rzeczy: — jak pracować, to z całego serca, jeśli do partii — to nie być martwą duszą. Martwą duszą na pewno nie jestem, może trochę rogatą. Nie mogłem usiedzieć za biurkiem, miasto mnie męczyło. Chciałem zostawić po sobie jakiś ślad, nosiło mnie, jak ojca. Stąd decyzja przeniesienia się z żoną i dzieckiem na wieś. Oboje kochamy zwierzaki, no i chcieliśmy się sprawdzić na swoim, więc zaczęliśmy powoli majstrować tę naszą Arkę Noego.

— Znaczy po bożemu, po parze bydlątek?

— Nie mamy ścisłej specjalizacji, jest wszystkiego po trosze, na ile pozwala kiepska ziemia żytnio-ziemniaczana. Zresztą na początku było tylko kilka walizek i fura dobrych chęci. Za wszystkie oszczędności kupiliśmy ziemię z PZF i zrujnowane zabudowania. Trzeba było zaczynać od pożyczek na remonty, na podstawowe maszyny i zwierzęta. I tak poszło. Dzisiaj są solidne budynki gospodarcze, porządny dom z pełnym wyposażeniem technicznym, jest ciągnik i sprzęt towarzyszący, no i mnóstwo zwierzaków, świnie, owce, bydło opasowe oraz koty, psy, jak w porządnej arce przystało. Jest też sporo długów bankowych, wieczne dziury do zatkania, słowem normalnie, jak na wsi.

— Nie żal było panu miejskich atrakcji, spokojnej posady od ósmej do trzeciej. Tam też mógł pan działać w partii?

— Nie mogłem. Miasto mi nie pasowało. Niosło mnie w pola i do ludzi. Czułem, że na wsi, jakby bliżej mi będzie do życia. To nie był inteligencki romantyzm wsi, że niby zespolenie z przyrodą i takie tam bajdy. To była świadomość ciężkiej pracy, która nas czeka zanim staniemy na nogi. Była też świadomość skazania naszych dzieci na los dzieci wiejskich, kilometrami wędrujących do szkoły, bez wakacji, bo trzeba pomóc w żniwach, daleko do kina, biblioteki i tego wszystkiego, z czym wiejskiemu dziecku kojarzy się miasto.

— No i jak pana — miastowego — przyjęła ta wieś?

— Jak? Po roku zostałem wybrany sołtysem, a to dużo znaczy i dla mnie było bardzo ważnym momentem w życiu. Sprawdziłem się. Już siedem lat sołtysuję i jak dotąd trafiam do ludzi, a oni do mnie.

— A nie wysyłali pana czasem kosić buraki?

— Próbowali, ale jak się człowiek pyta o radę mądrzejszych od siebie, to w końcu trafi gdzie trzeba i nauczy się czego nie potrafił. Wieś uważnie patrzy na ręce, zwłaszcza takim przybyszom. Nie pomogą sąsiedzi leniowi i krzykaczowi z zebrań, co zapomniał zwieźć siano na czas. Pomogą, jeśli widzą, że robota jest uczciwa. Wtedy można znaleźć czas na działalność społeczną, bo się wie, że wieś pomoże i ty im pomożesz, ale najpierw trzeba pokazać jak się pracuje samemu. Społecznik na wsi jest zawsze ceniony, ale przede wszystkim za swą pracę na roli, dopiero potem w rzeczach publicznych. Partyjny na wsi już dawno przestał być synem Belzebuba. Jeśli szanuje ludzi i swoją legitymację partyjną, będzie szanowany. Prawda, nasza wieś wciąż jest bardzo bogobojna, ale umie cenić porządną pracę i to jest ważniejsze, niż polityczne zapatrywania. Chłopi czytają przecież nie tylko modlitewniki, uczą się, ocierają o życie trochę dalej niż własna wieś. Specjalnie używam tu słowa — chłop — My jakoś dziwnie unikamy tego słowa, jakby było wstydliwe. Mówi się — rolnik — a to przecież tylko wykonywany zawód. Chłop, to więcej niż rolnik. To filozofia życia, stosunek do pracy, to głęboko zakorzeniona tradycja kulturowa, to także — jakby nie doceniany — nawyk życia we wspólnocie. Bo wieś jest wspólnotą, ze swej natury jest kolektywna. Nawet najbogatszy gazda nie obejdzie się bez sąsiedzkiej pomocy. Tu wszyscy zależą od siebie wzajemnie. Wieś uczy szacunku dla ludzi, ty pomożesz komuś, ktoś ciebie nie zostawi bez pomocy w potrzebie.

— Pan przebył odwrotną od powszechnego prądu drogę. Z miasta na wieś. To także zmiana optyki w widzeniu podziału miasto-wieś. Bo ten podział przecież istnieje?

— Czasem myślę, że autorami tych wszystkich bredni wygadywanych o wsi i chłopach są ci świeżo upieczeni miastowi. Nuworysze, którzy w ten głupi sposób chcą zatrzeć w pamięci, że parę lat temu wstecz pasali gąski pod borem. To taka śmieszna próba umoszczenia się w miejskości, żeby gardzić wsią i jednocześnie zazdrościć wielkiego — pono — bogactwa, pazerności chłopskiej, pleść bajdy, że chłop śpi, a żytko samo rośnie. Mity o wsi, to jedna z barykad, które musimy raz na zawsze przewrócić.

TEN BIEGAJĄCY ROSÓŁ

z chłopskiego podwórka stał się symbolem krzywdy miasta. Tymczasem prawdę o zamożności chłopów znaleźć można w bankach spółdzielczych. Jedna litania długów, pożyczek, spłat i znowu pożyczek, długów i tak w koło. I przecież nie na wystawne limuzyny, jak głosi miejska klechda, tylko na inwestycje ściśle związane z produkcją żywności. Miasto ma wobec wsi dwie jakby polityki. Kiedy znaczyna być krucho z żywnością, wtedy zaczyna się kokietować rolnika, siać mu zielone światła i przemysł obiecuje, że tym razem to już na pewno zacznie produkować dla rolnictwa. Jak się odrobinę poprawia na rynku, zaczyna się wykręcanie żarówek z tego zielonego światła, narzekanie na chłopa krwiopijcę i pojawia się czkawka obowiązkowych dostaw. Między tymi wachnięciami, z trudem i w bólach rodzi się jakaś zwarta i logiczna polityka rolna państwa. Stąd to chłopskie zaciekłe dobijanie się o stabilność prawną i ekonomiczną. Nic tak nie wykańcza rolnictwa, jak chwiejność polityki. Zawsze, kiedy słyszę takie narzekanie, pytam malkontentów, dlaczego więc nie garną się do tego bogactwa. Czemu nie rzucą w diabły miejskiego bruku i nie biorą ziemi, jeśli to daje takie wielkie dochody? Tylko u nas — w Koszalińskiem — leży 5 tysięcy hektarów ziemi do wzięcia od zaraz. Z zabudowaniami na dodatek. Jasne, że nie wszyscy mogą dostać gospodarstwo, trzeba mieć kwalifikacje, ale mało to tych krzyczących, co pochodzą ze wsi i znają rzemiosła? Czemuż nie wracają? Ano, bo na wsi nie ma świąt i wolnych sobót. Jest ciężki znój i ryzyko, że mnóstwo pracy może pójść na darmo z jednym gradem. Swoje zrobiła też uprawiana latami industrialna propaganda. Kuszono młodych zarobkami, mieszkaniami z łazienką i lakierkami zamiast ugnojonych gumowców. Nierzadko sami rodzice wypychali swe dzieci do miasta, żeby im było lżej. Mało to było rodziców dumnych z tego, że wykształcili dzieci, pokupowali mieszkania w mieście, a i dośla od czasu do czasu to ziemniaki, to jajka, to kuraka. Toż dzisiaj najlepszy krewny to krewny na wsi. Lepszy nawet niż wujek z Ameryki, bo paczka może zginąć, a osełka masła ze wsi nie.

Za to dzisiaj lament, że wieś się starzeje, że młodzi uciekają. Mszczą się lata zaniedbań, waży się krzywdy miasta i wsi w minionych epokach i miasto jakby bardziej słychać. Pewnie, wieś jest mniej krzykliwa. Rzecz nie we wzajemnej licytacji ran. Cel jest jasny — wyżywić się o własnych siłach, stanąć mocno na nogi i dać sobie radę między innymi narodami w świecie. Jeślibym miał wskazać najważniejsze kierunki działania, to wskazałbym trzy: własne pasze, robienie dobrego interesu na produkcji przemysłowej dla rolnictwa i rzecz, moim zdaniem najistotniejsza — przestać myśleć, że

CHŁOP DO DODATEK DO CENTRALNYCH DOŻYNEK

To jest tylko skrót, a sprowadza się do dwóch spraw. Do warunków życia na wsi i do duchowej jego warstwy. Jaki jest główny argument uciekających od rolnictwa. Brak miejskiego, choćby elementarnego standardu życia i brak dostępu do szeroko rozumianej kultury. Nie tylko i nie wyłącznie tej z publikatorów, przez duże K, co nie znaczy wcale, że jakiejś tandety dla maluczkich. Wieś chce się normalnie, wygodnie umyć w łazience, chce mieć dobrą drogę i częstą komunikację z miastem. Jest, rzecz jasna, całe morze innych wieloletnich zaniedbań, tych utrudniających wydajną produkcję żywności, ale w te trzy wymienione tu sprawy warto zainwestować w pierwszym rzędzie. I to jest właśnie pole, które musi uprawiać partia na wsi. Mądrze i metodycznie. To nie może być zacofana trójpolówka — dziś walczymy o specjalizację, a ugoruje melioracja, jutro znowu propagujemy osadnictwo, ale dobrej drogi do tej wsi wciąż nie ma. Można metaforycznie powiedzieć, że bez dobrego gościńca, wieś dłużej będzie szła do socjalizmu i partii będzie dalej do wsi.

— Dla wielu ludzi istnieje sprzeczność między doktryną społecznej własności środków produkcji — w tym i ziemi — a prywatną gospodarką chłopską. Mieści się pan w tej sprzeczności?

— Proszę pani, znam młodego chłopaka, gospodarzy na 50 hektarach, to jest wielka produkcja i wielkie inwestycje. I jest komunistą z przekonań i upodobań, w naukowych podstawach socjalizmu jest lepszy niż niejeden wyjadacz z aparatu partii. Tu nie ma żadnego paradoksu. Dla mnie rolnik-komunista to naturalny związek. To tylko uproszczone rozumienie dzieli te dwa człony. Tymczasem ze wsi do socjalizmu jest bliżej niż się wydaje. Musimy tylko głębiej zastanowić się nad wieloma zagadnieniami, które wypowiadamy niemal mechanicznie. To jest potrzeba nowoczesnego spojrzenia na pryncypia ideowe. Po pierwsze. — Czy my nie za często wywijamy argumentem prywatnej własności? I zapominamy o istocie rzeczy. O tym, że dla rolnika jego gospodarstwo stanowi warsztat pracy, ciężkiej pracy i że owoce tejże spożywamy wszyscy. Indywidualne rolnictwo jest tak silnie splecione z socjalistyczną gospodarką i planowaniem, że trudno sobie dziś wyobrazić brak tej więzi, a lepiej sobie nie wyobrażać co by było przy natychmiastowym skolektywizowaniu wsi. Po drugie — uspołecznienie własności ziemi może być w naszych polskich warunkach historycznych i kulturowych tylko długotrwałym procesem, a nie jedną decyzją. Mamy do czynienia z pozorną sprzecznością — żądaniem konstytucyjnej gwarancji nienaruszalności gospodarki chłopskiej a postępującym (wg. celów założonych) procesem kolektywizacji ziemi. Istota tkwi w sferze świadomości i ciągłego przecież rozwoju cywilizacyjnego wsi. Z jednej strony — stabilna polityka państwa i pewność jutra każdego rolnika przyspiesza rozwój nowoczesnego rolnictwa wielkotowarowego. Mechanizacja, wzrost wydajności, to wszystko skłania do scalania gruntów do współpracy rolników — łączenia się w spółdzielnie czy kółka. Po prostu ekonomiczniej jest pracować wspólnie, na wspólnej ziemi. Z drugiej strony — o czym już mówiłem — wieś, to ze swej natury wspólnota. Wśród rolników powoli toruje sobie drogę świadomość, że współczesne rolnictwo obali system małych gospodarstw. Nie chcę powiedzieć, że już maszerujemy prostą drogą do celu. To jest długi proces ale już zapoczątkowany, tylko najważniejsze, żeby był to proces naturalny, wypływający z uświadomienia, z wiedzy i własnej woli, nie z administracyjnych decyzji.

I wreszcie trzecia sprawa — chyba, jak sądzę — najważniejsza. Musimy na nowo

PRZYPOMNIEĆ SOBIE SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI,

bo trochę nam zbladł ten drogowskaz. Kiedy Włodzimierz Lenin formułował swą koncepcję zespolenia rewolucyjnego proletariatu z masami chłopskimi, także nie miał do czynienia z wysoko uświadomionym chłopem, ani z nowoczesną strukturą ekonomiczną wsi rosyjskiej. Nie był to jednak dla Lenina sojusz taktyczny, lecz głęboko rozumiana konieczność ogarnięcia najszerszych i najbardziej ekonomicznie zainteresowanych mas idea budowania państwa i społeczeń-

Wiejskim gościńcem do socjalizmu

Rozmowa z prezesem Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Łodzi — JERZYM CHOJNACKIM

stwa socjalistycznego. Dzisiaj musimy ten sojusz do końca wypełnić treścią. Partia proletariacka, przewodząca narodowi, nie może się obejść bez wsi. Musi prowadzić wielką pracę polityczną wśród naturalnych sprzymierzeńców robotnika. Każda z tych klas wnosi do wspólnej sprawy swoją specyfikę, tradycję i doświadczenie. To jest wielkie bogactwo i nie wolno nam zmarnować go nierozumną polityką. Nie wolno odpychać wsi od idei socjalizmu. Znowu odzywa się tutaj kolektywny charakter życia i pracy wsi. Idea samorządu, wyłaniania własnych reprezentantów do władz różnych szczebli jest na wsi stara, jak stary jest ruch ludowy. Ile zła zrobiono lekceważąc tę tradycję, nie trzeba mówić. A czymże innym jest samorządność wsi, jeśli nie ziarnem socjalistycznej świadomości wśród chłopów. Samorządność budzi aktywność i odpowiedzialność obywatelską, najpierw tu, w opłotkach, potem dalej, do województwa i, w cały kraj. Niech pani zwróci uwagę do jakich wartości odwołujemy się dzisiaj w programie porozumienia narodowego. Spokój, rozwaga, gospodarskie myślenie, rzetelna praca. Przecież na wsi te wartości zawsze były najwyżej cenione. To ze wsi szedł apel o zaprzestanie wyniszczających strajków, o dogadanie się. Dlatego na wsi dużo rzadziej niż w mieście posłuch znajdowali wiecowi krzykacze, nawołujący do totalnej rewolucji.

— Pan ma ten posłuch?

— Chciałbym na to zasłużyć. Jestem dumny, że ludzie, wśród których żyję okazali mi zaufanie wybierając mnie na sołtysa. W każdej wsi musi być jeden taki, co pyskuje na zebraniach i skacze do oczu rozwielmożnionym urzędnikom, ale myślę, że nie zostałem wybrany tak wysoko tylko za krzykactwo zebraniowe. W czasie, kiedy na partię spadły oskarżenia, zarzuty, wszystkie nasze gorzkie żale, a często i oszczerstwa, ja dumny byłem, że jestem członkiem partii. Do jedno wiem. Nie będę, jak wielu innych, opluwać własnej przeszłości, własnej pracy i tego co już zdobyliśmy. Można, nawet trzeba wyciągać wnioski z nauczek, trzeba się uczyć nie popełniać tych samych błędów. Ale nie potępiać w czambuł wszystkiego co za nami, bo to jest zwykła nieuczciwość i obłuda. Właśnie dlatego nie rzuciłem legitymacji, bo nie uważam, że wszystko jest stracone i nie ma o co rąk zaczepić. Nie umiem odrzucić czegoś, co uważam za swoje. Tutaj się urodziłem po wojnie, tu żyję i dzięki temu ustrojowi mogę realizować moją życiową pasję. Stąd jestem i tu chcę pracować. Mam prawo uważać, że właśnie dlatego, iż nie krzyczałem z innymi przeciwko własnej partii, zostałem przez swych towarzyszy wybrany członkiem Komitetu Centralnego.

— Jak wypada pańska konfrontacja doświadczeń. Tych z codziennego życia i tych z wielkiej polityki?

— Staram się nie patrzeć tylko w jedną stronę.

Z OPŁOTKÓW DO CENTRALI,

chcę ten czas swojej kadencji we władzach partii spożytkować dla upowszechnienia znajomości spraw wsi, ale i dla ogarnięcia całości spraw kraju. Siłą rzeczy jednak, głębiej teraz tkwię w sprawach partii i tu za najbardziej palącą kwestię uważam odbudowę siły i zwartości partii. To nie jest tylko rzecz organów kierowniczych, ale wszystkich, co do jednego, członków partii. Trzeba wypracować sprawny mechanizm wyłaniania z szeregów partyjnych naturalnych działaczy, aktywistów, społeczników, w każdej organizacji lokalnej, czy zakładowej. Jeśli wstępuje się do partii, to musi temu towarzyszyć świadomość, że nie można być biernym i to nie tylko wewnątrz jej szeregów, ale może przede wszystkim na zewnątrz. Trzeba umieć pracować wśród ludzi o różnych przecież poglądach i trzeba umieć godnie bronić programu własnej partii i skupiać wokół niego możliwie najszerszy krąg społeczeństwa.

Mamy nowy, demokratyczny statut i trwa gruntowna praca nad jego głębokim przyswojeniem całej partii. Ten wysiłek nie przebiega bez trudności. Czasem trzeba przypomnieć członkom partii, że noszą legitymację i że to do czegoś zobowiązuje. Człowiek partii nie może być w swoim środowisku osamotnionym Don Kichotem. Musi sobą samym świadczyć o wartościach, jakimi kieruje się partia marksistowska. Ten głoszony powszechnie postulat odbudowy społecznego zaufania do partii, poszerzania bazy rządzenia — to wszystko w języku praktyki musi oznaczać właśnie dla każdego noszącego naszą legitymację, że to nie jest tarcza, tylko obligacja. Partia nie może być bezradna, musi ofensywnie przewodzić, wytyczając społecznie nośny program przeobrażeń państwa i społeczeństwa. Ktoś powiedział, że partia to nie budynki z czerwoną flagą, partia to my — ludzie i od nas zależy ile zdziałamy.

Nie wolno nam popełnić jednego błędu, błędu usypiania się błogą świadomością, że jednak maszerujemy do przodu na czele pochodu. Niech nas nie uspokaja myśl, że jak już kiedyś wyjdziemy z kryzysu, odbudujemy siłę i autorytet partii i zapewnimy dobrobyt narodowi, będziemy się mogli spokojnie sycić wygraną. Żadna generacja w partii nie przyjdzie na gotowe, nic, tylko scedować władzę w ręce demokratycznie wybranych reprezentantów i... spać spokojnie. Zawsze będzie coś do zrobienia, zawsze jeszcze coś się da poprawić. Chyba w gruncie rzeczy na tym polega bycie komunistą, żeby nie ślepnąć kiedy pojawia się światło w tunelu. I chyba trzeba zwyczajnie lubić ludzi, nieważne gdzie, za pługiem czy w Komitecie Centralnym.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
JOLANTA WROŃSKA

— Wieś jawi się nam — mieszczuchom — jako kraina miodem i mlekiem płynąca, obfita w chleb i jeszcze coś smacznego do chleba. Mniej natomiast wiemy o pracy na wsi, o codziennym trudzie rolnika. Słyszy się czasem takie poglądy, że „chłopu wszystko samo rośnie i dojrzewa", a on sobie tylko chodzi po polach i dogląda. Prawda jest jednak inna. Jaka? Co o tym sądzą ludzie, którzy swoją działalność polityczną kierują na wieś i sprawy wsi są im bliskie? Jakie jest miejsce ZSL w życiu wsi?

— Jesteśmy partią chłopską, siłą rzeczy działamy więc na wsi, ale z tego wcale nie wynika, że obce są nam sprawy całej gospodarki narodowej. Przeciwnie. Rolnictwo traktujemy jako część gospodarki narodowej. Jeśli rolnictwo ma dawać wyższą produkcję rolną, ma wyżywić cały naród, to przemysł musi dawać rolnictwu środki produkcji.

— Występuje tu ścisła zależność. Ale ilość i jakość tych środków produkcji jest jeszcze niewystarczająca.

— Dalece niewystarczająca. Można to zilustrować następującym porównaniem. W Polsce przemysł daje rolnictwu 4 procent swojej produkcji, a w innych krajach od 17 do 18 procent. W NRD, kiedy wprowadzano kolektywizację, przemysł dawał na potrzeby rolnictwa aż 25 proc. swojej produkcji.

— Stąd wniosek, że wielkość produkcji przemysłowej przeznaczonej dla potrzeb rolnictwa powinna stale się zmieniać. Pewien wzrost zakłada się w planie trzyletnim.

— Założono mianowicie, że w 1990 roku wielkość produkcji przemysłowej przeznaczonej dla rolnictwa wyniesie 8 procent. Ale jest to stanowczo za mało. W związku z tym zakwestionowaliśmy te założenia planu trzyletniego.

— Jakie było uzasadnienie?

— Proste. Dziś musimy importować zboże. Dlaczego? Bo uzyskujemy niskie plony. Gdybyśmy mogli osiągnąć 35 36 q z hektara, to nie potrzeba byłoby importować zboża. Uzyskano już w rolnictwie 27 q z hektara, ale obecnie przeciętny plon szacuje się na 24—25 q. Jest to mało.

— A co potrzeba, aby te plony były większe?

— Potrzeba właśnie dopływu środków produkcji na wieś. Stosuje się obecnie 180 kg nawozów mineralnych w przeliczeniu na czysty składnik NPK (azot, fosfor, potas), ale np. w NRD stosuje się 275 kg i osiąga się z hektara 35—40 q. Myślę, że ten przykład pokazuje, czego potrzeba.

Sama chemia jednak nie wystarczy. Potrzeba też maszyn, narzędzi, ciągników. Potrzeba również części zamiennych do tych maszyn. A tych części brakuje. Poza tym dostawy są niewystarczające. W ciągu trzech kwartałów wyniosły one 57 procent rocznego planu. Ale nie tylko części zamiennych. W tym samym czasie dostawy nawozów azotowych wyniosły 71,6 proc., fosforowych — 66,5 proc., a pasz treściwych — 55 procent dostaw ubiegłorocznych.

No i rolnik musi też móc kupić coś dla siebie, dla domu, żeby mógł przyzwoicie żyć. A tymczasem dostawy artykułów pochodzenia przemysłowego, nazywanych też artykułami rynkowymi, wyniosły 50—70 proc dostaw z ubiegłego roku. Obuwia dostarczono jedną trzecią potrzeb.

— W mieście też nie jest lepiej.

— Zgoda, ale nie wolno zapominać, że wieś się szybko starzeje. Odchodzą starzy, doświadczeni rolnicy, a młodzi nie chcą wracać na wieś. Dlatego warunki życia na wsi muszą się poprawiać. Jeżeli rolnictwo ma spełnić pokładane w nim nadzieje, to muszą na wsi być młodzi, zdolni i dobrze przygotowani do tej pracy ludzie.

— Rolnicy otrzymali renty za ziemię, emerytury, opiekę lekarską. Jest to więc jakiś krok w zrównaniu wsi z miastem, chociaż całkowitego zrównania być nie może. Inne warunki. Ludzie z tego po części zdają sobie sprawę. Chociaż można spotkać i takie opinie, że „chłopów się kokietuje, zamiast twardo od nich żądać", że emerytury i bezpłatna opieka lekarska były wprowadzone zbyt wcześnie.

— Nie można tak na te sprawy patrzeć. Rolnik, choć posiada prywatny warsztat pracy — ziemię, maszyny, to przecież pracuje na potrzeby społeczeństwa. Ma wyżywić to społeczeństwo. Musi mieć do spełnienia tego zadania odpowiednie warunki. Przede wszystkim środki produkcji. Mówiłem już o tym. Ale musi mieć też warunki społeczne i polityczne. Poczucie trwałości tej formy własności ziemi, jaka obecnie w Polsce obowiązuje. Ustawowo został dokonany wpis do Kodeksu Cywilnego mówiący o trwałości gospodarstwa indywidualnego. Rolnicy oczekują, że taki zapis znajdzie się też w Konstytucji PRL. 8 października 1982 roku Sejm przyjął ustawę o społeczno-zawodowych organizacjach na wsi. Z inicjatywy ZSL i pod naszą redakcją — przygotowana była ustawa o ubezpieczeniach społecznych rolników i ich rodzin. Była ona również oczekiwana przez wieś. Jak z tego widać prowadzi się dalszą pracę ustawodawczą zmierzającą do zrównania w prawach ludności wiejskiej i miejskiej.

— Stronnictwo wykazuje tu sporo inicjatyw. Dlaczego przedtem tego nie robiło?

— Nie mieliśmy siły przebicia. Widzieliśmy, że polityka wobec wsi jest niewłaściwa, że narastają zaniedbania. Pokazywaliśmy je i po 1956 roku i po 1970 roku. Nie mieliśmy wówczas własnego programu. To było naszą słabością.

— Przepraszam, ale tak przy okazji. Jak długo jest pan w ZSL?

— Działczam ZSL jestem już 32 lata.

— Może więc pan stwierdzić różnice. Na czym one polegają w rozwoju ZSL?

— Stronnictwo przechodzi istotne przemiany. Jesteśmy w trakcie kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Zbliża się Kongres ZSL. Chcemy na tym Kongresie przyjąć deklarację ideowo-programową, nad którą obecnie trwa dyskusja. W tej dyskusji, jak i w deklaracji mówi się o pracy politycznej prowadzonej w Polsce w systemie trójpartyjnym: PZPR, ZSL i SD. Taka praca powinna rozwijać się na zasadzie rzetelnego partnerstwa i równości, z zachowaniem ideowo-politycznej tożsamości i partyjnej suwerenności każdego z partnerów.

— Można to rozumieć jako sojusz partii?

— Tak. Do tego sojuszu chcemy wnosić nasz własny program dotyczący spraw wsi, rolnictwa. Chcemy być partnerem zarówno w podejmowaniu decyzji, jak i w ich realizacji. I to jest ta różnica między tym, co było w ZSL, a tym, co się tworzy.

— Kto jest waszym sojusznikiem na wsi?

— Naszym sprzymierzeńcem w walce o nowoczesną wieś i rozwój gospodarstwa rolnego — poza partiami oczywiście — będzie — taką mamy nadzieję i bardzo na to liczymy — związek zawodowy rolników.

— Czy rolnicy chętnie do niego wstępują?

— Różnie to bywa. Są chętni, ale i są wyczekujący. Zależy nam, aby w związkach działali dobrzy rolnicy, którzy cieszą się autorytetem w środowisku i kierujący się w swoim działaniu dobrem społecznym. Nie nazwa decyduje o pracy związku, ale ludzie do niego należący. I dlatego bierność rolników może przynieść szkody.

— Mówił pan o współpracy trzech partii. Nie zawsze SD jest na wsi — raczej chyba to należy do rzadkości — ale jak wygląda współpraca z tymi organizacjami, które na wsi działają? Wasz prezes Naczelnego Komitetu — Roman Malinowski jest członkiem rządu, kieruje sprawami gospodarki żywnościowej i ma wystarczającą siłę przebicia, A w gminie?

— Z tym też różnie bywa. Są gminy, gdzie taka współpraca układa się dobrze, są i takie, gdzie gorzej. Chociaż obserwujemy pewną poprawę. Ale wszystko zależy od ludzi, od tego, jak oni potrafią ze sobą na co dzień współpracować.

— Czy ludzie na wsi mają zaufanie do ZSL?

— ZSL przeżywa również kryzys. Rolnik jest przywiązany do ziemi, chce na niej dobrze pracować, ale chce też dobrze żyć, mieć dobre warunki życia. A to jest niemożliwe dziś do spełnienia. Problemów na wsi jest mnóstwo. Na przykład woda. W gospodarstwie rolnym niezbędna. A na palcach obu rąk można policzyć te wsie w województwie miejskim łódzkim, które mają wodociąg. Niezbędna jest dalsza melioracja gruntów na wsi. Potrzeba poprawy zaopatrzenia. Zresztą o tym już mówiłem. Gdybyśmy mogli wpływać na rozwiązywanie tych problemów — to znaczy, gdyby ich rozwiązanie zależało tylko od naszego wpływu, a nie od trudności, z jakimi boryka się gospodarka będąca w kryzysie — to i nasza sytuacja na wsi byłaby inna.

— ZSL jest współautorem, sygnatariuszem deklaracji Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Jak się ten ruch rozwija na wsi?

— Uważamy PRON za płaszczyznę dialogu i pojednania narodowego. W PRON powinni działać ludzie z autorytetem, ułatwiając tym budowanie autentycznego ruchu odrodzenia narodowego. Uważamy, że nie powinno być podziałów na partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących. Deklaracja PRON powinna być podstawą koalicyjnego sprawowania władzy. W dokumentach ZSL podkreślamy, że należy iść na kompromis — szukać możliwości wspólnego działania wszędzie tam, gdzie cele są nadrzędne. PRON może stać się ważnym czynnikiem konsultacji, tworzyć płaszczyznę dyskusji politycznych.

Wychodząc z tych założeń, widzę potrzebę budowy mocnego ogniwa tego ruchu właśnie na wsi. Wiejskie komitety PRON powinny przede wszystkim tworzyć możliwość działania tym wszystkim, którzy chcą wspólnie rozwiązywać lokalne problemy.

Poza tym proszę nie zapominać, że ruch ludowy ma w Polsce bogate tradycje. Częścią składową tej tradycji jest zawsze, w najtrudniejszych momentach naszych dziejów, zwycięstwo zdrowego rozsądku wśród społeczności wiejskiej, zwycięstwo tych sił, które zdolne są w imię dobra ogólnego przezwyciężać wszelkie przeszkody, mobilizować ludzi do walki i pracy. Do tych tradycji trzeba nawiązywać w tworzeniu PRON na wsi.

Myślę, że PRON znajdzie uznanie na wsi. Rolnik ceni bowiem swoją pracę, jest skłonny do ugody i kompromisów, odporny na przeciwności losu, przywykły do sąsiedzkiej pomocy, czyli do wspólnego działania — to wszystko są warunki niezbędne w rozwoju PRON. Stąd mój pogląd, że ruch ten znajdzie poparcie na wsi.

— W mieście nie należy do rzadkości posądzanie chłopów o egoizm, sobkostwo, nieliczenie się z potrzebami innych. Uważa się, że chłopom dziś żyje się bardzo dobrze, lepiej niż w mieście. Posądza się nawet, że to rolnicy, po zbiorach, wpłynęli na wzrost cen na samochody na giełdach, całego kraju. A przecież kiedyś aktualny był sojusz robotniczo-chłopski.

— Nie mogę zgodzić się z taką oceną chłopów. Wieś niejednokrotnie dawała przykłady patriotyzmu. Cechuje rolników umiłowanie ziemi, pracowitość i rzetelność, szacunek do chleba, potępienie wszelkiego zła i niesprawiedliwości. A nawiązując do sojuszu robotniczo-chłopskiego, to jest on nadal aktualny. W deklaracji ideowo-programowej ZSL na poczesnym miejscu wpisaliśmy ideę sojuszu robotniczo-chłopskiego. Nasza współpraca z PZPR i SD opiera się też na tej idei.

— To w założeniach. A w codziennej praktyce?

— W warunkach obecnego kryzysu sojusz ten został poważnie zachwiany, naruszony. Nieobce są nam poglądy ludności miejskiej na sprawy wsi. Ludzie w mieście widzą tylko to, że rolnik ma samochód. To fakt.

— Oczywiście, nie wszyscy rolnicy mają samochody. Wieś dziś jest też rozwarstwiona.

— Ale są tacy rolnicy, którzy mają. I nikt tego nie zamierza ukrywać. Tylko, że samochód osobowy dla rolnika nie jest luksusem, a środkiem produkcji. Tego wielu ludzi w mieście nie chce wziąć pod uwagę i zrozumieć.

— Czasem są to ci, którzy sami mają samochód i używają go tylko w niedzielę a wieś znają z okien tego samochodu.

— Też bym nie uogólniał. Natomiast inną sprawą jest różne rozumienie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Otóż wieś rozumie to tak: naszym zadaniem jest produkować żywność, zadaniem robotników w mieście — produkować między innymi środki produkcji dla wsi. Jeśli któraś ze stron nie wywiąże się ze swoich zadań, to i druga będzie pracowała gorzej. Obie strony wzajemnie bez siebie istnieć nie mogą. Stąd niezbędny jest sojusz między nimi.

— Statystyki wykazują, że rolnicy mają obecnie wysokie dochody.

— Statystyki operują wielkościami, procentami, zależnościami między tymi wielkościami. Nie ujmują specyfiki pracy w gospodarstwie rolnym. Liczy się ilość pieniędzy, jakie rolnik otrzymuje po sprzedaniu produkcji rolnej. Czy to jest jego czysty zysk? Nie. On z tych pieniędzy musi również inwestować. Tego już pod uwagę się nie bierze. Kto nie będzie rozwijał swego gospodarstwa, ten może znaleźć się w trudnej sytuacji. I rolnik o tym pamięta. Inni tego nie widzą.

— Chyba coś się w tej dziedzinie zmieniło? Odchodzą ludzie starsi, gospodarujący tradycyjnie, ich miejsca zajmują ludzie młodzi, absolwenci szkół rolniczych. Jest na wsi służba rolna, która powinna spieszyć z pomocą rolnikowi, choć często tego nie robi.

— Oświata rolnicza — to nie tylko szkoły, technika, przysposobienie rolnicze, to również kursy, dokształcanie, kształcenie nieustające. Z tym mamy kłopoty. Rolnicy często skarżą się, że nie mają doradcy fachowego, choć jest na wsi służba rolna, która przeszła teraz do wojewódzkich ośrodków postępu rolnego. Zdarzają się gospodarstwa słabe, można spotkać się z przykładami braku kultury gospodarowania. Jeśli więc mówię o ogromnym znaczeniu szeroko rozumianej oświaty rolniczej, to przede wszystkim to mam na uwadze.

Trzeba organizować kursy, dokształcać, a brakuje wykładowców. Trzeba dokształcać rolników i dlatego WOPR odpowiedzialny za organizację oświaty pozaszkolnej powinien to szkolenie prowadzić w większym zakresie.

— Wieś ma duże tradycje w ruchu samorządowym, spółdzielczości wiejskiej. Teraz otworzyły się możliwości przed rozwijaniem samorządu na wsi. Czy właśnie samorząd wiejski nie powinien podjąć się rozwiązywania tych spraw na własnym terenie?

— Ustawa z 8 października 1982 roku stwarza możliwości rozwijania samorządu wiejskiego. Jestem gorącym zwolennikiem samorządu. Myślę, że powinien się odrodzić I sądzę, że m. in. zajmie się również oświatą i kulturą na wsi.

W województwie łódzkim, gdzie wszędzie jest blisko do Łodzi, problemów kulturalnych może się tak ostro nie odczuwa, jak w województwach typowo rolniczych i dalej od środka Polski położonych, ale jest to ważny problem. W tych dalekich województwach jedynym łącznikiem z kulturą jest telewizja.

— Obecnie też przeżywająca kryzys.

— Tym bardziej jest to szkodliwe zjawisko, gdyż odbiera możliwość kontaktu z kulturą. Ale uważam, że wieś nie może na tym poprzestać. W każdej gminie musi być prowadzona działalność kulturalna. I to szeroko rozumiana. Dlaczego w ramach działalności kulturalnej nie można prowadzić różnych porad, choćby i technicznych? Na wsi jest to potrzebne.

— Co temu przeszkadza?

— Przeszkód jest wiele. Czasem brak lokalu, czasem pieniędzy, czasem wykładowcy, instruktora, czasem inicjatywy. Ale chyba najważniejszą przeszkodą są trudne warunki pracy na wsi. O tym też się często nie pamięta. Jest tu pewna zależność. Im postęp na wsi będzie bardziej widoczny i odczuwalny przede wszystkim w warunkach pracy, kiedy praca ta będzie stawała się lżejsza, kiedy będzie bardziej zmechanizowana a wydajność będzie rosła, wtedy i sytuacja kulturalna wsi będzie się szybciej i wyraźniej zmieniała.

— Ale na to jeszcze trzeba sporo poczekać.

— Postęp jest bardzo powolny, ale jest.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Nasz czas przeszły

Z prehistorii obozu burżuazyjnego w Polsce

PAWEŁ SAMUŚ

Klęska powstania styczniowego i represje popowstaniowe sprzyjały kształtowaniu się w życiu społeczeństwa Królestwa Polskiego nastrojów rozgoryczenia i apatii. Zamarło życie polityczne, osłabieniu uległy polskie dążenia niepodległościowe. Nastąpiło natomiast ożywienie gospodarcze. Dynamicznie rozwijał się przemysł i klasa robotnicza, kształtowały się wielkie skupiska miejskie, dokonywały się przeobrażenia społeczne i gospodarcze na wsi. Aktywność w sferze gospodarczej, kulturalnej i oświatowej dla zwolenników pozytywistycznego hasła „pracy u podstaw" miała służyć wzmocnieniu sił narodu zagrożonego bezwzględną polityką wynaradawiającą rządów zaborczych.

Na przełomie lat 70. i 80. XIX w. pojawiły się pierwsze symptomy zmian nastrojów części społeczeństwa polskiego. Nie były to jeszcze zjawiska masowe, ale stanowiły one zapowiedź powstania nowoczesnych ruchów politycznych, w których na czoło wysunie się problematyka społeczna i narodowa. Przejawem aktywizacji było powstanie pierwszych kółek socjalistycznych (1876 r.), a następnie Socjalno-Rewolucyjnej Partii „Proletariat" (1882 r.), pierwszej w Polsce nowoczesnej partii politycznej. Później nieco poczęły kształtować się inne nurty życia politycznego: ludowy i burżuazyjny. Proces krystalizacji tego drugiego nie został jeszcze całkowicie poznany przez historyków, choć dokonał się już poważny postęp w badaniach jego dziejów.

Jednym z podstawowych obozów politycznych polskich klas posiadających była Narodowa Demokracja, potocznie określana mianem endecji, wyrażająca program nacjonalizmu i solidaryzmu społecznego, wrogość wobec socjalizmu i wszelkich doktryn uniwersalistycznych. Uznana za najbardziej reprezentatywną siłę polityczną polskiej burżuazji i drobnomieszczaństwa zasięgiem oddziaływania obejmowała także niektóre środowiska inteligenckie, chłopskie i ziemiańskie.

W literaturze historycznej większość autorów wywodziła rodowód organizacyjno-polityczny tego obozu z tajnej Ligi Polskiej, uznając że jej prostą kontynuacją stała się Liga Narodowa. Odmienne stanowisko zajął w wydanych ostatnio pracach wybitny znawca dziejów obozu narodowego R. Wapiński, który przekonywająco dowodzi, że decydującą rolę w kształtowaniu się owego nurtu burżuazyjnego odegrały poczynania ludzi związanych z pismem „Głos" oraz Związkiem Młodzieży Polskiej, zaś wpływu Ligi Polskiej doszukać się można jedynie w formalnych związkach organizacyjnych, brak bowiem takich w sferze programowej. Podobne ujęcie prezentował w swojej książce inny badacz dziejów endecji, J. J. Terej.

W październiku 1886 r. powstał w Warszawie tygodnik „Głos", na czele którego stanęli Józef Potocki (ps. Marian Bohusz), Józef Hłasko, Jan Ludwik Popławski, Mieczysław Brzeziński, Zygmunt Heryng, Edward Paszkowski i inni. Pismo stało się prężnym ośrodkiem ideowo-społecznym zjednującym sobie współpracowników i zwolenników spośród demokratycznie nastrojonej inteligencji. W pierwszym okresie istnienia „Głosu" (1886—88) na jego łamach ukazywały się liczne publikacje popularyzujące osiągnięcia postępowej myśli radykalno-demokratycznej i socjalistycznej, poglądy bliskie rosyjskiemu narodnictwu. Pismo brało w obronę chłopów i robotników, potępiało sybarytyzm ziemiaństwa, atakowało kapitalistów Niemców i Żydów, propagowało idee spółdzielczości, domagało się emancypacji kobiet. Z czasem oblicze ideowo-polityczne „Głosu" zaczęło się klarować, coraz częściej wyrażało ono tendencje świadomego przeciwstawienia polskich mas ludowych, a zwłaszcza chłopstwa, doktrynie socjalistycznej i ruchowi rewolucyjnemu, uznanym za zgubne dla sprawy narodowej.

W środowisku „Głosu" czołową rolę począł odgrywać Jan Ludwik Popławski (1854—1908) pochodzący z rodziny szlacheckiej, jeszcze jako student uniwersytetu warszawskiego wspólnie z Adamem Szymańskim powołał tajną organizację patriotyczną (1877 r.), za co był więziony i skazany na zesłanie. Po powrocie (1882 r.) współpracował z organem pozytywistów „Prawdą", a potem przeszedł do „Głosu", w którym utalentowany pisarz i publicysta stał się przywódcą zespołu. Popławski począł wkrótce w piśmie wyrażać tendencje nacjonalistyczne. W literaturze historycznej uznany został za jednego z czołowych ideologów polskiego nacjonalizmu.

Inicjatywa o szerszym zasięgu zrodziła się na emigracji, gdzie w sierpniu 1887 r. powołano Ligę Polską. Historycy nie potrafią dziś odpowiedzieć precyzyjnie na pytanie kto pierwszy rzucił myśl zawiązania Ligi. Idea ta zapewne zrodziła się równocześnie u kilku działaczy niepodległościowych. Niektórzy historycy (S. Kozicki) uważają nawet za prawdopodobne, iż była ona inspirowana przez masonerię, która zainteresowana była rozszerzeniem swoich wpływów w Polsce. Istnieją dane, że już w marcu 1887 r. we Lwowie powstał akt zawiązania Centralizacji Ligi Polskiej, lecz czyniono to w pośpiechu kładąc bez wiedzy działaczy emigracyjnych ich podpisy pod dokumentem, z czego wynikły tylko nieporozumienia i akcja utknęła w martwym punkcie. Wkrótce jednak za sprawą przedstawicieli emigracji doszło do spotkania czterech działaczy niepodległościowych. Większość historyków uznaje za inicjatora zebrania Zygmunta Miłkowskiego, natomiast S. Kozicki przypuszcza, że do spotkania doprowadził Ludwik Michalski, który podejmował w swoim zamku Hilfikon w Szwajcarii Zygmunta Miłkowskiego, Maksymiliana Hertla i Aleksandra Hirschberga.

Najwybitniejszą postacią w tym gronie był pułkownik Zygmunt Miłkowski (1824—1915), publicysta i jeden z najpoczytniejszych pisarzy polskich XIX w. występujący pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż, autor około 80 powieści. Syn oficera napoleońskiego, dzierżawcy, uczestnik kółek spiskowych już w latach szkolnych i studenckich, walczył w szeregach legionu polskiego w powstaniu węgierskim (1848—49). W Anglii został członkiem emigracyjnej organizacji Towarzystwo Demokratyczne Polskie (TDP), był jego emisariuszem na Ukrainie (1851), a podczas wojny krymskiej działał po stronie tureckiej. W 1858 r. wybrany do Centralizacji TDP przebywał w Paryżu i Londynie. W roku następnym osiedlił się w Mołdawii, gdzie zajmował się pracą literacką i konspiracyjną. Uczestniczył w przygotowaniach do powstania 1863 r., a po wybuchu walk sformułował w Bułgarii oddział powstańczy, lecz kiedy na jego czele usiłował przedrzeć się na Podole został zatrzymany przez wojsko rumuńskie. Przedostał się potem do Lwowa, gdzie aresztowali go Austriacy. Po zwolnieniu z więzienia (1864) udał się na emigrację, działał w Belgradzie, potem w Brukseli, a wreszcie w 1872 r. osiadł w Lozannie w Szwajcarii. Należał do grupy czołowych działaczy Zjednoczenia Emigracji Polskiej.

Miłkowski nie uznawał klęski powstania styczniowego za definitywną i stale wyrażał przekonanie, że należy służyć wszystkimi dostępnymi środkami sprawie niepodległej i demokratycznej Polski. Stopniowo w gronie wychodźców przyjaciół Miłkowskiego krystalizowała się koncepcja utworzenia tajnej organizacji niepodległościowej gromadzącej broń i środki finansowe. Miłkowski licząc się z możliwością wojny europejskiej z powodu zatargu austriacko-rosyjskiego na tle rywalizacji tych państw o wpływy na Bałkanach, wyprawił w październiku 1886 r. do kraju emisariusza dla nawiązania kontaktu z działaczami konspiracyjnymi.

Wysłannikiem był Zygmunt Balicki (1858—1916), absolwent wydziału prawnego uniwersytetu petersburskiego, były działacz ruchu socjalistycznego, związany z jego nurtem dającym w programie priorytet kwestii narodowej. Po zwolnieniu z więzienia austriackiego schronił się w Szwajcarii, gdzie poznał Miłkowskiego, co zadecydowało o dalszej jego drodze politycznej i rozstaniu z socjalizmem. Balicki przebywał najpierw w Krakowie, a w listopadzie 1886 r. w Warszawie przeprowadził rozmowy z przedstawicielami środowiska „Głosu" i zapewne innych kółek. Zdołał w krótkim czasie, bo już w styczniu 1887 r. w Krakowie założyć Związek Młodzieży Polskiej (w skrócie „Zet"), trójzaborową organizację międzyuczelnianą, do której weszli przedstawiciele kół młodzieżowych z Warszawy, Puław, Krakowa i Lwowa. Celem naczelnym „Zetu" było dążenie do niepodległości Polski „na gruncie sprawiedliwości politycznej, narodowej i społecznej". Jego organizacja została oparta na wzorach masonerii, która zdaniem części historyków inspirowała powołanie związku. Istnieją ślady, iż sam Balicki należał na emigracji do masonerii. „Zet" był tajnym związkiem trójstopniowym dzielącym członków na „kolegów", „towarzyszy" i „braci" (najwyższy stopień). Zadaniem zaprzysiężonych członków po ukończeniu studiów miało być przenikanie do życia społecznego i praca dla celów związku.

Miłkowski tymczasem w porozumieniu z grupką przyjaciół na emigracji ogłosił w Paryżu broszurę „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym" (1887 r.). Skrytykował w niej politykę ugodowców i postawę pozytywistów, wskazywał na możliwość uzyskania niepodległości i potrzebę prac przygotowawczych przez utworzenie tajnej organizacji ogólnopolskiej, gromadzenie funduszy na cele narodowe.

Z pomocą finansową na cele narodowe pospieszył Ludwik Michalski, właściwe nazwisko Matyasek (1836—1888), syn nauczyciela pochodzenia chłopskiego, oficer w powstaniu styczniowym, a potem na emigracji. Ukończył politechnikę w Zurychu, a w 1868 r. wyjechał na Sumatrę, gdzie założył plantację tytoniu i modernizował ponoć armię panującego tam sułtana Dali. Po siedmiu latach powrócił z wielkim majątkiem i zrujnowanym zdrowiem do Szwajcarii, gdzie naturalizował się i nabył w kantonie Aargau dobra Hilfikon z zamkiem, działał w lokalnym samorządzie i towarzystwach szwajcarskich. Został prezesem Zjednoczenia Towarzystw Polskich w Szwajcarii, poświęcił wiele pieniędzy na cele polskiej emigracji. Związał się z Zygmuntem Miłkowskim i popierał finansowo jego przedsięwzięcia, udzielił gościny w swej posiadłości uczestnikom zebrania założycielskiego Ligi Polskiej.

Na spotkaniu w zamku hilfikońskim oprócz gospodarza i Miłkowskiego środowiska emigracyjne reprezentował także trzeci uczestnik Maksymilian Hertel (data urodzin nie jest znana — zmarł w 1921 r.). Były powstaniec z 1863 r. wyemigrował potem do Francji. Studiował w Szkole Polskiej na Montparnasse, należał do założycieli i członków zarządu stowarzyszenia polskiej młodzieży kształcącej się w Paryżu, za udział ochotniczy w wojnie niemiecko-francuskiej odznaczony został francuskim medalem wojskowym. Aktywny w różnych poczynaniach środowisk emirgacyjnych, zbliżony do liberałów, stał się zwolennikiem Miłkowskiego.

Z kraju na zebranie przybył dr Aleksander Hirschberg (1847—1907), sekretarz naukowy Zakładu im. Ossolińskich i kustosz Biblioteki Ossolińskich we Lwowie, historyk o znaczącym dorobku naukowym, wykładał historię Polski XV—XVIII w. w Uniwersytecie Lwowskim. Był postacią popularną w polskim środowisku Lwowa. Brał udział w pracach konspiracyjnych Konfederacji Narodu Polskiego i przypuszczalnie Rządu Narodowego (1876—1877), utrzymywał kontakt z kółkami warszawskimi. Konspiracja lwowska wydelegowała go jako swego upełnomocnionego przedstawiciela, by wspólnie z działaczami emigracyjnymi doprowadził do utworzenia demokratycznej organizacji niepodległościowej.

Zebrani w zamku hilfikońskim na początku sierpnia 1887 r. czterej działacze postanowili utworzyć tajną organizację polityczną o zasięgu trójzaborowym pod nazwą Liga Polska, mającą objąć całą akcję niepodległościową.

Powołano jej władze naczelne — Centralizację, do której weszli Zygmunt Miłkowski jako prezes oraz Ludwik Michalski i Maksymilian Hertel jako członkowie. Po śmierci Michalskiego (26 VI 1888 r.) na jego miejsce wszedł do Centralizacji Henryk Gierszyński (1845—1930), lekarz i publicysta zamieszkały w Paryżu. Postanowiono wydawać organ publicystyczny Ligi — „Wolne Słowo Polskie", którego pierwszy numer ukazał się już 15 września 1887 r. w Paryżu. Pismo subsydiowane było przez Michalskiego, a jego redaktorem został Miłkowski. „Wolne Słowo Polskie" odegrało bardzo ważną rolę w propagowaniu koncepcji Skarbu Narodowego, który to pomysł jako pierwszy bodaj wysunął jeszcze Agaton Giller, a rozwinął Miłkowski.

Instytucja ta gromadząca środki na cele narodowe została formalnie powołana w 1891 r., choć składki na ten cel zbierano wcześniej. Poważnych funduszy na jej założenie dostarczył Michalski, który zapisał w testamencie ponad 100 tys. franków na cele społeczne, w tym 30 tys. na Skarb Narodowy. Z napływających dobrowolnych składek ze środowisk polskich w ciągu 20 lat zgromadzono ponad 300 tys. franków. Fundusze zostały zdeponowane w Muzeum Polskim w Rapperswilu. Pieczę nad Skarbem Narodowym sprawował Miłkowski jako prezes, a także Gierszyński jako wiceprezes oraz Hertel prowadzący rachunki.

Podstawowy dokument programowo-statutowy organizacji nosił tytuł „Ustawa Ligi Polskiej" i był datowany 15 grudnia 1887 r. Deklarował on jako naczelny cel Ligi „przysposobienie i skupienie wszystkich sił narodowych celem odzyskania niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych na podstawie federacyjnej i z uwzględnieniem różnic narodowościowych, nie spuszczając z oka i tych części dawnej Rzeczypospolitej, co wcześniej od niej odpadły". Program nawiązywał bezpośrednio do tradycji i ducha ideologii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, zobowiązując się realizować jego zasady programowe „w kierunku narodowym i społecznym". Przypomnijmy, że ta najsilniejsza organizacja polskiego wychodźstwa po powstaniu listopadowym istniała do 1862 r., a przejawiała najżywszą działalność w latach 40 XIX w., przygotowując trójzaborowe powstanie. Program TDP zawarty w tzw. manifeście poitierskim (1836 r.) nosił w pewnym stopniu charakter burżuazyjno-demokratyczny.

„Ustawa" stwierdzała, że Liga „popierać będzie działanie rewolucyjne mające na celu bądź zmianę systemu rządowego, bądź obalenie rządu". Jej autorzy deklarowali poparcie dla idei wspólnoty interesów polskich i europejskich sił demokratycznych, wskazując że „zwycięstwo zasad sprawiedliwych w całej Europie przyspieszy chwilę odzyskania niepodległości. Centralizacja dołoży swych usiłowań, aby wejść w stosunki z towarzystwami i stronnictwami zagranicznymi, które w tym kierunku pracują". Usiłowano rozwiać złudzenia o możliwości rozwiązania sprawy polskiej przez państwa europejskie akcentując, że „zasadą, której się Centralizacja trzymać i w umysły wpajać będzie, jest, że naród polski na żadną obcą w sprawie swojej pomoc liczyć nie może", a dalej zapowiadano zwalczanie ugrupowań szerzących „w narodzie niewiarę we własne siły".

Program Ligi deklarował podjęcie działań na rzecz rozwoju oświaty oraz „dobrobytu klas wydziedziczonych i w ogóle rozwoju sił narodowych pod względem społecznym i ekonomicznym". Dokument wzywając do zdecydowanej walki o niepodległość propagował równocześnie zasady solidaryzmu społecznego. Głosił konieczność zespolenia „wyższych warstw społeczeństwa polskiego z niższymi", co miało, jak wyjaśniano, przynieść korzyści tym pierwszym. Solidarystyczne ujęcie eksponowało interes „warstw wyższych" nieomal indentyfikowany z racją ogólnonarodową, prowadząc w konsekwencji do przeciwstawienia się walce klasowej.

W sierpniu 1888 r. „Ustawa Ligi Polskiej" uległa pewnej modyfikacji, lecz podstawowa koncepcja programowa nie została naruszona. Jak podkreśla R. Wapiński, podtrzymany został postępowy charakter sformułowań programowych i potwierdzono zasadę tolerancji wobec innych ruchów narodowych. Ewolucja programu nie poszła zatem w kierunku nacjonalistycznym. Dodajmy, że już wcześniej Z. Miłkowski, obcy wszelkim szowinistycznym skłonnościom, kładł nacisk na równouprawnienie i asymilację Żydów, miał też nadzieję na rozwiązanie konfliktów z Ukraińcami drogą dobrowolnie akceptowanej federacji.

Struktura organizacyjna Ligi Polskiej określona została w jej statutach. Na czele stała Centralizacja, a ponadto „ustawa" z 1888 r. wprowadziła dla trzech zaborów komitety centralne posiadające dużą samodzielność oraz podległe im komisariaty, agentury, a także stowarzyszenia zagraniczne. Kierownikiem jej prac był Miłkowski. Centralizacja zwołała trzy zjazdy: w Genewie (1888 r.), Quarville pod Paryżem (1889 r.), w Paryżu (1890 r.); w 1891 r. zamiast zjazdu odbyły się w Zurychu obchody setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja.

Początki działalności Ligi Polskiej były raczej skromne. Prowadziła ona akcję wydawniczą i gromadziła fundusze na Skarb Narodowy. Podjęto jednak wiele wysiłków zmierzających do rozszerzenia zasięgu oddziaływania na społeczeństwo.

Jednym z głównych punktów oparcia Ligi w kraju stało się prężne środowisko warszawskiego „Głosu". W styczniu 1888 r. kierownictwo „Zetu" podporządkowało się Lidze Polskiej zawierając poufną umowę w sprawie akcesu organizacyjnego. Związek zobowiązał się przygotowywać działaczy do przyszłej pracy w Lidze i popularyzacji jej ideologii w społeczeństwie polskim. „Zet" w zaborze rosyjskim obejmował w 1888 r. około 85 osób, następnie niewiele ponad 100, w pięciu grupach: warszawskiej, puławskiej, petersburskiej, odeskiej i kijowskiej. Liga otrzymała do swej dyspozycji organizację o niemałym znaczeniu, skupiającą prężny i dynamiczny element młodzieży. Wejście młodych działaczy miało wkrótce przynieść poważne konsekwencje dla ideologii i bytu organizacyjnego samej Ligi. Ponadto w 1888 r. utworzono w zaborze rosyjskim organizację „Łączność", która miała skupiać członków „Zetu" po ukończeniu studiów do działalności kulturalno-oświatowej.

Pertraktacje prowadzone w Paryżu przez M. Hertla i Z. Balickiego z emigracyjną organizacją Gmina Narodowo-Socjalistyczna zakończyły się pomyślnie. W styczniu 1889 r. ten ostatni podpisał umowę w myśl której ta organizacja zgłosiła akces do Ligi Polskiej. Obaj działacze pracowali również nad powołaniem do życia Związku Wychodźstwa Polskiego (1891 r.), którego prezesem został Balicki, a związek zgłosił akces do Ligi.

Najaktywniejsza w „Zecie" grupa warszawska urządziła w 1891 r. manifestację w setną rocznicę Konstytucji 3 Maja, w następnym roku ogłosiła żałobę narodową w stulecie II rozbioru Polski, lecz poczynania te pociągnęły za sobą represje policyjne. W agitacji wśród młodzieży „zetowcy", posługiwali się radykalnymi hasłami, a w środowiskach robotniczych i rzemieślniczych propagowali idee solidaryzmu społecznego w imię nadrzędnego interesu narodowego.

Konsekwencje napływu młodych działaczy do Ligi Polskiej dały wreszcie znać o sobie, a ich symptomem były przejawy ujawniania się nurtu nacjonalistycznego w „Zecie". Wśród młodzieży tej wybijającą się postacią był Roman Dmowski (1864—1939), syn przedsiębiorcy kamieniarskiego, wtedy jeszcze student biologii Uniwersytetu Warszawskiego. W 1888 r. został on członkiem „Zetu", a w roku następnym przyjęto go do Ligi Polskiej. Gdy w jego ręku spoczęło kierownictwo grupy warszawskiej „Zetu" (1890 r.), doprowadził do opuszczenia jego szeregów przez studentów pozostających pod wpływem idei socjalistycznej, a także przyczynił się do zniesienia formalnej zależności tej organizacji od Ligi. Dmowski, jak wskazują jego biografowie (R. Wapiński, A. Micewski) pozostawał pod wpływem J. L. Popławskiego, który wywarł zasadniczy wpływ na kształtowanie się ówczesnych poglądów młodego działacza na kwestię narodową.

Już po uzyskaniu stopnia kandydata nauk przyrodniczych, odpowiadającego doktorowi, wyruszył Dmowski jesienią 1891 r. do Paryża. W drodze spotkał się z Z. Balickim, z którym się przyjaźnił, a podczas spotkania wysunął projekt, dla którego pozyskał wcześniej Popławskiego, przeniesienia ośrodka kierowniczego Ligi Polskiej do kraju i skoncentrowania tu całej działalności. Ci trzej działacze mieli stać się twórcami zmienionej linii politycznej i ideologii nowej organizacji. W lipcu 1892 r. w Genewie Dmowski i Balicki, deklarujący się jako wyznawcy nacjonalizmu i uznający za konieczne zerwanie z demokratyczno-liberalnymi koncepcjami oraz masońskimi powiązaniami, opracowali projekt nowej organizacji. Utworzenie jej odwlekło się, bowiem Dmowski po powrocie do Królestwa został aresztowany i przez kilka miesięcy przebywał w więzieniu.

1 kwietnia 1893 r. w Warszawie z inicjatywy Dmowskiego zebrani członkowie Ligi Polskiej w obecności jej komisarza na Królestwo Popławskiego i za jego zgodą wypowiedzieli posłuszeństwo Centralizacji oraz podjęli decyzję o reorganizacji ruchu i utworzeniu nowej organizacji — Liga Narodowa. Mimo że deklarowała się ona jako kontynuatorka poprzedniczki, w istocie była nową politycznie i ideologicznie organizacją, która przyjęła program nacjonalizmu rozwijany w następnych latach. W nowym kierownictwie główną rolę odgrywali organizatorzy przewrotu, twórcy nowej organizacji i jej ideolodzy — Dmowski, a obok niego Balicki i Popławski.

Centralizacja Ligi Polskiej rozwiązała się w 1894 r. W następnym roku Miłkowski został przyjęty do Ligi Narodowej, której twórcom zależało na pozyskaniu jego przychylności, bowiem liczyli na dotacje ze Skarbu Narodowego. Miłkowski choć odsunięty od steru pozostał lojalny wobec Ligi Narodowej, współpracował z prasą endecką, a dopiero w 1908 r. zaprotestował publicznie przeciwko przejściu endecji na pozycje ugody z caratem i odciął się od niej. Nie zbliżył się natomiast ani do socjalistów, ani do zwolenników Józefa Piłsudskiego. Jednak w przededniu I wojny światowej przesłał strzelcom w Krakowie „błogosławieństwo wojskowe". Po wybuchu wojny krytycznie wyrażał się na temat orientacji austriacko-niemieckiej i nadzieje na odzyskanie niepodległości wiązał ze zwycięstwem państw Ententy. Zmarł w Lozannie 11 stycznia 1915 r. i tam został pochowany. ■

Zwolennicy i przeciwnicy kultu obrazów

EDMUND LEWANDOWSKI

Po śmierci Kazimierza Wielkiego tron polski odziedziczył jego siostrzeniec — panujący na Węgrzech — Ludwik I z dynastii Andegawenów (syn córki Władysława Łokietka ojciec Jadwigi). Ten najwybitniejszy z władców węgierskich rzadko bywał w naszym kraju tłumacząc się, że *„nie może znosić powietrza polskiego"*. W jego imieniu rządziła królowa — matka Elżbieta. Rolę regenta spełniał też bliski współpracownik i namiestnik Ludwika Węgierskiego w Polsce — książę Władysław Opolczyk.

W polityce religijnej dynastia andegaweńska popierała bardzo działalność zakonu paulinów. Po zwycięzeniu Wenecji Ludwik I zabrał stamtąd rzekome ciało Pawła i umieścił w klasztorze paulińskim pod Budą. Wkrótce po tym wydarzeniu Władysław Opolczyk sprowadził w 1382 r. szesnastu paulinów z Węgier i osadził w Częstochowie. A dwa lata później złożył w ich klasztorze cudowny obraz Matki Boskiej, pozyskany przez siebie na Rusi Czerwonej, gdzie dawniej był wielkorządcą.

DZIEJE JASNOGÓRSKIEGO OBRAZU

Legenda głosiła, że obraz malował sam św. Łukasz Ewangelista i to na deskach z blatu stołu Świętej Rodziny w Nazarecie. Dlatego do dziś przedmiotem kultu jest nie tylko wizerunek, lecz również relikwia podobrazia. Już od sześciu stuleci przybywają do Częstochowy pielgrzymi z całego kraju, aby oddać cześć czarnej i smutnej „Pani Jasnogórskiej". W bieżącym roku, 15 sierpnia, zebrało się tutaj aż 150 tysięcy pieszych wędrowców, wśród których dominowała pielgrzymka warszawska.

Jednakże odwiedzany obecnie obraz nie jest tym samym, który w 2 poł. XV wieku przekazał paulinom Władysław Opolczyk. Tamten bowiem został zniszczony podczas ataku na klasztor w sam dzień Wielkanocy 1429 roku. A porzucone przez napastników szczątki przywieziono do Krakowa i wystawiono w stołecznym ratuszu. W latach 1430—1434 nieznani artyści scalili porąbane szablami deski i namalowali cały nowy obraz, starając się z pewnością odtworzyć poprzedni wizerunek. Na pamiątkę profanacji wyżłobili i namalowali cięcia na twarzy Matki Boskiej, mające imitować uderzenia mieczem.

Badania prowadzone w 1926 r. wykazały, że podobrazie składa się z trzech desek wykonanych z drewna lipowego, co praktycznie wyklucza ich pochodzenie z dalekiej Palestyny. Albowiem lipa występuje głównie w strefie umiarkowanej na półkuli północnej. U słowian było to drzewo święte, jak u Celtów i Germanów dąb, które po przyjęciu chrześcijaństwa poświęcono właśnie Matce Boskiej. Lud wierzył, że Matka Boska „mieszka" w lipie (stąd Święta Lipka na Mazurach). Pod istniejącym obrazem nie ma niestety śladów zniszczonego malowidła, dlatego trudno określić czas powstania pierwotnego wizerunku. Nie wiemy ponadto, w jakim stopniu dzisiejszy obraz stanowi wierną kopię poprzedniego. Ale prawdopodobnie książę Władysław Opolczyk zdobył ikonę powstałą na Rusi nie wcześniej niż w XIII wieku.

W jaki sposób i dlaczego doszło w 1429 r. do zbeszczeszczenia i zniszczenia świętego obrazu? Otóż zrobili to polscy i czescy husyci, którzy w tamtych latach dokonywali napadów na klasztory. Czynili to notabene nie z jakichś zbójeckich pobudek, lecz z wewnętrznego przekonania i głębokiej wiary, że należy niszczyć wszystkie miejsca bałwochwalstwa i fałszywych cudów, służące do wyłudzania pieniędzy i gromadzenia bogactw. Jan Długosz pisał, że według nauki husytów *„Obrazy Boga i Świętych powyrzucać trzeba"*.

WYZNAWCY JANA HUSA

Husytyzm — podobnie jak wcześniejsze herezje waldensów, albigensów-katarów, chiliastów, wiklefistów, oraz późniejsze ruchy luteranów, kalwinów i innych — był rozpaczliwym protestem przeciwko skrajnej demoralizacji duchowieństwa katolickiego, szczególnie wyższego z Papiestwem włącznie. Kryzys moralny w Kościele utrzymywał się od kilku wieków; panowały symonia, nikolaizm i nepotyzm. Można było kupić i sprzedać lub przekazać krewnym najwyższe nawet stanowiska kościelne. W końcu XIV i na początku XV wieku istniał gorszący stan dwuwładzy w Kościele: jedni papieże urzędowali w Rzymie, drudzy w Awinionie. Pewne państwa uznawały tych, a inne tamtych.

W celu rozwiązania konfliktu w 1409 r. obu ówczesnych papieży — Grzegorza XII i Benedykta XIII — odwołano jako niegodnych tiary i wybrano Aleksandra V. Ponieważ jednak żaden nie chciał ustąpić, Kościół miał teraz jednocześnie przez kilka lat aż trzech namiestników św. Piotra! Nie były to zresztą najciemniejsze karty Papiestwa, biorąc pod uwagę fakt, że w 1032 roku został papieżem 12-letni chłopiec i w dodatku zdemoralizowany. Historyk chrześcijański Daniel Rops pisze, iż Benedykt IX *„wyświęcony w dwunastym roku życia i już nieobyczajny, narobił tyle skandali że zgorszony tłum rzymski w końcu go wygnał."* Ale wracał on jeszcze dwukrotnie później na tron papieski.

Wobec takich i podobnych wydarzeń zachwiał się autorytet Papiestwa i Kościoła. Coraz częściej zaczęły pojawiać się hasła powrotu do źródeł, czyli Pisma Świętego i prostego życia ewangelicznego. Niektórzy, jak np. radykalny odłam husytów, postulowali odrzucenie przez chrześcijaństwo wszystkich treści nie mających oparcia w Biblii. Husyci odważnie wytykali księżom i biskupom niemoralny tryb życia, żądali likwidacji majątków kościelnych, zniesienia sprzedaży odpustów, rezygnacji z wielu obrzędów, a także zaprzestania kultu obrazów. Inicjatorem tego ruchu był rektor uniwersytetu w Pradze Jan Hus. Twierdził on, że religia papieży i biskupów niewiele ma wspólnego z nauką Jezusa Chrystusa. Bronił mas ludowych przed uciskiem feudałów świeckich i duchownych oraz walczył o emancypację języka i narodu czeskiego spod wpływów niemieckich. Idee jego spotkały się z entuzjastycznym i masowym poparciem. W 1415 r. zaproszono Husa na Sobór w Konstancji, gdzie mimo udzielonego mu glejtu bezpieczeństwa został podstępnie aresztowany a potem zdegradowany z kapłaństwa wyszydzony i spalony na stosie. W obawie aby popioły i kości reformatora nie stały się relikwiami, wrzucono je do Renu.

Reakcją na męczeńską śmierć uwielbianego kaznodziei był wybuch potężnej rewolucji husyckiej w Czechach. W latach 1419—1434 powstańcy dzielnie odpierali ataki i odnosili wspaniałe zwycięstwa nad wielekroć silniejszymi wojskami niemieckimi, którym papież nadał prawa krucjat. Husyci głosili jedność narodów słowiańskich, odrzucili pretensje do korony czeskiej króla niemieckiego Zygmunta Luksemburskiego i zaproponowali, aby tron po Wacławie IV objął Władysław Jagiełło. Król nasz z sympatią odnosił się do ruchu husyckiego i pragnął przymierza z Czechami. Polska nie wzięła udziału w krucjacie antyhusyckiej, a setki Polaków wspomagały powstańców. Ale Kościół, mający swoje interesy, wymusił na Jagielle podjęcie represji przeciw husytom w kraju i zrezygnowanie z korony czeskiej. Szczególnie mocno naciskał króla biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki. Husyci bowiem cieszyli się w Polsce olbrzymią popularnością wśród chłopów, części szlachty i niższego duchowieństwa. W 1433 roku, na mocy polsko-czeskiego porozumienia antyteutońskiego odbyła się wspólna słowiańska wyprawa naszego rycerstwa i zaciężnych rot husytów („Sierotek") przeciwko Zakonowi Krzyżackiemu która dotarła aż do brzegu Bałtyku. Wielu uradowanych Czechów — jak czytamy u Długosza — *„nalewało wodę morską we flaszki i zanosło ją potem do swoich, na pamiątkę tak dalekiej wyprawy"*.

„NIE BĘDZIESZ CZCIŁ..."

Jak widać husytyzm chwalebnie zapisał się w historii Europy i Polski. Niemniej jednak poważny cień na ten ruch rzuca akt profanacji i zniszczenia obrazu częstochowskiego. Ale mało kto wie, że postąpiono tak w zgodzie z Pismem Świętym, które kategorycznie zakazuje sporządzania i kultu obrazów. W drugim przykazaniu dekalogu Bóg powiada:

„Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz się kłaniał przed nimi i nie będziesz im służył, ponieważ ja Jahwe, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występek ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia, okazuję zaś łaskę aż do tysięcznego pokolenia tym, którzy mnie miłują i strzegą moich przykazań".

Kościół katolicki zrezygnował z tego przykazania, aby zaś zachować biblijną liczbę dziesięciu przykazań, podzielono ostatnie na dwa: 9 — nie pożądaj żony bliźniego swego i 10 — ani żadnej rzeczy, która jego jest. Natomiast Żydzi, muzułmanie i protestanci rygorystycznie przestrzegają zakazu sporządzania i czci wizerunków, pozostając przy kulcie bezobrazowym.

Początkowo chrześcijanie stosowali się do Bożego zakazu czci obrazów. Potępiali nawet sztukę świecką. Pierwszy wybitny teoretyk Kościoła zachodniego, Tertulian z Kartaginy, radził artystom malarzom chrześcijanom, aby zajęli się malowaniem ścian, a rzeźbiarzom, by przeszli do rzemiosła. Nie wyobrażano sobie wówczas, żeby można było malować albo rzeźbić nie tylko wizerunki Jezusa Chrystusa, lecz również apostołów. Wielu Ojców Kościoła zdecydowanie tępiło wszelkie próby tego rodzaju. Historyk Kościoła Euzebiusz z Cezarei jeszcze na początku IV wieku ze zgorszeniem pisał o wybudowaniu w mieście posągu Jezusa uzdrawiającego kobietę. Oburzył się też, kiedy siostra Konstantyna zwróciła się do niego o przysłanie obrazu Chrystusa. A św. Epifaniusz osobiście zerwał w jednym z kościołów zasłonę z obrazami. W 309 r. na synodzie w Elwirze, przy udziale słynnego biskupa Hozjusza, uchwalono, że *„nie wolno malować na ścianach tego, co jest przedmiotem kultu i uwielbienia."*

Ale zakaz z Pisma Świętego i wysiłki pierwszych Ojców Kościoła były sprzeczne z tym, co ludzie lubią i czego pragną. Okazało się, że nawet prawda objawiona nie ma szans przyjęcia w przypadku gdy nie odpowiada potrzebom i interesom człowieka. Toteż stopniowo w katakumbach i kościołach pojawiły się obrazy święte. W drugiej poł. IV wieku św. Bazyli Wielki już godzi się z faktem ich istnienia, traktując je jedynie jako elementy przypominające Boga i świętych.

W 431 r. na Soborze w Efezie — w atmosferze namiętnych sporów, gwałtownych sprzeciwów i krwawych walk — potępiono pogląd biskupa Konstantynopola, że Maryja urodziła Jezusa — człowieka, któremu przydana została natura boska, i ogłoszono Świętą Dziewicę „Bożą Rodzicielką". Innymi słowy: uznano, że wydała ona na świat nie tylko człowieka, lecz również Boga. Decyzja soboru przyczyniła się do szybkiego upowszechnienia kultu Maryi oraz czci jej obrazów. Zaczęto głosić, że niektóre ikony mają moc czynienia cudów. Sprzedaż ikon stała się niezwykle opłacalna dla mnichów — malarzy, którzy poza tym cieszyli się specjalnym szacunkiem, gdyż ich zajęcie traktowano jako służbę bożą. Przed przystąpieniem do malowania mnisi-artyści doprowadzali się do odpowiedniego stanu natchnienia za pomocą intensywnych modłów i postów oraz lektury Pisma Świętego.

Hodigitria, szkoła twerska — XIV w.

W BIZANCJUM

Kiedy wydawało się, że ikony absolutnie się przyjęły i zapomniano o zakazie ich sporządzania, dość nieoczekiwanie objawił się silny ruch obrazoburczy. Najpierw w końcu VII w. wystąpili przeciwko kultowi obrazów — jako bałwochwalstwu nie znanemu ewangeliom — paulicjanie w Armenii, którzy przywiązywali szczególną wagę do nauki św. Pawła. Wrogowie ikon nie znikneli też całkowicie z Konstantynopola: w 670 r. grupa fanatyków zniszczyła tu obraz Matki Boskiej. Najwięcej zaś ikonoklastów notowano wśród ludności semickiej. A w islamskim państwie arabskim w ogóle nie dopuszczano malarstwa i rzeźby o charakterze religijnym.

Podobny zakaz wprowadzono w 730 r. w Bizancjum. Uczynił to cesarz Leon III Izauryjski. Był on człowiekiem niezwykle zdolnym, energicznym i głęboko wierzącym. Ubolewał, że jego poddani, w przeciwieństwie do Żydów i muzułmanów, uprawiają bałwochwalstwo i traktują ikony niczym bóstwa. Mimo akceptacji tego stanu rzeczy przez Kościół — jako namiestnik Boga na ziemi — czuł się zobowiązany do przeprowadzenia reformy. Przy czym zamierzał zrealizować ją w sposób dobrowolny. W 726 r. przystąpił więc do przekonywania społeczeństwa o konieczności usunięcia obrazów. Ponieważ jednak perswazje nie pomagały, nakazał zerwanie z bramy pałacu ogromnej mozaiki przedstawiającej Chrystusa. W odpowiedzi doszło do rozruchów i zabójstwa przez fanatyczne kobiety rzemieślnika niszczącego wizerunek. Sprawcy zostali surowo ukarani, co spowodowało dalsze zamieszki. Wysiłki cesarza popierało wojsko, z wyjątkiem części floty, która się zbuntowała i została spacyfikowana. Opozycja ujawniła się też na uniwersytecie, dlatego go zamknięto. Ale najpotężniejszy ruch sprzeciwu tworzyła 100-tysięczna grupa mnichów, tym bardziej, że Leon III starał się ograniczyć ich wielkie wpływy w państwie. Cesarz próbował jeszcze pozyskać dla swojej sprawy papieża, lecz Grzegorz II opowiedział się po stronie zwolenników ikon. W tej sytuacji postanowił metodą przymusu wyeliminować kult obrazów. W latach 730—740, aż do jego śmierci, usuwano z kościołów i niszczono obrazy. Tylko zwolennicy ikonoklazmu mogli liczyć na uzyskanie godności w hierarchii państwowej i kościelnej. Politykę tę kontynuował syn władcy Konstantyn V. W całym kraju organizowano dysputy teologiczne i wyjaśniano masom bluźnierczy sens obrazów religijnych.

W 754 roku odbył się koło Chalcedonu synod z udziałem 332 biskupów. Po sześciu miesiącach obrad ogłoszono, że sporządzanie wizerunków Jezusa Chrystusa jest dowodem herezji, a malowanie ikon Matki Boskiej i świętych oznacza zniewagę tych postaci. W związku z tym osoby zawieszające obrazy i oddające im cześć podlegają karze ekskomuniki. Heretycy mieli być ponadto traktowani przez władze jako buntownicy polityczni. *„Pismo Święte* — podkreślano — *raz na zawsze zabrania sporządzania jakichkolwiek podobizn"*. Spory i walka między obrazoburcami oraz ikonodulami (niewolnikami ikon) osłabiły pozycję Bizancjum w Italii, gdzie powstało w 754 r. Państwo Kościelne (przetrwało do 1870 r.) i papież stał się monarchą świeckim.

IRENA, KTÓRA KOCHAŁA WŁADZĘ I OBRAZY

Mimo groźby represji mnisi podburzali społeczeństwo i domagali się przywrócenia kultu obrazów. Stali się oni przywódcami nieoświeconego ludu, organizatorami procesji z ikonami i zamieszek. Rozgłaszali przy tym, że różne plagi spadające na kraj są karą za akty profanacji. Wobec tego podjęto prześladowania opozycji i rozwiązano niektóre klasztory. Kolejny cesarz, Leon IV, był bardziej tolerancyjny, lecz za to zdecydowanym przeciwnikiem obrazów okazał się patriarcha Kościoła. Po rychłym zgonie Leona, na tron wstąpił jego dziewięcioletni syn, a regentką została cesarzowa-matka Irena. Była to kobieta pobożna i bardzo przywiązana do ikon. Postanowiła więc przywrócić ich kult. Ułatwiła jej zadanie choroba fanatycznie obrazoburczego patriarchy Pawła IV. Na jego miejsce uczyniła głową Kościoła człowieka świeckiego. Ukoronowaniem działań cesarzowej miał być sobór w 786 roku. Przybyli nań delegaci papiescy, lecz na sesję inauguracyjną wkroczyli żołnierze gwardii cesarskiej i grożąc zgromadzonym śmiercią zażądali zaprzestania i opuszczenia zebrania. Dopiero w przyszłym roku, gdy wierne ikonoklazmowi wojsko udało się wysłać w rejony nadgraniczne, sobór odbył się bez przeszkód. W obawie przed rozruchami zwołano go jednak nie do stolicy, lecz w Nicei. Sobór odrzucił zarzut, że kult obrazów jest herezją i bałwochwalstwem, i anulował uchwały ikonoklastyczne. Równocześnie wprowadzono granicę między „adoracją" Boga i świętych, a „czcią" należną ich wizerunkom. Ikonoklaści uznali, że w ten sposób Kościół został *„zgubiony wskutek kobiecej naiwności"*. Ale dość nieoczekiwanie wspólnego stanowiska soborowego nie uznał Karol Wielki. Na jego polecenie teologowie frankońscy poddali krytyce dokumenty przyjęte w Nicei i wypowiedzieli się przeciwko czci świętych wizerunków. Zabobonny stosunek do obrazów potępiono w 794 r. na synodzie kościelnym we Frankfurcie, gdzie zgromadzeni biskupi — wraz z dwoma legatami papieża — odrzucili uchwały Soboru Nicejskiego II.

Irena triumfowała i tak polubiła władzę, że nie miała ochoty przekazać jej synowi, którego nakazała oślepić, czyniąc niezdolnym do rządów. Siłę swą czerpała z poparcia zadowolonych mnichów. Ale ponieważ tron pozostawał wolny, papież Leon III zdecydował się ukoronować na cesarza zaskoczonego tym bardzo, króla Franków — Karola W ten sposób papież stał się zręcznie dyspozytorem korony cesarskiej. Odtąd świat chrześcijański do 1453 r. miał posiadać dwóch cesarzy.

c.d.n.

Kronika kulturalna

Prezes Rady Ministrów powołał Narodową Radę Kultury. Ma ona charakter organu doradczego i opiniodawczego rządu. Między innymi Rada czuwać będzie nad kształtowaniem założeń polityki kulturalnej państwa z wydatkowaniem sum przeznaczonych na kulturę. Rada liczy sto pięćdziesiąt osób. Ponad sto osób prezes Rady Ministrów powołał imiennie. Reszta to kandydaci przedstawieni przez instytucje, naczelne organa władzy państwowej, ministerstwa i inne organizacje. Pewną ilość zarezerwowano dla tych stowarzyszeń czy związków, którym jeszcze nie zezwolono na wznowienie działalności.

Maria Kuncewiczowa otrzymała doroczną nagrodę Stowarzyszenia Europejskiej Kultury (SEC) za zasługi na rzecz popularyzacji polskiej kultury za granicą.

We Wrocławiu powstał oddział Wydawnictwa Literackiego. Planuje się, że w przyszłości zostanie przekształcony w samodzielną placówkę.

Stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Narodowego objął *Jerzy Krasowski*, zaś współkierownikiem artystycznym została *Krystyna Skuszanka*.

Znany malarz-realista, *Czesław Wierusz-Kowalski*, otrzymał z okazji 100 rocznicy urodzin nagrodę jubileuszową ministra kutury i sztuki. Jubilat nagrodę w całości przeznaczył na jednorazowe stypendium dla dwojga najlepszych absolwentów wydziału malarstwa Akademii Sztuk Pięknych. W styczniu, w obecności dyrektora generalnego w Ministerstwie Kultury i Sztuki, Andrzeja Rajewskiego, jubilat przekazał ufundowane przez siebie stypendium wytypowanym przez rektora dwojgu ubiegłorocznym absolwentom ASP: *Teresie Gorylewskiej i Ryszardowi Ługowskiemu*.

W Muzeum Historii Miasta otwarta została wystawa prac *Władysława Daszewskiego*, zmarłego przed 10 laty wybitnego plastyka i scenografa. Ekspozycja inauguruje działalność nowego salonu wystawienniczego — „Galerii Łódzkiej". Placówka ta będzie autonomiczną częścią muzeum i ma ambicje prezentowania dorobku łódzkich twórców. Kolejna ekspozycja przygotowywana jest z myślą o zbliżającej się 37 rocznicy wyzwolenia Łodzi. Zostanie na niej zaprezentowany rozwój architektoniczny miasta w latach 1823—1983.

Ostatnią premierą 1982 roku w Państwowym Teatrze Lalek „Arlekin" była sztuka Jana Wilkowskiego „*O Zwyrtale Muzykancie*", oparta na motywach nowel Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Spektakl reżyserował *Stanisław Ochmański*, scenografię przygotował *Tadeusz Hołówko*.

Ogłoszono wyniki VI Konkursu Plastycznego dla Plastyków i Amatorów pt. „*Sochaczewski laur*".

Organizatorami Konkursu byli: ZW ZSMP, ZDK, ZWCh „Chemitex" oraz Muzeum Ziemi Sochaczewskiej. W konkursie wzięło udział ponad 20 plastyków amatorów prezentując swoje prace w dziedzinie malarstwa, rzeźby, rysunku i tkaniny artystycznej.

Nagrody otrzymali: w dziedzinie malarstwa — Stanisław Dudkiewicz, Adam Kozłowski, Grupa „PJ". Kazimierz Raczkowski i Witold Pawlik. Nagrodę za pracę rzeźbiarską uzyskał Edward Homanowski, natomiast za tkaninę artystyczną wyróżniono Marię Osińską. Jury przyznało także nagrody specjalne.

W końcu grudnia ogłoszono wyniki „*Turnieju Jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika*". W konkursie tym brało udział 40 poetów-amatorów. Jury, w skład którego wchodzili m.in. Henryk Hartenberg i Henryk Pustkowski „Lauru Stanisława Czernika" nie przyznało. Natomiast pierwszą nagrodę otrzymał Andrzej Sawczenko. Cztery osoby uzyskały wyróżnienie.

Ludowy twórca z Grzechyni (woj. bielskie), *Stanisław Batos*, wyrzeźbił w drewnie kopię słynnego ołtarza mariackiego. Wykonał ją w skali 1:10. Pracował nad nią 12 miesięcy.

Grudniowe bestsellery

Jedynie Pan Bóg i „Dom Książki" nie sprostały w tym roku przedświątecznym zadaniom. Nie brakło karpia ani szynki, a świerki, które miały przynieść ich dostawcom nie wiedzieć jakie zyski, jeszcze dziś walają się, nie sprzedane, po widzewskim ryneczku. Tak to ukarana została chciwość choinkowych rekinów: na nic obalone pół litra z sołtysem, który samorządnie podpisywał zezwolenie na wyrąb drzewek. Ta nauczka może choć po części uchroni w przyszłości naturę przed „kulturą". Wykonywał swoje bożenarodzeniowe plany także monopol spirytusowy dość radykalnie pomniejszając inflacyjny nawis. Prześcigały się w atrakcjach i sensacjach świąteczne wydania gazet. Trzeba przyznać, że całkiem skutecznie — już dawno kioski nie były takie puste.

Zatem — powtórzę — jedynie Pan Bóg, który zapomniał o scenograficznej oprawie świąt — gdzież te niegdysiejsze śniegi! — i „Dom Książki", który jak Salomon — ale bezskutecznie — próbował przelewać z pustego w próżne, nie spełnili naszych nadziei. Bywało przecież, że grudzień, a zwłaszcza jego druga połowa, sypały książkami, bo to i tradycja i specyfika „planowej" gospodarki: koniec roku ocykał i gonił drukarnie z zaległościami poprzednich miesięcy — wykonać plan! — rozdzwaniały się telefony.

W roku 1981 (według „Rocznika statystycznego 1982", nakł. 35 tys., cena 250 zł) wydano przeszło 133,5 miliona egzemplarzy książek. Liczba to imponująca, ale tylko na pierwszy rzut oka. Podzieliwszy ją przez liczbę mieszkańców otrzymamy iloraz całkiem mikry, tym bardziej, iż obejmuje on wszystkie wydawnictwa nieperiodyczne — książki i broszury. W tych nieco więcej niż 4 egzemplarzach na statystycznego mieszkańca naszego kraju mieszczą się ciut więcej niż 3 książki określane przez „Rocznik" jako „wydawnictwa naukowe, podręczniki dla szkół wyższych, wydawnictwa popularne (? — pytajnik mój) i podręczniki szkolne". Czyli każdy Polak mógł kupić w roku 1981 słownie jedną książkę z zakresu tzw. literatury pięknej!

W roku 1982 zapowiadano wzrost produkcji książek o 25 proc., a więc coś o około 30 milionów egzemplarzy. Pilnie obserwując lady w księgarniach mogę przypuszczać, że gros tej liczby przeznaczono na tanie, broszurowe wydania lektur szkolnych, bo konfrontując zapowiedzi poszczególnych wydawnictw na rok 1982 z księgarską rzeczywistością widzę, iż plan tytułowy zrealizowano może w 50 proc.

Mogę się mylić w szczegółach, mogłem coś w felietonowym ferworze przeoczyć. Jedno jest pewne: rok 1982 nie przyniósł żadnej widocznej poprawy w stosunku do szczególnie kryzysowego roku 1981. Łatanie przykrótkiej i nader porwanej księgarskiej kołderki tymczasem nie napawa optymizmem.

W ogóle statystyczne przyprawy jakie serwuje „Rocznik", od którego dość ryzykownie rozpocząłem prezentację grudniowych nowości (w domu powieszonego nie należy wspominać o sznurze), są nieumiarkowanie gorzkie, ale jak mawia poeta „kto nie zaznał goryczy ni razu..." itd. Oczekujmy więc na kolejne wydania „Rocznika", może statystyka będzie łaskawsza.

Wśród grudniowych bestsellerów na pierwsze miejsce wysuwa się bezsprzecznie książka **Edwarda Redlińskiego „Nikiformy"**, choć ci, którym udało się ją kupić (40 tys., cena 130 zł) nie bez zaskoczenia odczytywać będą poszczególne stronice. Redliński, jako autor „Konopielki" jest firmą sprawdzoną i powszechnie znaną. Stąd w księgarni nikt do książki nie zaglądał. Brał, płacił i uszczęśliwiony biegł dalej. Gdyby czytywał białostockie „Kontrasty", gdzie fragmentami „Nikiformy" były publikowane, wiedziałby, że pod tym tytułem kryją się „surowe kawałki rzeczywistości", które tak się mają do literatury jak muszla klozetowa Marcela Duchampa do muzealnych dzieł sztuki. Są bowiem „Nikiformy" antologią tekstów pozbieranych przez Redlińskiego z „książek skarg i wniosków do dyspozycji klienta", z książki zgłoszeń Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, z szuflady jednego petenta, reklamującego bubel o nazwie „kanapa wrożna", z jadłospisów, z grypsów i korespondencji więziennej, z księgi wystawowej „Venus 77" oraz z pamiętnika księgowej, która przeżywa erotyczne wzloty i upadki (na podłogę).

Włączenie przez Redlińskiego tych „form naiwnych", „twórczości" o pragmatycznych, użytkowych celach, takich językowych ready-mades w mechanizmy obiegów czytelniczych zmienia całkowicie ich funkcje: nikiformy stają się — czy tego ich wydawca chciał czy nie — tekstami literackimi. Decyduje o tym także słuch językowy autora „Konopielki", umiejętność reporterskiej obserwacji, wyczucie komizmu. A swoją drogą „Nikiformy" Edwarda Redlińskiego są jeszcze jednym argumentem poświadczającym postępujący zmierzch literatury opartej o konwencjonalne chwyty fabularne, literatury fikcji i zmyślenia.

Tę ostatnią, nazbyt pośpieszną, konstatację można odnieść także do twórczości **Trumana Capote**, autora dokumentalnego tekstu „Z zimną krwią": oto „Czytelnik" przedstawia właśnie wybór opowiadań tego amerykańskiego pisarza, w przekładzie Bronisława Zielińskiego, pod tytułem **„Psy szczekają"** (nakład 20 tys., cena 90 zł). Napisałem „wybór opowiadań", ale właściwie jest to wybór form paraliterackich — eseju, reportażu, dziennikarskiego wywiadu, wspomnieniowego spojrzenia w przeszłość. Trzecia część książki, zatytułowana „Obserwacje" to literackie portrety Louisa Armstronga, Marilyn Monroe, Humphreya Bogarta, Jeana Cocteau i Andre Gide'a, których opis, nie bez ambicji psychologicznych, staje się pretekstem do uogólnionych refleksji na temat współczesnej rzeczywistości. Portret Marlona Brando („Książę w swych włościach"), relacja o „zranionym młodym mężczyźnie, który jest geniuszem, ale niespecjalnie inteligentnym" jest rzeczywistym argumentem (takie intencje przyświecały Capote'owi, pisze o tym we wstępie książki) na rzecz przekonania, że „reportaż może być równie wypielęgnowaną i podniosłą sztuką jak każda inna forma prozy".

Góra zrodziła mysz. Myślę tu o „Wydawnictwie Morskim", które po szumnych i ekscytujących czytelnicze dusze zapowiedziach o edycji powieści **Güntera Grassa**, obdarowało nas w grudniu wydaną byle jak książką **„Kot i mysz"** (nakład 30 tys., cena 55 zł), notabene znaną już polskiemu odbiorcy (wydanie pierwsze ukazało się w „Czytelniku" w roku 1963). O gdańskich obietnicach czytałem wprawdzie wiele miesięcy temu, w międzyczasie sporo się zmieniło — jednak nie na tyle (w co wierzę), aby przemilczać tę wybitną twórczość. Bo przecież nie można brać poważnie wypowiedzi jakiegoś domorosłego strażnika narodowej dumy, który wdeptał Grassa (na łamach „Dziennika Bałtyckiego") w koniunkturalne (?) błocko i pisał o polakożerstwie i innych tego rodzaju zwidach. Na skrzydełku „Kota i myszy" coś wspomina wydawca o dalszych zamierzeniach edytorskich; wśród paru tytułów brak przecież najważniejszgo — „Blaszanego bębenka", który otwiera „gdańską trylogię". Z tym Czarnym Ludem co zapobiegliwsi czytelnicy nad Wisłą przecież już po części się oswoili.

Stanisław Lem, ten Wojciech Fibak naszej literatury (w tym porównaniu biorę pod uwagę wartości eksportowe), nieustępliwie i konsekwentnie tworzy własno-oryginalną wersję literatury fantastyczno-naukowej. Poświadcza to kolejna jego powieść, przygotowywana przez „Wydawnictwo Literackie" w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy (tak!) **„Wizja lokalna"** (cena 100 zł). Nie mam zamiaru uprawiać kłusownictwa i wkraczać na tereny „Odgłosowych" fanatyków fantastyki, dla których każda nowa książka Lema powinna być świętem, dlatego też ograniczę się do jednej uwagi: czym bardziej ekspansywna jest science- fikcjonalna młócka (oczywiście z wykorzystaniem komputerów, robotów i tyrystorów!) tym bardziej należy cenić twórczość Stanisława Lema. Dlaczego? To pytanie pozostawiam do rozważenia wszystkim tym, którzy za pisarzy fantastyczno-naukowych uchodzą.

W ubiegłym miesiącu pisałem o PIW-owskiej serii **„Biografie Sławnych Ludzi"**. I w grudniu ta seria wzbogaciła się o kolejny tytuł. Po wydanym w roku 1979 „Iwanie Groźnym" PIW prezentuje (w przekładzie Józefa Dancygiera i Małgorzaty Migdalskiej następną monografię Rusłana Skrynnikowa, poświęconą tym razem Borysowi Godunowowi (nakład 20 tys., cena 150 zł). Jak pisałem „Biografie" to seria wielce, popularna i poszukiwana, choć książki w niej wydawane, ze względu na historiograficzne intencje, wymagają od czytelnika niejakiego przygotowania i skupienia. I „Borys Godunow" nie jest biografią w rodzaju „vie romancée", obfitującą w atrakcyjne fabuły. Jest natomiast książką pisaną jakby przeciw tym fabułom, strojnym w egzotyczny kostium opery, powieści i poematów, jest historyczną rekonstrukcją faktów, opartą o dokumenty i żmudne badania. Nie chcę przez to powiedzieć, że monografia Skrynnikowa to książka wyłącznie dla specjalistów. Każdy zainteresowany historią Rosji: przełomu XVI i XVII wieku znajdzie tam poznawcze wartości godne uważnej lektury.

Biografia innej sławnej postaci stała się pretekstem fabularno-literackim dla mikropowieści **Juliana Stryjkowskiego „Tommaso del Cavaliere"** (PIW, nakład 30 tys., cena 30 zł). Podpisując się pod rekomendacją jaką dał temu utworowi Jerzy Andrzejewski oddaję mu głos: **„mądre i piękne dłuższe opowiadanie Juliana Stryjkowskiego „Tommaso del Cavaliere", jakkolwiek wbrew tytułowi rzeczywistym bohaterem powieści nie jest młody arystokrata rzymski, szczególnie w ciągu wielu lat piękny i umiłowany uczeń Michała Anioła, lecz on sam już u końca pracowitego i dramatycznie, żeby nie powiedzieć tragicznie trudnego życia. Ostatnia proza Stryjkowskiego jest zbeletryzowana traktatem o twórczości, kochaniu i śmierci. To pod każdym względem bardzo wybitna proza...".**

Sto tysięcy dzieci mogło znaleźć pod choinką czwarte wydanie książki **Jana Brzechwy „Od baśni do baśni"** („Czytelnik", cena 110 zł). Gdy czytam to ostatnie zdanie tak myślę: jaki musiałby być nakład, żeby tę książkę Brzechwy (z ilustracjami Jana Marcina Szancera) można było zobaczyć na ladach „Domu Książki"? Milion? Dwa? W ciągu ostatnich miesięcy „Czytelnik" wydał trzy zbiory utworów dla dzieci Jana Brzechwy w łącznym nakładzie prawie 300 tysięcy egzemplarzy, i wciąż okazuje się, że liczba ta w porównaniu z potrzebami nie znaczy nic, albo bardzo mało.

Jak to?! — powiedzą czytelnicy tego tekstu — pisał o „przelewaniu z pustego w próżne", miał za złe księgarniom (rzeczywiście cóż one winne?), wzywał Pana Boga nadaremno, a potem chwali się tym co za darmo wydawnictwa mu przesłały! Po pierwsze drodzy czytelnicy, znerwicowani klienci księgarń, te kilka książek, to niemal wszystko co w grudniu wartego uwagi rozprowadzał „Dom Książki", a prawdę mówiąc na początku grudnia, bo tygodnie tuż przedświąteczne nie przyniosły dosłownie niczego. Po drugie, sytuacja księgarskiego rynku jest taka, że wydawnictwa nie muszą niczego reklamować, a więc także nie muszą się zalecać żadnym recenzentom, żadnym publicystycznym pośrednikom, popyt kształtuje świadomość wydawców. I tym oto, całkiem nieoptymistycznym, akcentem kończąc, czekam na styczniowy poślizg planów wydawniczych roku 1982.

GRZEGORZ GAZDA

Adwokaci i literatura

Mają pracownicy służby zdrowia swoją Unię Pisarzy Medyków, dlaczegóżby nie mieli zrzeszać się w celu uprawiania literatury pięknej prawnicy, a zwłaszcza przedstawiciele adwokatury. Mogłoby się nawet wydawać, że właśnie oni, ludzie posługujący się zawodowo krasomówczym słowem są do tego wyjątkowo predysponowani. Podobnego argumentu można by zresztą użyć pod adresem polonistów czy dziennikarzy, których domeną jest także słowo.

Ale to jednak tylko słuszność pozorna, żaden bowiem zawód lub wykształcenie, jak świadczy praktyka, nie przeciera ścieżek ku literaturze skuteczniej niż inne zawody, bo też jakże odmienne są „uniwersytety" życia i formalne cenzusy pisarzy. Wystarczy (bagatela!) umiejętność dostrzegania literackiego „tematu" w otaczającym życiu, ponadto specyficzna zdolność kompozycji owego „materiału", wreszcie dar kreacyjnego słowa i już... mamy pisarza.

Te okoliczności i uwarunkowania trzeba więc mieć na uwadze przy zetknięciu się ze zjawiskiem twórczości nieprofesjonalnej, w przeciwnym razie łatwo o nieporozumienie — o stosowanie niewłaściwych, „nieadekwatnych" kryteriów oceny: a to, że wiersz utrzymany jest w dziewiętnastowiecznej stylistyce, zbyt „ograjej", by zdolna była jeszcze dziś pobudzać wyobraźnię, a to że utwór powieściowy pisany jest językiem czysto kolokwialnym... A przecież nie o to chodzi, lecz o zupełnie inne wartości, tkwiące w szlachetnie pojętym dyletantyzmie, który w zapomnianym już dziś znaczeniu tego słowa określał bezinteresowne, nie pozbawione smaku, miłośnictwo sztuk pięknych. I to — czynne miłośnictwo, nie ograniczające się do biernej kontemplacji.

Kryje się za nim autentyczna potrzeba artystycznej wypowiedzi, bez ambicji sprostania współczesnym wymaganiom formalnym, bez oglądania się na doświadczenia profesjonalistów, a także — chęć podzielenia się z innymi swoimi przeżyciami i przemyśleniami. Może też niejednego skłaniać do literackich prób poczucie niecałkowitego spełnienia się w działalności zawodowej, nawet tej uwieńczonej sukcesami.

Taka refleksja towarzyszyła mi przy lekturze pierwszego numeru „Palestry literackiej", wypełnionego różnorodnymi utworami członków Klubu Adwokatów Pisarzy, wśród których znajdujemy też nazwiska autorów z ogólnopolskich czasopism. Skala uprawianych form jest tu szeroka, a zakres tematyczny rozległy, niejeden utwór ujmuje czytelnika tonem osobistej wypowiedzi, formułowanej z literacką kulturą.

Nieco zaskakujący może się wydać czytelnikowi spoza środowiska skąpy udział tematyki związanej choćby pośrednio z adwokackim zawodem, z tak rozlicznymi przecież problemami psychologicznymi i etycznymi, z którymi mają do czynienia jakże często ludzie palestry. A chciałoby się dowiedzieć czegoś bliższego o bolesnych przeważnie i nieraz tragicznych uwikłaniach ludzi, którym przypadło znaleźć się wśród podsądnych. Ale może ten brak jest świadectwem wewnętrznej potrzeby ucieczki autorów w świat literackiej fikcji, oderwanej zupełnie od adwokackiej trudnej codzienności.

Znamienne też chyba, że w przeciwieństwie do wspomnianego zrzeszenia medyków, które skupia ludzi pióra ze środowiska lekarzy medycyny, dentystów, farmaceutów, a bodaj także średniego personelu medycznego, piszący palestranci funkcjonują w odosobnieniu od ogółu środowiska prawniczego. Ani to dobrze, ani źle, zwłaszcza iż, być może, prokuratorzy i sędziowie, notariusze i radcy prawni działają w odrębnej organizacji. Co odnotowuję jedynie jako przyczynek do socjologii środowiska prawniczego.

Godne też uwagi, że tak znaczącym ośrodkiem życia umysłowego ludzi palestry jest Łódź, gdzie przy tutejszej Radzie Adwokackiej działa od szeregu lat komisja współpracy z Ośrodkiem Badawczym Adwokatury, gdzie też (dosłownie pod tym samym z nią dachem) ma siedzibę Klub Adwokatów Pisarzy, pod przewodnictwem znanego i zasłużonego obrońcy mec. Alfreda Dreszera.

Z zainteresowaniem oczekujemy kolejnego numeru „Palestry literackiej", której życzymy jak najowocniejszego zaspokajania potrzeb i aspiracji twórczych polskiego środowiska prawniczego.

JERZY KWIECIŃSKI

Dokończenie ze strony 1

z faktu, iż publiczność nie „głosowała nogami" na ambitne i dobrze zrobione przedstawienia, takie choćby jak zaprezentowana w ubiegłym sezonie „Wielkanoc" Strindberga, wolno było czynić zarzut teatrowi. Teatr nasz obarczony wieloma obowiązkami wobec widza ma bowiem również prawo oczekiwać, że widz świadom jest swoich obowiązków wobec teatru, ma prawo liczyć na aktywność intelektualną odbiorców swej sztuki, na gotowość emocjonalnego współudziału w tworzeniu swej sztuki przez tych, którzy mienią się być jego partnerami i współtwórcami".

Tu muszę zaprotestować, wedle mnie widz nie ma bowiem absolutnie żadnych obowiązków wobec teatru, choć na jego utrzymanie — pośrednio — łoży. Ktoś może nie cierpieć opery, ktoś inny — operetki, jeszcze ktoś — baletu, no i co z tego? Partnerstwo rozpoczyna się od momentu kupienia biletu. Kupujemy bilet na Witkacego, a więc zgadzamy się na „grę w Witkacego", ciekawi co teatr chce nam dziś poprzez Witkacego powiedzieć. Kupujemy bilet na Ionesco — zgadzamy się na „grę w Ionesco", kupujemy bilet na Lehara — zgadzamy się na „grę w Lehara i jego uroczych librecistów", ani odrobinę mądrzej. Jeżeli więc ktoś pod muzyczkę Lehara podłoży teksty z „Gilgamesza", obrażony widz ma prawo wyjść z teatru trzaskając drzwiami, natomiast ten sam Gilgamesz zachwyci go — być może — w wykonaniu wrocławskiej pantomimy.

Są wprawdzie teatry — takim był teatr Dejmka z „Brygadą szlifierza Karhana", takim był też teatr Jerzego Grotowskiego w jego wczesnych, opolskich latach — które zdobywają z początku wąskie, a potem coraz to szersze grono zapalonych zwolenników, ludzi gotowych wielokrotnie oglądać jeden i ten sam spektakl, a potem dyskutować o nim zażarcie. Ten widz istotnie nie obawia się żadnej skali trudności, z góry deklarując „aktywność intelektualną" i „emocjonalny współudział". Niestety, nie każdy teatr podobnym gronem wiernych kibiców może się poszczycić, zaś „obowiązku powszechnej miłości sztuki" nijak zadekretować się nie da.

3.

„Sztucznie i z niewiadomych powodów — pisze nieco dalej Ewa Pankiewicz — **podtrzymywanym złym mitem jest twierdzenie, jakoby widz łódzki zdecydowanie i niekorzystnie odróżniał się od widza w innych ośrodkach teatralnych. Sąd taki obraża jego wrażliwość, której dowody dawał on wielokrotnie. (...) O wrażliwości łódzkiego widza mówią wyniki plebiscytów i konkursów. Jeśli najpopularniejszym w Łodzi spektaklem (a zatem najwyżej cenionym przez naszą publiczność) okazał się ongiś zaiste wysmakowany „Lekarz mimo woli", jeśli do ostatniego dnia eksploatacji „Vatzlava" wypełniała się widownia Teatru Nowego, jeśli dziś jeszcze teatr ten zasypywany jest pytaniami o „Uciechy staropolskie", jeśli gromkimi brawami nagradzano każde przedstawienie „Pamiątek Soplicy" i „Transatlantyku", to widzowi łódzkiemu należy pogratulować gustu".**

No cóż, tu z kolei przydałyby się liczby. „Pamiątki Soplicy" były świetnym przedstawieniem, „Transatlantyk" także, pytanie wszakże, ilu widzów obejrzało te spektakle, ilu zaś — przepraszam, że strzelę z istnej kolumbryny — zachłysnęło się przez kilka sezonów z rzędu eksploatowaną „Trędowatą"?

Zarazem nigdzie nie pisałem, iż widz łódzki „zdecydowanie i niekorzystnie" odróżnia się od widzów innych ośrodków. W ogóle, prawdę powiedziawszy, nie próbowałem żadnych porównań, choć odnoszę wrażenie, że między warszawskim czy krakowskim a łódzkim widzem pewna różnica istnieje. Może nie niekorzystna, ale dość istotna — otóż łódzki widz w znikomym stopniu podatny jest na wszelkie mody, snobizmy, podszepty iż to i to „koniecznie trzeba zobaczyć". Dlatego trudniej nim sterować, trudniej wyliczyć, że sztuka Iksa w reżyserii Igreka, nadto z Zetem w roli głównej — z całą pewnością chwyci.

Jednocześnie widz ten jest bardziej otwarty, w swojej masie bardziej chyba chłonny, nie jest to bowiem widz mieszczański. Nie trzeba go kokietować czy w kółko dopieszczać, wystarczy — szanować po prostu.

4.

Mój przyjaciel Jerzy M. Fiedosiejew zapyta w tym miejscu z pewnością, co to znaczy „szanować", podobnie jak w artykule **„Między kiczem a eksperymentem"** („Odgłosy" z 17 grudnia 82) zapytał roztropnie, co to znaczy „repertuar bardziej popularny".

— „Mogę się domyślić odpowiedzi — kontynuował — **taki, na jaki ludzie chodzą. A na jaki chodzą? I na to pytanie odpowiedzi nie znam, ani też jej się nie domyślam. Podejrzewam też, iż nie zna jej i nie domyśla się nikt, albo prawie nikt. Można bowiem przytoczyć konkretne przykłady pozycji repertuarowych, cieszących się szczególnie wysoką frekwencją, ale nie uda się wyodrębnić zakresu repertuarowego, przyciągającego widza do teatru. Ileż to razy frekwencyjne pewniaki okazywały się niewypałem i odwrotnie — sztuki trudne, ambitne, osiągały niebywałe powodzenie.**

(...) W doborze „repertuaru bardziej popularnego" kryje się poważne niebezpieczeństwo stałego obniżania wymagań, a co za tym idzie również poziomu teatralnej produkcji. To zaś — moim zdaniem — prowadzi do samobójstwa teatru. Widz bowiem — wbrew pozorom — bardzo nie lubi, gdy się go przez długi czas traktuje jak nierozgarniętego dzieciaka, proponując jedynie rzeczy lekkie, łatwe i przyjemne".

Zabrzmiało to groźnie, podejrzewam jednak, iż Jerzy Mikołaj pokpiwa sobie raczej z mego nie dość precyzyjnego określenia, niż istotnie o drogę pyta. Dalej bowiem pisze:

„Otóż jestem przekonany, że reszta (publiczności — przyp. mój, J.P.) **chciałaby chodzić po prostu na dobre sztuki. Dobre pod każdym względem. Zarówno, jeśli idzie o tworzywo, jak i jego kształt teatralny. Dobre, to znaczy robione fachowo, niekoniecznie będące szczytem artyzmu, ale reprezentujące sobą dobrą robotę rzemieślniczą na odpowiednio wysokim poziomie. Taką, jakiej przez lata dopracował się m. in. zachodni film komercyjny w pozytywnym tego słowa znaczeniu".**

5.

Tu przerwijmy, Jerzy M. Fiedosiejew domaga się bowiem po prostu f a c h o w o ś c i we wszystkich planach, od wyboru sztuki, poprzez realizację, aż po grę aktorską. Popiera wprawdzie — jak i ja zresztą — artystyczne poszukiwania, eksperyment twórczy, doradza jednak zachowanie właściwych proporcji.

Lecz natychmiast z chichotem wtrąca się Kałużyński — wciąż cytuję nie wymieniony uprzednio z tytułu artykuł „UPADEK SMOKA" — i pisze:

„Sofokles wystawiony w koszulach nocnych posmarowanych farbami ma z miejsca szacunek, poparcie, stypendium, recenzje na głównych stronach prasy literackiej oraz medal, zaś film — jeśli wreszcie uda mu się uzyskać jakąś nagrodę, zdobywa ją zazwyczaj za zasługi zgoła nietypowe, gdy ilustruje klasyka, albo gdy z wysiłkiem naśladuje teatr, co oczywiście nie ma wiele wspólnego z autentycznym żywiołem tej sztuki popularnej.

W rezultacie jesteśmy jednym z ostatnich krajów, w którym funkcjonuje — jak to określa mój przyjaciel Roman — „kultura dworska". Jak wynika ze statystyki, zaiste zdumiewającej, mamy więcej teatrów, oper i filharmonii niż Stany Zjednoczone (tak jest). Każdy wojewoda ma swój chór, swoją orkiestrę stuosobową i swój balet, który odwiedza za kulisami oraz funduje łapę wirtuozom przy wręczaniu medali. To kosztuje: do samych tylko teatrów dramatycznych dopłaca się półtora miliarda. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby podobnie dbano o kulturę popularną i gdyby w ogóle od niej zaczęto: ale nie, kina są w zaniedbaniu, zaś biblioteki nie dofinansowane".

6.

Z kinami, rzecz oczywista, szczera prawda, z baletem, który ma każdy wojewoda lekka przesada, wracając jednak na grunt teatru, sytuację widziałbym tak: albo zdoła on wrócić między ludzi i na ziemię, albo istotnie coraz bardziej stawać się zacznie dworski czy teatrologiczny może, hołubiony jedynie przez nielicznych studentów i uczonych docentów tego skądinąd sympatycznego kierunku studiów.

Winienem też może wtrącić, że scena dla „nastolatków" miałaby sens wtedy tylko, gdyby stała się sceną otwartą w kierunku gustów młodzieży, nie potrzeb pedagogów, czego J. M. Fiedosiejew słusznie się obawia. Może z zespolikiem rockowym, może z piosenkami, może z popisem walki kung-fu bo „Wejście smoka" istotnie wywołało powszechne szaleństwo.

Po raz ostatni zacytuję Kałużyńskiego:

„Przez środek naszej kultury przechodzi pęknięcie, i nie dokonał się u nas proces, który gdzie indziej jest już od dawna zakończony: współgranie kultury tradycyjnej z popularną, co daje życie obydwu: zarówno owej odziedziczonej, jak i owej wybuchłej w naszym stuleciu: kino, telewizja, jazz, pop, Science-Fiction, kryminał...

(...) Tymczasem u nas kultura popularna funkcjonuje na dziko i eksplodują w niej „Wejścia smoków" zaś akademicka jest nadęta, zalgana i nieobecna".

7.

Kropka. Szacunek dla widza — młodego również — zasadza się na uznaniu jego prawa do własnych gustów, możemy starać się zmieniać je i kształtować, lecz nie wolno ich nie zauważać ani tym bardziej nimi pogardzać. Zaś repertuar „bardziej popularny" to taki, który temu widzowi do czegoś tam — śmiechu, płaczu czy nawet gniewu — jest po prostu potrzebny.

I bardzo proszę nie straszyć mnie obniżeniem poziomu, poniżej jakiegokolwiek poziomu jest bowiem tak zwane dno, a dno osiąga się wtedy, gdy nikogo nie ma na sali.

JERZY PANASEWICZ ■

Niespodziewane wejście Smoka

„Wielkanoc" Strindberga — piękny spektakl, niestety nie zaakceptowany przez publiczność:
Foto: Witold Górka

Prosto z kina

Taneczny rytm śmierci

Uczy nas pokory, kiedy bezradni stajemy wobec spraw ostatecznych. Zmusza do refleksji nad sensem życia, wartościami, które to życie kształtowały. Nakłada na naszą twarz maskę powagi, zadumy, żalu, smutku, goryczy. Ukształtowała nas kultura, w której tradycji żart czy drwinę z NIEJ uznaje się za najbardziej obrazoburcze wystąpienie. Jakże dalecy jesteśmy od naszych małych problemów, gdy myślimy o NIEJ O śmierci.

Dlatego tak zaskakujący film mogli stworzyć tylko Amerykanie, dla których nie ma żadnych kulturowych (w europejskim rozumieniu) tabu czy świętości. „Cały ten zgiełk" musical o... umieraniu!

Imponująca jest ostatnia scena tego obrazu, gdy bohater — Joe Gideon (Roy Schneider) żegna się z życiem, z pracą, przyjaciółmi, znajomymi. Rzecz cała rozgrywa się bowiem w zapierającej dech w piersi scenerii estradowego show. Wpadające w ucho dyskotekowe rytmy, znakomity balet, przebojowa piosenka i nawet śmierć uosabiana jest przez młodą powabną dziewczynę. Poddajemy się nastrojowi rewii. Dopiero przebitka przynosi otrzeźwienie. Nad głową trupa wprawna ręka szybkim zdecydowanym ruchem zasuwa ekspresowy zamek foliowego worka. Jedyną melodią towarzyszącą wykonywaniu tej czynności jest przenikliwy zgrzyt zamka. Koniec.

Czy miało sens? Czemu miało służyć pokazywanie śmierci w tanecznych rytmach show. Wielu widzów uznało film za dekadencką próbę udowodnienia, że ludzie dziś nie wierzą w żadne kulturowe, humanistyczne wartości i na znak protestu na długo przed końcem projekcji opuszczało kinową salę.

A przecież wystarczy trochę tolerancji, żeby zobaczyć w tym filmie całkiem inny film. Temat śmierci ubranej w musicalowe szaty stanowi haracz, który musiał zapłacić „Cały ten zgiełk", żeby został zaakceptowany, przyjęty, kupiony przez amerykańską publiczność, która kult dobrego pomysłu, nowości choćby najbardziej szokującej skłonna jest przedkładać ponad wszelkie wartości. Uznajmy to za konieczny kompromis wobec rodzimych gustów — by obraz miał frekwencję, przyniósł odpowiednio wysoki dochód, stał się opłacalnym biznesem. I przyjrzyjmy się — czym naprawdę jest film Boba Fosse.

Dla mnie — przypowieścią o losie artysty kultury masowej drugiej połowy XX wieku w najbogatszym państwie świata. Gorzka to przypowieść. Joe Gideon żyje pełnią życia i u-życia. Ma fascynującą go i pochłaniającą bez reszty pracę — tancerza choreografa, reżysera wielkich widowisk rewiowych. Mistrz show w nowym stylu — z szybką chwytliwą muzyką wspartą znakomitymi piosenkami, z tekstami okraszonymi dowcipami podawanymi lekko i żartobliwie i wreszcie z fascynującym perfekcją wykonania baletem, w którego programie najwięcej wrażenia robią układy erotycznem podszyte.

Miał żonę, ma liczne kochanki. Zaangażuje do swego baletu ślicznie zbudowaną dziewczynę o miernych jednak umiejętnościach żeby móc pójść z nią do łóżka. Jest jednak perfekcjonistą. Kosztuje go to sporo wysiłku, jednak mistrzowskie wykonanie baletowego programu wymaga, by zrobił ze swej kochanki dobrą tancerkę. I zrobił to.

Zyskał uznanie swych szefów i mocodawców. Zasmakował prawdziwego artystycznego (i komercyjnego) sukcesu.

Za jaką jednak cenę? Powierzchowności przeżyć, doznań uczuć — nasz bohater ma na wszystko za mało czasu, nie stać go na chwilę refleksji, zadumy nad sobą, nad światem I dlatego śmierć dopada go w trakcie kolejnego rewiowego popisu.

Zanim to jednak nastąpi przyjdzie nam obejrzeć dwie porażające dramatyzmem sceny, dysharmonizujące z lekkością, zwiewnością całego filmu (Bob Fosse: „Pomyślałem, że trzeba potraktować ten temat życia i śmierci w kontekście tego, co umiem robić: piosenka taniec, humor, satyra").

W pierwszej: mecenasi naszego artysty zastanawiają się w swym biurze położonym gdzieś na n-tym piętrze nowojorskiego wieżowca, ile zysków, a ile strat przyniesie śmierć reżysera i kiedy powinna ona nastąpić, żeby było to jak najbardziej opłacalne! Pieniądz, zysk, oto co się liczy. Talent, artystyczna doskonałość sama w sobie jest w tym świecie bez znaczenia.

W drugiej: obserwujemy stopniowe przygotowanie się człowieka na spotkanie ze śmiercią. Jedną z możliwych wersji. Joe Gideon błąkając się po szpitalnych zakamarkach przeżywa chwile buntu, później rezygnacji, rozpaczy, załamania się, by wreszcie popaść w stan zobojętnienia, a nawet pogodzenia się z nieuchronnnością odejścia. Zyskuje spokój i godność, a jego śmierć nabiera znamion autentycznego, ludzkiego tragizmu.

Powstał film kontrowersyjny — obdarzony 4 Oskarami w 1980 roku oraz Wielką Nagrodą festiwalu w Cannes — z jednej strony, a z drugiej — opatrzony sceptycznymi recenzjami w rodzaju tej francuskiej: Nie wszystko można przełożyć na widowisko są tematy, które wymagają jednak odrobiny powagi (...) jeżeli to ma być film serio — to jest to żart amerykańskiego filmowca, a jeżeli żart — to w złym guście".

Czy „Cały ten zgiełk" zaakceptuje polska publiczność? Wnioskując, po reakcjach widzów na seansie, w którym uczestniczyłem — raczej nie, ale kto to w końcu wie, jak będzie naprawdę. Gusty naszych kinomanów są tak zaskakujące i nieznane, że nikt nie wie, co może się zdarzyć. U nas bowiem przepadają uznane na świecie obrazy w rodzaju „Bliskich spotkań III stopnia" czy „Sprawa Kramerów", a powodzenie zyskują filmy, które gdzie indziej uznaje się za produkty seryjne niewarte uwagi, jak choćby: przed laty „Znikający punkt", a ostatnio „Wejście smoka". Jak będzie tym razem?

PAWEŁ STRZELECKI ■

EDWARD BRYL

Podzwonne tragedii słubickiej

Niedługo po obchodzie porannym powiadomiono ordynatora oddziału ginekologiczno położniczego szpitala miejskiego w Słubicach, E. Piaseckiego, o nagłym zasłabnięciu młodej dziewiętnastoletniej matki — Beaty Podgórnik. Na pomoc pośpieszyli lekarze: Jerzy Kempa i Wojciech Tartanus. Pacjentka była w stanie ciężkim. Intensywną terapię rozpoczęto na sali porodowej, dokąd natychmiast przetransportowano chorą. Po kilku minutach położne przywiozły z oddziału następne trzy kobiety — Elżbietę Bukowską, lat 21, Jolantę Kotrys, lat 24, Iwonę Serkowską, lat 18 — wszystkie z podobnymi objawami wstrząsowymi.

W szpitalu uderzono na alarm. Cały personel stanął do trudnej walki o życie. Transfuzja krwi, kroplówki, inne leki — nie dawały pozytywnego rezultatu. Z minuty na minutę pogarszał się stan chorych. W kierunku szpitala pędziły karetki na sygnałach, konsultanci wojewódzcy chirurgii, kardiologii, interny, położnictwa spieszyli na ratunek.

Położna Bogusława Bogacz przeżywała trudne chwile. To ona przyrządzała i podała rzekomą sól gorzką. Było już wiadome — nieszczęsne kobiety wypiły silną truciznę — po dwie łyżki stołowe azotynu sodowego, używanego na oddziale do sterylizacji narzędzi.

Profesor Jurczyk z Poznania, krajowy konsultant do spraw anestezjologii i reanimacji powiedział później:

— *Dawka przesądziła sytuację, ale nawet w najlepiej wyposażonej klinice świata nie zrobiono by więcej. Nie poddawano się do końca.*

Ośrodek Zatruć w Poznaniu, Pomorska Akademia Medyczna w Szczecinie, największe sławy naukowe kierowały akcją ratunkową. W ciągu tych niespełna dwóch dramatycznych godzin radiotelefony, telefony, cała poczta były wyłącznie do dyspozycji: służby zdrowia. Mimo wysiłków kobiety zmarły. Był 28 grudnia, godzina 9,50. Wiadomość o tragedii w Słubicach obiegła cały kraj.

Czemu dwie papierowe torebki w apteczce oddziałowej stały obok siebie? Substancje były zupełnie nie zabezpieczone!

Farmakopeia Polska Nr 4 zalicza natrium nitrosum do środków silnie działających, które muszą być przechowywane w pojemnikach szczelnie zamkniętych, a już żadną miarą nie mogą sąsiadować ze zwykłymi lekami podawanymi na co dzień pacjentom.

Czyżby brakowało nadzoru?

Józef Sidorczuk, dyrektor ZOZ-u słubickiego:

— *Kontrole nie zwiastowały niczego. Nie było żadnych zaleceń! Osobiście czuję się w zupełnym porządku. Nie winię także kolegi ordynatora Piaseckiego, o mało nie przypłacił zawałem całej sprawy. Odpowiedzialność ponoszą wyłącznie pielęgniarki. Pomyłki zdarzają się wszędzie. Po co robić z tego sensację?*

Był bardzo zdenerwowany, odniosłem wrażenie, iż najbardziej obawia się o swój los. Myślę, że nie bezpodstawnie. Szpital maleńki, niewiele ponad dwieście łóżek, dwie przychodnie na krzyż — cały ZOZ. Można było spokojnie, prawie że samemu wszystkiego dopatrzyć i nie tylko zza biurka, tym bardziej, że dyrektorski gabinet mieści się w szpitalu.

Czwarty stycznia. Od kilku dni położna oddziałowa, Bogusława Bogacz, oddziałowa — Krystyna Szczęśniak, są zatrzymane. Pierwsza, 13 lat pracy — będzie odpowiadać za nieumyślne spowodowanie śmierci, druga, z 28-letnim stażem — za brak nadzoru. Tragedia w domach obydwu podejrzanych jest nie mniejsza, niż w czterech osieroconych rodzinach. Bogumiła Bogacz pozostawiła z mężem dwoje małych dzieci, Krystyna Szczęśniak dorastającego syna.

Choć przyczyną nieszczęścia był totalny bałagan, uświęcone tradycją niechlujstwo w przechowywaniu leków, wszystko wskazywało, że i tym razem pielęgniarki spełnią rolę kozła ofiarnego. Ordynator oddziału i kierowniczka apetki szpitalnej zostali odsunięci od wykonywania obowiązków do czasu wyjaśnienia okoliczności.

Przepis mówi, że na oddziały nie wolno wydawać niektórych leków w substancji, jedynie w roztworze, między innymi także i soli gorzkiej. Niestety, nie jest on w ogóle respektowany i do tej pory nikogo to nie interesowało.

Prokurator rejonowy w Słubicach w odpowiedzi na pytanie, dlaczego aresztowano wyłącznie pielęgniarki, odpowiedział:

— *Sprawa jest już w Prokuraturze Wojewódzkiej. Ona zadecydowała, nie my! Ja nie mogę oceniać swoich przełożonych. Szczegółowe informacje otrzyma pan w Gorzowie.*

Telefonicznie rozmawiałem z zastępcą prokuratora wojewódzkiego. Zaznaczył, że sprawa jest w toku i jeśli wyłonią się jakieś przesłanki obciążające inne osoby, zostaną wobec nich zastosowane odpowiednie sankcje.

Dnia 7 stycznia podano w radiu i telewizji komunikat, że został zatrzymany ordynator dr E. Piasecki... Nie o to chodzi aby w słubickiej sprawie znaleźć jak najwięcej winnych, istotne jest żeby za niedopełnienie obowiązków służbowych „odpowiedzieli wszyscy, których niechlujstwo zawodowe stało się jej przyczyną.

Kiedy przed czterema laty pisałem o kroplówce z benzyny w szpitalu im. Biegańskiego w Łodzi, będącej przyczyną śmierci dwóch pacjentek (dwie inne szczęśliwie odratowano) — ordynator uniknął wówczas wymiaru sprawiedliwości, choć to właśnie na jego polecenie łamano przepisy — używano powtórnie do kroplówek napoczętych już butelek z płynami infuzyjnymi. Sprawa została skutecznie wyciszona przez byłego lekarza wojewódzkiego i ministra zdrowia i opieki społecznej. Celowo przypominam tę historię, przy okazji chcę zacytować charakterystyczny komentarz jednego z lekarzy:

— *Właściwie i tak wkrótce by zmarły. U 59-letniej podejrzewano raka wątroby — spisana była na straty, druga 75-letnia przeżyła już swoje. Wcześniej czy później, co za różnica?*

Etyka zawodowa, a po co? W pogoni za zarobkiem, etatami, połówkami, godzinami w spółdzielni lekarz może sobie pozwolić na luksus niedopatrzeń, niedopełnianie obowiązków! Dobra pielęgniarka załatwi wszystko — a jeśli nawet nie, tym gorzej dla niej...

Może właśnie tragedia słubicka położy kres podobnym poglądom. Lekarze muszą się też wreszcie poczuć odpowiedzialni!

Słubice trzęsły się od domysłów, plotek. Twierdzono, że nie ujawniono wszystkich ofiar, że kobiety zmarły w wyniku działania celowego... Poruszenie było ogromne, zginęły młodziutkie matki czterech zdrowych, donoszonych niemowląków. Odezwały się telefony z pogróżkami, najbardziej zapalczywi obrzucili szpital kamieniami. Inni litowali się nad pielęgniarkami. Wiedziano, że tuż przed świętami Bożego Narodzenia siostra położnej, Bogumiły Bogacz, została bestialsko zamordowana przez własnego męża.

— *Przecież ona ledwie żyła, mogła się pomylić..*

Matka zmarłej Beaty Podgórnik powiedziała mi:

— *Nie czujemy z mężem nienawiści do tych nieszczęsnych pielęgniarek. Współczuję im bardzo. Też mają rodziny, dzieci...*

Miasteczko przeżywało najazd dziennikarzy z całego kraju, z Warszawy, Kielc, Poznania. Na ulicach zaczepiano ciężarne, pytano, czy zechcą rodzić w miejscowym szpitalu. Rodziny czterech ofiar i zatrzymanych pielęgniarek nachodzono nagabywano bez przerwy. Przybysze nie uważali za stosowne wczuć się w sytuację, uszanować rozpacz, ból. Prześcigano się w zdobywaniu szczegółików, każdy chciał mieć ich najwięcej, wszystko jedno jakim kosztem.

Najbardziej bezwzględnie działała ekipa telewizji poznańskiej. Pierwszego dnia nawet prokurator powściągliwie — ze względu na stan psychiczny — zrezygnował z przesłuchania obu pielęgniarek, ale reporterzy nie przepuścili gratki, kobiety postawiono przed kamerami.

Nie wszyscy publicyści tak ostro wchodzili w ludzkie nieszczęście. Dobrochna Kędzierska z „Polityki" i młody dziennikarz, Aleksander Chećko z „Życia Warszawy", dalecy byli od poszukiwania mocnych wrażeń dla swoich czytelników.

W domach zmarłych kobiet głęboka rozpacz. Ludzie pogrążeni w żałobie przeżywają nieszczęście. Prości, niezamożni, zastanawiają się nad losem dzieci, wszystkimi kłopotami związanymi z wychowaniem, własną sytuacją materialną.

Elżbieta Bukowska, oprócz nowo narodzonego synka pozostawiła czternastomiesięczną Agnieszkę. Mężowie denatek młodzi jeszcze, teraz w szoku, nie w pełni zdają sobie sprawę z ogromu tragedii — jakby nieobecni...

O córeczkę Beaty Podgórnik już rysuje się konflikt pomiędzy rodzicami zmarłej a ojcem dziecka.

Władze gorzowskie, wojewoda Stanisław Nowak, po ludzku zainteresował się potrzebami pokrzywdzonych rodzin. To jego zastępcy osobiście badali sytuację. Załatwiono formalności pogrzebowe, pogrzeby na koszt Urzędu Miasta. Zakupiono wyprawki niemowlęce, wózki.

Na dzieci, w razie potrzeby, czekają miejsca w żłobkach.

Podsekretarz stanu, Ryszard Brzozowski, który przyjechał dla szczegółowego rozpatrzenia sprawy, jako prezes PCK, zobowiązał się zafundować sierotom książeczki mieszkaniowe.

Tragedie w szpitalach zdarzają się często, najwięcej jest tych cichych, których ślady zaciera się szybko i skutecznie. Odpukać w niemalowane drzewo, niewiele zwiastuje, że słubicka będzie ostatnią. Pociągnięcie do odpowiedzialności ordynatora jest poważnym ostrzeżeniem dla wielu, ale czy dla wszystkich? Dyrektor ZOZ i kierowniczka apteki, mgr Anna Gołębiowska również nie wywiązywali się z obowiązku nadzoru, czy poniosą za to konsekwencje? Z bałaganem, brakiem odpowiedzialności można się spotkać na co dzień w wielu jednostkach służby zdrowia. Posłużę się przykładami z łódzkiego podwórka. W nowoczesnym, z pełną specjalistyką Szpitalu Wojewódzkim im. M. Kopernika na dyżurach pozostawia się stażystów, nie zawsze wiedzących co począć z chorym, wystraszonych. W ogromnej aglomeracji, dysponującej potężną armią lekarzy specjalistów jest to sytuacja paradoksalna.

W zaledwie dwuoddziałowym szpitalu „Pasteura" na internie panuje chaos. Mylne są karty gorączkowe przy łóżkach... Lekarz aplikuje nie to, co potrzeba, innym razem są one przyczyną wysłania telegramu o zgonie podczas gdy pacjent leży żywy, tyle że na łóżku obok. Taka „ciuciubabka" może pewnego dnia skończyć się bardzo smutnie.

Niezrozumiałe jest, że dyrektor ZOZ-u śródmiejskiego dr Stefan Piestrzeniewicz, doskonale wie o wszystkim. Trzy odpowiedzialne panie — ordynator, pielęgniarka oddziałowa i przełożona szpitala są absolutnie bezkarne, wysoko oceniane. Pikanterii całej sprawie dodaje fama, że ponoć mają „szerokie plecy" zwłaszcza oddziałowa, której nikt nie jest w stanie ruszyć.

Apeluję do rozsądku! Pomni słubickiej tragedii, bądźmy odpowiedzialni, stawka jest niebagatelna, w grę wchodzi zdrowie i życie pacjentów.

Powrót do „medycyny ludowej"

Znachorzy lub uzdrawiacze, jak głosi stary dowcip, to medycy, którzy rozbili swój wigwam w pół drogi pomiędzy wyższą szkołą sztuki leczenia, a nizinami szarlatanerii. Tam, w tym rezerwacie, za zgodą prawa, ale bez argumentów medycznych, przepisują coraz większej rzeszy zwolenników napary z ziół, tynktury i kropelki na wszystko, masują osłabione mięśnie i zastrzykami przepędzają najróżniejsze bóle.

Rzadko zdarza się, by w kraju, w którym — mówiąc z pewną przesadą — nawet od portiera w szpitalu wymaga się pewnej wiedzy i co najmniej zdania egzaminu z administrowania, ludzie nie mogący się wykazać egzaminami i nie aprobowani oficjalnie cieszyli się takim wzięciem: pełne poczekalnie i bez wyjątku zadowoleni pacjenci. Ludzie ci, do których z powodu ich białych fartuchów, pacjenci często zwracają się per „panie doktorze", jednocześnie w dobrym i złym sensie tego słowa: w dobrym, bo przekazują tradycyjne, stare recepty, o których mało który lekarz chce pamiętać, w złym, bo sięganie do pojęcia „ludowy" w medycynie ma znaczenie nie zawsze pozytywne.

Renomowany periodyk fachowy „Medical Tribune" w wydaniu dla Republiki Federalnej zajął się prześledzeniem przyczyn tego zjawiska w RFN, prawie nie mającego sobie podobnych w świecie uprzemysłowionym. Zgodnie z docieraniami pisma, niemal jedna trzecia obywateli przynajmniej „raz kiedyś" wątpi w to, że medycyna oficjalna gwarantuje najlepsze leczenie, a 20—30 proc. Niemców chociaż raz w życiu udaje się po poradę do znachora.

August Friedrich Surmann, wiceprezes Stowarzyszenia Niemieckich Uzdrawiaczy, ocenia liczbę swoich kolegów na 6500—7000. Zgodnie z przyjętą formułą: pacjent razy lekarz razy przeciętne honorarium, każdy z nich musi mieć przeciętnie roczne obroty w wysokości około 100.000 marek. Pacjenci, którzy tak gwałtownie zwalczają udział chorego w kosztach ustawowego ubezpieczenia chorobowego, tu chętnie płacą i to gotówką.

Ludzie traktują uzdrawiaczy poważnie — jak tego dowodzi napływ pacjentów — ale, jak się wydaje, prawie nic o nich nie wiedzą. Publiczna dyskusja na ten temat ogranicza się do sporu, czy dyplomowany prawnik i były menadżer, Manfred Koehnlechner, który wyrobił sobie nazwisko jako znachor, jest czy nie jest szarlatanem.

To, że w RFN są ludzie, którzy mając minimalne przygotowanie zawodowe, mogą legalnie leczyć innych, umożliwia ustawa o uzdrawiaczach z 1939 roku. Do tamtej pory do znachorów, jak ich wówczas oficjalnie nazywano, stosowały się pruskie przepisy o uprawianiu rzemiosła, które nie zezwalały jedynie na „wykonywanie zawodu wędrownego". Poza tym dla leczenia bez egzaminu lekarskiego nie było żadnych ograniczeń. Ustawa z 1939 roku miała z tym skończyć i przy okazji zlikwidować całe to zajęcie: legalne uprawianie znachorstwa zostało uzależnione od pozwolenia państwowego, a jednocześnie zakazano przyjmowania nowych adeptów do tego zawodu. To z kolei, po powstaniu RFN, okazało się sprzeczne z podstawowym prawem do swobodnego wyboru zawodu. Wobec tego Federalny Trybunał Administracyjny roztrzygnął w 1957 roku, że jako „uzdrawiacz" może pracować każdy, kto spełnia ustawowe warunki uzyskania pozwolenia państwowego. Dr Rudolf Bauer z Federalnej Izby Lekarskiej nazywa ich pogardliwie „ludźmi, którzy nie muszą nic umieć".

Natomiast Wilhelm Georg Jung, sam będący znachorem, a także, m.in., przewodniczącym Związku Homeopatów Niemieckich, uważa, że wypełniają oni „luki w medycynie akademickiej".

Faktycznie coś w tym jest. Dr Walter Hewer, który jest lekarzem w Giessen, zbierając materiały do swojej pracy doktorskiej, próbował ustalić, co sprawia, że „lekarze bez studiów" są tak atrakcyjni. Ustyszał m.in., że ten kto idzie do znachora, jest zwykle niezadowolony ze swojego lekarza domowego, bo:

— nie ma on czasu na zajmowanie się osobistymi kłopotami pacjenta;

— nie przyjmuje krytyki i prawie nigdy nie pyta pacjenta o opinię;

— udziela mu za mało informacji o diagnozie i przebiegu choroby.

Do tego dochodzą obawy przed techniką i chemią. Homeopata Jung mówi, że „kiedy pacjent po rozmowie z lekarzem, po badaniach klinicznych i leczeniu wciąż nie czuje się lepiej, to jest zaniepokojony i przestraszony". Można powiedzieć — z pewną przesadą — że kobalt w medycynie budzi podobnie wątpliwe obawy, jak atom w energetyce.

Jednak boom w leczeniu środkami i sposobami naturalnymi nie jest pozbawiony niebezpieczeństw. Prof. Gerhard Leibholz, ekspert od tych spraw twierdzi, że istnieje „pilna potrzeba wprowadzenia ustawowych środków zapobiegających nadużyciom w tej dziedzinie" i to z dwóch względów. Po pierwsze — dlatego, że rady i pomocy u znachorów szuka coraz większa liczba pacjentów, a — po drugie — dlatego, że coraz bardziej rośnie liczba ludzi uprawiających ten zawód. To właśnie niepokoi medycynę akademicką. Tak np. Dietrich Maiwald, prezes Krajowej Izby Lekarskiej Badenii-Wirtembergii, zauważył niedawno, że jest to „hańba narodowa", jeśli ludzie szukający ratunku mogą być leczeni przez osoby nie mające odpowiednich studiów i kwalifikacji. Jak zawsze, kiedy na pomoc przywołuje się naród, krytyka w gruncie rzeczy ujawnia słabość krytykującego. Być może, że znachor staje się niekiedy ostatnią nadzieją dla chorego na nowotwór. Jednak rzesze pacjentów są zadowolone i szybko przestają odczuwać dolegliwości, kiedy mogą raz wreszcie powiedzieć wszystko, co im leży na sercu, że żołądek boli ich najbardziej wtedy, kiedy mają długi, grozi im utrata pracy, albo opuściła ich żona. Co jednak, jeśli bóle żołądka nie biorą się wyłącznie z kłopotów, lecz powoduje je wrzód? Dlatego też wiceprezes Surmann chce stawiać wyższe wymagania, jeśli chodzi o kwalifikacje, domagając się ostrzejszej selekcji kandydatów do zawodu „uzdrawiacza"?

Homeopatia. Terapia homeopatyczna polega, w uproszczeniu, na zwalczaniu dolegliwości podobnymi dolegliwościami. Pacjent otrzymuje lek w postaci silnie rozcieńczonej substancji, której podanie wywołuje u osoby zdrowej podobne objawy, jak sama choroba. Homeopatię stosuje się głównie przy zapaleniu spojówek, skręceniach, złamaniach, a nawet przy nowotworach i chorobie alkoholowej. Wybór i dozowanie leku opiera się na doświadczeniu homeopaty.

Chiropraktyka (kręgarstwo). Chiropraktyk bada przesunięcia kręgów, które, naciskając na nerwy w kręgosłupie, wywołują dolegliwości. Następnie tylko przy użyciu rąk przesuwa kręgi na właściwe miejsce. Niektórzy kręgarze twierdzą, że tą metodą można uleczyć prawie wszystkie choroby. W RFN chiropraktykę stosuje się przede wszystkim w dolegliwościach związanych z tzw. dyskiem.

Akupunktura. Ta metoda leczenia polega na wkładaniu w określone miejsca ciała trzech do pięciu specjalnych igieł. Złote igły wzmacniają organizm zagrożony chorobą, srebrne działają uspokajająco. W zależności od schorzenia używa się igieł krótkich lub długich, a czas trwania zabiegu sięga od kilku sekund do kilku godzin. Specjaliści znają przeszło 300 punktów na powierzchni ciała ludzkiego, w które należy wkłuwać igły. Akupunkturę stosuje się np. przy migrenach i reumatyzmie, przy odzwyczajaniu się od palenia, a także jako metodę znieczulającą.

Neuroterapia. Przez tę metodę, stosunkowo młodą (jej autorem był niemiecki lekarz, Ferdinand Huneke, zmarły w 1966 r.), rozumie się wstrzykiwanie określonego specyfiku (najczęściej roztworu nowokainy i kofeiny) w celu usunięcia nieustępliwych bólów. Źródłem bólu może być stan zapalny w migdałach, zębach, lub np. blizna pooperacyjna.

Terapia krwi. Polega na upuszczaniu i odciąganiu krwi przez przystawianie pijawek i stawianie baniek, jak również na wstrzykiwaniu własnej krwi pacjenta. Źródła schorzeń, zwalczanych w ten sposób, upatruje się w stanie i właściwościach krwi chorego. Pijawki stosuje się m.in. przy niebezpieczeństwie powstawania zakrzepów, bańki pomagają w dolegliwościach reumatycznych. W terapii z zastosowaniem własnej krwi pacjenta pobiera się krew z żyły, miesza ją z odpowiednim roztworem i ponownie wstrzykuje w pośladek. Metoda ta pomaga m.in. przy egzemach.

Hydroterapia i balneoterapia. Należy tu zawijanie w mokre prześcieradła i polewanie wodą, a także chodzenie boso po wodzie i rosie, ponadto kąpiele w wodach leczniczych i w szlamie leczniczym, jak również inhalacje i picie wód leczniczych. Hydro- i balneoterapia są zalecane przy najróżniejszych schorzeniach: nerkowych, sercowych, reumatycznych, itp.

Terapia ozonowa. W celu odświeżenia krwi wstrzykuje się ozon dożylnie lub domięśniowo, ewentualnie pobiera się krew, wzbogaca się ją mieszanką ozonowo-tlenową i ponownie wprowadza do żyły. Metoda ta zapobiega niekiedy amputacji; stosowana jest przede wszystkim przy złym ukrwieniu, a także stanach wyczerpania.

Fitoterapia (ziołolecznictwo). Polega na stosowaniu wyciągów, soków i naparów z ziół praktycznie we wszystkich chorobach, jako terapia samodzielna lub uzupełniająca.

„CAPITAL"
(nr 10, październik 1982)

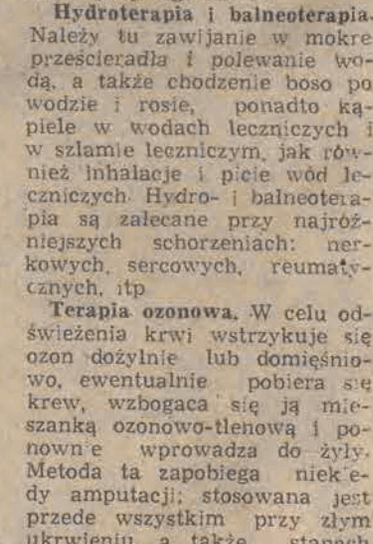

Foto: M. Zajdler

Polemiki • Opinie • Poglądy

Budujmy nową filharmonię!

Czy można sobie wyobrazić duże ośmiusettysięczne robotnicze miasto bez placówek kulturalnych? Oczywiście można, tylko obraz ten byłby smutny i pesymistyczny. Bo przecież właśnie w takim mieście powinno być czynnych możliwie dużo ośrodków podwyższających poziom kultury jego mieszkańców, uczących przeżywania wzruszeń i radości jakie daje aktywny współudział w życiu kulturalnym, możność obejrzenia i wysłuchania dobrych spektakli teatralnych i koncertów pięknej muzyki.

Czy można wyobrazić sobie takie miasto bez symfonicznej orkiestry? Oczywiście można, tylko byłby to obraz zbliżający się do pesymistycznego wyobrażenia uprzednio opisanej pustyni kulturalnej.

Czy wreszcie można pomyśleć, że w dużym ośmiusettysięcznym robotniczym mieście dopuszczono do zlikwidowania istniejącej od ponad siedemdziesięciu lat bardzo dobrej, jednej z najlepszych w kraju, orkiestry symfonicznej?

Mógłby to być chyba tylko surrealistyczny pomysł ironizującego złośliwca. A jednak w drugim co do wielkości mieście polskim, w Łodzi, takie złośliwe majaczenie może być zrealizowane.

Łódzka orkiestra symfoniczna koncertuje w gmachu, który nie spełnia wymagań stawianych takim pomieszczeniom. Nie ma możliwości zainstalowania w sali koncertowej organów, są trudności z umieszczeniem na estradzie pełnego składu orkiestry i chóru, brak właściwych sal ćwiczeniowych, brak nawet odpowiednich szatni dla artystów. Jak się jednak okazało, nawet w takich warunkach orkiestra może żyć i działać, choć znacznie trudniej jest jej spełniać podstawową rolę animatora życia kulturalnego mieszkańców miasta. A więc nie jest tak źle i może należałoby zgodzić się szczególnie w naszych obecnych trudnych czasach, aby w dalszym ciągu entuzjazm i chęć działania przezwyciężały trudności wynikające z niedogodnych warunków pracy.

Można zdecydować się na takie symboliczne zaciśnięcie pasa na własnych chęciach i marzeniach, gdyby tylko było to możliwe. Otóż możliwość taka nie istnieje, gdyż budynek filharmonii zaczyna się walić. Stara, drewniana konstrukcja jest na granicy śmierci technicznej. Gmach może być użytkowany tylko pod stałym nadzorem technicznym i może się okazać, że obecny sezon koncertowy jest ostatnim, który może być realizowany w obecnych warunkach. Jeżeli nie zostaną podjęte właściwe działania, to Łódź może już w przyszłym roku mieć bezdomną orkiestrę symfoniczną. I chyba każdy zdaje sobie z tego sprawę, że taka orkiestra najpierw obniży swój poziom, a następnie ulegnie likwidacji.

A przecież stworzenie dobrej orkiestry symfonicznej wymaga kilku lub nawet kilkunastu lat intensywnej pracy. Ten wieloletni wysiłek można zniszczyć w ciągu kilku miesięcy. Oczywiście zakładam i chyba się nie mylę, że nikt do zlikwidowania orkiestry symfonicznej w Łodzi dopuścić nie chce.

A więc należy zacząć działać i to rozpocząć działanie natychmiast. Są dwie możliwości zapobieżenia opisanej katastrofie kulturalnej. Oto one: przebudowa połączona z modernizacją budynku filharmonii przy ul. Narutowicza 20 lub budowa nowego gmachu.

Jedyny argument przemawiający na niekorzyść drugiego rozwiązania to jego koszt. Jest on około trzykrotnie wyższy niż koszt modernizacji starego budynku. Czas realizacji obu inwestycji jest taki sam i wynosi około ośmiu lat. Modernizacja starego budynku w obszarze ciasno zabudowanym stwarza duże utrudnienia techniczne. Niezbędne jest wykorzystanie aż pięciu budynków mieszkalnych, co powoduje konieczność zapewnienia mieszkań zastępczych dla 82 rodzin.

Nowy gmach ma stanąć w centrum miasta przy al. Adama Mickiewicza. Lokalizacja ta jest zatwierdzona przez władze miasta. Stałym przypomnieniem tej decyzji jest tablica wmurowana w tym miejscu w maju 1982 r. przez Społeczny Komitet Budowy Filharmonii. Teren jest, z jednym małym wyjątkiem, niezabudowany i można by podjąć przygotowania do rozpoczęcia budowy bez żadnej zwłoki.

Niezależnie od rodzaju podjętej decyzji konieczne jest zapewnienie filharmonikom tymczasowego miejsca pracy do chwili uzyskania nowego pomieszczenia. Jeżeli zdecydowano by się na modernizację starego gmachu, to jedynym wyjściem jest adaptacja do tego celu kina „Bałtyk", które zresztą w okresie powojennym przez pewien czas było już siedzibą Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej. Mimo dużego kosztu adaptacji (około 15 milionów zł — zgodnie z cenami 1982 roku), orkiestra musiałaby pracować przez szereg lat w warunkach znacznie gorszych niż obecnie. W przypadku decyzji budowy nowego gmachu, istnieje możliwość doprowadzenia starego budynku za stosunkowo niedużą cenę w krótkim, dwu- trzymiesięcznym okresie do stanu, który pozwoliłby na dalsze jego kilkuletnie użytkowanie.

A jaki będzie ostateczny wynik realizacji każdego z dwóch omawianych projektów?

Jeżeli będzie modernizowany stary gmach, to orkiestra po długim okresie wegetowania w nieodpowiednich warunkach będzie mogła wprowadzić się do gmachu o kubaturze około 32 000 m sześc., w dalszym ciągu nie spełniającego wymagań stawianych takiemu obiektowi. Druga decyzja pozwala na wyobrażenie sobie optymistycznego i radosnego obrazu przejmowania przez Łódzką Filharmonię gmachu o kubaturze 122 000 m sześc., który będzie powodem dumy miasta i który może stać się ośrodkiem ogólnopolskich imprez kulturalnych. Mogłoby to mieć miejsce w roku 1990, w którym już zaczniemy zapominać o dzisiejszych troskach, będziemy myśleć wówczas z wdzięcznością o ludziach, którzy w czasach trudnych nie zapomnieli o potrzebach kulturalnych społeczeństwa.

Żyjemy w ciężkim okresie, ale nie wolno nam zapominać o tym, że życie człowieka może być piękne tylko wtedy, tylko wówczas jego działanie może mu dać rzeczywistą radość i satysfakcję, gdy nawet kosztem codziennych wyrzeczeń doprowadzi do efektów trwałych, z których będą mogły korzystać następne pokolenia.

JERZY LANZENDOERFER
prezes Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii

Dylematy historii

Za ojca historii przyjęło uważać uczonego greckiego Herodota z Halikarnasu żyjącego w V wieku przed naszą erą. Pod pojęciem „historia" rozumiał on wiedzę otrzymaną w wyniku badania, gdyż dosłownie wyraz ten po grecku znaczy „badanie". Swoje wielkie dzieło o wojnach Greków z Persami — które Europa zachodnia poznała dopiero na przełomie XV i XVI wieku — nazwał „Historie Herodota". A w ślad za nim inni badacze dziejów ludzkich zaczęli używać słowa „historia" na oznaczenie spisywanych relacji. I tak od około II wieku p.n.e. pojęcie to nabrało do dziś obowiązującego sensu.

Jeśli jednak przez „historię" rozumiemy relację (opowiadanie) o dziejach, powstałą na podstawie badań, to należy od niej odróżniać same owe „dzieje", czyli minione bezpowrotnie wydarzenia, po których pozostały ślady w postaci źródeł historycznych. Nauka historii powinna ukazać prawdę o przeszłości, ale w rzeczywistości może tylko zbliżyć się do adekwatnego odzwierciedlenia faktów i procesów, które nieuchronnie już przeminęły. Każdy historyk musi dokonywać jakiejś selekcji zebranego materiału. I pewne sprawy — jako ważniejsze — opisuje dokładniej, inne zaledwie wspomina lub całkiem pomija. W ten sposób, chcąc nie chcąc, tworzy obraz dziejów, podobnie jak artysta. Dlatego niektórzy są zdania, że historia wcale nie jest nauką, lecz sztuką. Już Herodota zresztą pogardliwie nazywano „bajarzem", a później większość wybitnych historyków miała uzdolnienia poetycko-literackie.

Oprócz „dziejów" i „historii", trzeba jeszcze wprowadzić trzecie określenie a mianowicie „tradycji". Obejmuje ona jedynie te elementy przeszłości i relacji historycznej (naukowej i potocznej), które szeroko upowszechniły się i przyjęły w społeczeństwie. Tradycja jest pamięcią społeczną. Jej znaczenie w życiu człowieka pewien filozof ujął następująco: gdyby ludzie całkowicie odrzucili tradycję, to niechybnie wróciliby do jaskiń, gdyby natomiast tylko trzymali się tradycji, to nigdy by z jaskini nie wyszli. Postęp wymaga zatem jednoczesnego przejmowania, przekształcania i tworzenia tradycji.

Na tradycję — system obyczajów, norm, wartości i wiedzy — składają się elementy przyjmowane rutynowo oraz świadomie. Pierwsze (obyczaje) funkcjonują na podobieństwo instynktów i przypominają pamięć genetyczną. Drugie zaś żyją w świadomości społecznej i mają charakter refleksyjny. Ale ta świadoma tradycja często niewiele ma wspólnego z prawdą historyczną. Więcej tu nieraz znaczą mity i legendy niż fakty. Człowiek bowiem jest „niepoprawnym kłamcą" — jak powiada Mika Waltari — i za prawdę uważa to czego pragnie i na co ma nadzieję. Toteż w świadomości historycznej narodu spotykamy, obok zjawisk zgodnych z nauką (przy czym nie zawsze z tą oficjalną nauką), także obrazy i symbole powstałe spontanicznie.

Jak wiadomo, ludzie nie działają według realnej rzeczywistości, lecz raczej na podstawie posiadanego jej obrazu. Dlatego najlepiej, żeby każdy naród miał prawdziwą wiedzę o własnych dziejach — ukształtowaną przez rzetelną naukę, a nie fałszywą świadomość. Jednakże postulat ten jest trudniejszy do realizacji niż się na ogół przypuszcza. Po prostu każde pokolenie traktuje historię instrumentalnie i wybiera z niej głównie to, czego potrzebuje ze względu na istniejące warunki oraz stany ducha. Znany historyk i filozof francuski, Jean Jaurés, proponował, aby z ołtarzy przodków brać płomień, nie ruszając popiołów. W tym efektownym twierdzeniu ukryte jest założenie, że tradycję można świadomie kształtować. Podczas gdy mamy tu do czynienia z procesem, którym rządzą obiektywne prawa. Sami zresztą w latach powojennych mogliśmy się przekonać, że nie da się dowolnie kreować nowych i rugować starych składników tradycji.

Często słyszymy, że historia jest nauczycielką życia, co sugeruje, że można się z niej dowiedzieć, jak efektywnie rozwiązywać problemy współczesności. Zakłada się przy tym, że losy ludzi, narodów i państw powtarzają się. Tego zdania w starożytności był np. dziejopis i historiozof ateński Tukidydes (460—400 p.n.e.), a w czasach nam bliższych słynny historyk i politolog florencki Machiavelli (1469—1527). Obaj byli przekonani, że historia się powtarza, ponieważ natura ludzka pozostaje wciąż niezmienna. Ale przeciwny pogląd reprezentował Hegel. Głosił on że narody i politycy niczego się nie nauczyli z historii i nie postępowali według jej nauk, gdyż jest to niemożliwe. Każda epoka zawiera tak specyficzne okoliczności, że — jak pisał — **„spłowiałe wspomnienie przeszłości jest bezsilne wobec bystrego i swobodnego nurtu teraźniejszości"**. Bardzo ciekawe, iż myśl tę wynotował sobie Lenin i napisał obok trzykrotnie „NB" (Nota Bene).

Powiedzenie, że historia jest nauczycielka życia można też rozumieć inaczej. A mianowicie, iż jest to skarbnica moralnie pożądanych wzorów postępowania. Taką funkcję spełniała na przykład tzw. „historia święta" w Kościele chrześcijańskim, kiedy w zbożnych celach zmyślano oraz preparowano fakty i żywoty świętych. Wystarczy choćby wspomnieć Kronikę Polską biskupa Wincentego Kadłubka. Niestety w prawdziwej historii znajdujemy zarówno dobre, jak i złe przykłady. Toteż już Platon zalecał „kłamstwo w wychowaniu historycznym młodzieży".

Jak z tego wynika, praktyczna wartość historii (polityczna i wychowawcza) jest dość ograniczona i problematyczna. Kolejne pokolenia popełniają te same błędy i od nowa uczą się rozwiązywania problemów. A własne doświadczenia więcej dla nich znaczą niż najlepsze lekcje historii. Nauczycielka życia jest nie tyle historia, co samo życie. Nie należy zatem przeceniać znaczenia historii, tak samo jak nie można jej nie doceniać.

Warto zauważyć, że w Polsce przywiązujemy znacznie większą wagę do historii, aniżeli w rozwiniętych krajach Zachodu. Amerykanie zdają się nawet w ogóle ignorować historię, a mimo to cywilizacyjnie radzą sobie najlepiej. Rzadko oglądają się wstecz, a zwykle żyją teraźniejszością i patrzą w przyszłość. Postawa taka jest charakterystyczna dla kultury mieszczańskiej. I sprzyja rozwojowi techniczno-ekonomicznemu. Nadmierne „uhistorycznienie" bowiem rodzi raczej konserwatyzm.

W ostatnich latach także w Polsce spada zainteresowanie historią, a w szczególności jej makrospołeczną perspektywą. Wynika to głównie z eskalacji kultury i mentalności mieszczańskiej. A mieszczanin jest wręcz niezdolny do rozumienia historii, gdyż widzi **„wszystko oddzielnie"** (Tuwim) i **„żyje sprawami chwili bieżącej"** (Gorki). Poza tym coraz mniej ceni się u nas wiedzę ogólną i humanistyczną, a bardziej konkretną i techniczną. W klimacie takich wartości wzrasta zapotrzebowanie na mity i uproszczenia historyczne, a nie na prawdziwą historię. Jest to zjawisko niebezpieczne, ponieważ naród nasz i tak już od dawna myśli nie tyle faktami, co symbolami. Świadomość historyczna Polaków ma charakter wybitnie emocjonalny i mityczny, a mało racjonalny. My raczej przeżywamy historię niż trzeźwo rozważamy. Ten uczuciowy sposób reagowania na własne dzieje był i jest świadomie podtrzymywany, chociaż często przynosił ujemne skutki. W 1974 roku Jan Szczepański przestrzegał: **„Polityka w Polsce ciągle rozgrywa się w sferze emocji i ciągle sądzimy, że rozwój kraju zależy od postaw patriotycznych, zaangażowania, oddania sprawie, ofiarności, itp. i ciągle w wychowaniu i propagandzie kładziemy nacisk na emocje. Jest to z jednej strony nieefektywne, gdyż ludzie żyjący w podnieceniu emocjonalnym zużywają się znacznie szybciej, emocje często przeradzają się w przeciwieństwa, trwają krótko — a zatem jako metoda sterowania długofalowym wysiłkiem są nieskuteczne. Z drugiej strony jest to igranie z ogniem, gdyż pobudzenia emocjonalne mogą zawsze przynieść nieprzewidywane skutki"**.

Ostatnio sporo się mówi i pisze o zaniedbaniach w nauczaniu historii. Ale nie chodzi tylko o to, żeby zwiększyć liczbę godzin i wprowadzić przedmiot tam, gdzie go lekkomyślnie zniesiono. Najważniejsze, naszym zdaniem, są trzy kwestie.

Po pierwsze: nie wolno przemilczać ważnych faktów historycznych i stwarzać zakazanych owoców wiedzy, gdyż przynosi to skutki dokładnie odwrotne od zamierzonych.

Po drugie: zamiast pouczania i moralizowania, trzeba w szczególności uczyć rozumienia wydarzeń, ukazując głęboko ukryte przyczyny zjawisk i mechanizm ich działania.

I po trzecie: należy przekazywać wielostronne informacje i różne punkty widzenia, bo wiedza jednostronna budzi podejrzenia, gorzej się utrwala i łatwo rozpada w obliczu nowych faktów.

W mitologii greckiej wszystkie muzy były córkami Zeusa i Pamięci. Najstarszą i pierwszą spośród nich była Klio — muza historii, której atrybut stanowił zwój pergaminu. Biorąc przykład z mądrych Greków, warto wyróżnić historię, lecz nie można od niej zbyt dużo oczekiwać.

MARYLA i EDMUND LEWANDOWSCY

Owszem wydano, ale...

Nawiązując do artykułu red. Igora Sikiryckiego w świątecznych „Odgłosach" o niesłusznie dziś zapomnianym Stanisławie Jachowiczu, pedagogu, pionierze dziecięcej literatury w Polsce chciałbym dodać, że i owszem, wyszły „Wiersze Stanisława Jachowicza" (taki tytuł). Wydały je w 1979 r. w 10-tysięcznym nakładzie Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe w Warszawie. Ale...

Ilustratorzy, (świetni przecie rysownicy) Andrzej Dudziński, Marek Goebel i Andrzej Krauze cały wysiłek, cały swój wielki talent skierowali — taki był chyba zamysł edytora — by wydobyć i podkreślić naiwność i moralizatorstwo trzydziestu dobranych (w tym celu) wierszy. Nawet na kartach tytułowych (książkę można odwracać wte i wewte) dziecko zgrzyta zębami i iskry się sypią.

I tu smętna refleksja...

Każdy poeta ma pozycje i słabsze i lepsze, na dodatek dzisiejszą miarę besserwisserów przyłożono do ówczesnej poetyki Jachowicz wyszedł bez mała jak Soter Rozbicki. Przy usilnym staraniu się — tą metodą można ośmieszyć nie tylko starego profesora. Nie te czasy, nie dzisiejsze wyrafinowanie wygów i nie dzisiejsza wyobraźnia dziatek (w dobie telewizji i gotowych obrazów kto wie, czy nie uboższa?). Tu szczegół. Krakowscy profesorowie w obozie w Sachsenhausen licytowali się, kto więcej przypomni sobie moralizatorskich wierszy, przypowiastek w „typie" właśnie Jachowicza. Inne uleciały z pamięci, a tamte zostały. I nie tylko o „Michasiu, co nie jadł zupy"

Właśnie. W „Księdze cytatów z polskiej literatury pięknej" (Warszawa 1982 PIW wyd. II) mamy spory rozdział poświęcony Jachowiczowi. Nie piszę obrony, ale dla przypomnienia kilka wierszowanych zwrotów: „Cudze chwalicie..." „Nie czyń drugiemu...", „Nie śmiej się dziadku...", „Nie rusz Andziu..." „Staś na sukni...", „A ptaszyna wdzięczna za to...", „Piesku, piesku, masz ty pana...", „Pan kotek był chory...", „Trzeba wprzód popracować, kto chce mieć wygody..." i wiele innych. Kto dziś pamięta, że są autorstwa Jachowicza? Jak i to poniższe:

„Ludzi poprawiać to trochę za śmiało!
Siebie, gdybyśmy chcieli, to by się udało."

KAZIMIERZ GUZIK
(Polanica Zdrój)

28.XII.82

Licentia poetica a normy językowe

Bertold Brecht mawiał: „Ego, poeta germanicus, supra grammaticos sto" ale — o ile mi wiadomo — nie nadużywał tej dewizy. Akurat odwrotnie, niż to czynią niektórzy autorzy 37. nru „Odgłosów" (1982).

Andrzej Wiktor Mikołajewski („Sierotka Marysia w Night Clubie") na przykład używa bez wyraźnej (stylizacyjnej) potrzeby accusativus tromtadraticus: „Mnie nie będzie stać na zaproszenie ją tutaj choćby na jednego dobrego drinka" (s. 16).

Natomiast poeta Rafał Orlewski w rozmowie z pisarzem Eugeniuszem Iwanickim ciepło wspomina Łask i okolice — a w dowód sympatii taki oto kwiatek: „Wkrótce też z dwoma **łaskowianinami**, Janem Janiszewskim i... Eugeniuszem Iwanickim (który był naonczas poetą) założyliśmy powiatową (!) grupę poetycką „Grabia 59". („Pisać poezję...", s. 7). Pomijam już fakt, że poprawne formy „łaskowianie, łaskowianami" nie są — jak się wydaje — formami zwyczajowymi (są nimi „łaszczanie, łaszczan"), tak jak z dwóch obocznych form „Łasku" („Łaska") zwyczajowa jest ta pierwsza.

Będę panu Redaktorowi wdzięczny za opublikowanie tych uwag, wszak uczymy się na błędach...

Łączę pozdrowienia i najlepsze życzenia świąteczne

Dr ROMAN SADZIŃSKI
Łódź

Wspomnienie z jubileuszu

Pisaliśmy swego czasu o 35-leciu Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch". Otrzymaliśmy też list — szkoda, że tak późno — z imprezy towarzyszącej jubileuszowi. Publikujemy go jako przykład pokazujący, jak można wesoło i zdrowo spędzić czas.

W ostatniej dosłownie chwili skreślono tę konkurencję z programu spartakiady Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, ponieważ miała ona charakter wieloboju i każdy zdobyty w niej punkt odgrywał niebagatelne znaczenie. Wypadło dać równe szanse wszystkim jej uczestnikom, a tu — ku zaskoczeniu organizatorów — dwie przedstawicielki płci pięknej i podobnej budowy ich kolega — nie mogli zmieścić się w obszernych workach.

Bez protestu przyjęto tę decyzję, choć zawodniczki i zawodnicy wag kogucich na pewno w swych prognozach ulokowali spory zysk punktowy za ten bieg na 30-metrowym dystansie. W zamian — u zawiedzionych zrodziła się nadzieja, że jak z obfitego rogu posypią się punkty w strzałach na bramkę. Nie była ona tak wysoka i szeroka, jak na boiskach piłkarskich. Swymi wymiarami nie różniła się od bramek piłki ręcznej, jedynie jej wygląd mógł zdziwić każdego kibica sportu, bo całkowicie zasłonięto ją płytą, oznaczoną kolorowymi kwadratami, uwzględniając na nich punkty od 2 do 5 za celność strzałów.

Bez entuzjazmu przygotowywały się do tej konkurencji panie, zakładając już z góry pełne fiasko, a to dlatego, że obok nich sprawnie, ot tak — dla rozgrzewki — żonglowali piłką chłopy, z których niejeden świetnie grał w młodości w futbol. A był też w ich gronie i taki red. H. G., co to w niezbyt odległej przeszłości pełnił funkcję etatowego egzekutora „jedenastek" w drużynie juniorów cenionego w Łodzi klubu. Ów „postrach" bramkarzy z dawnych czasów, że stoickim spokojem czekał na swą kolejkę, tolerancyjnie uśmiechając się, gdy któraś z zawodniczek nie trafiała do bramki.

Wreszcie spiker wezwał na start dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — Piotra Sagana. Natychmiast otoczyli go doradcy.

— Dyrektorze — mówił pierwszy — tylko przedwojennym sposobem, szpicem... szpicem...

— On tyle zna się na piłce — szeptał drugi — co niedźwiedź na balecie. Trzepnij pan, raz drugi i trzeci podbiciem, tak jak to czyni widzewiak Surlit, a ręczę, padnie rekord celności.

Dyrektor postawił jednak na własne doświadczenie i źle na tym nie wyszedł. Zdobył w tej konkurencji I miejsce, a za nim uplasowały się... dwie panie: referentka Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, Aleksandra Miller i kasjerka tejże instytucji — Elżbieta Rosiak.

A gdzie wylądował dawny mistrz od rzutów karnych? — mogą zapytać ciekawscy. Niemiłosiernie pudłował. Zadowolił się poślednią lokatą, oświadczając po zakończeniu konkurencji, że prawdziwy dżentelmen zawsze ustępuje miejsca paniom.

Sporo wesołości dostarczył spartakiadowiczom skok w dal z miejsca. Serca do przodu się rwały, nogi również jako tako niosły, ale wielu gubił ten przeklęty przepis, w myśl którego wynik w skoku w dal liczy się od miejsca odbicia do najbliższego odeń śladu. Ciężkawe więc siedzenia niweczyły rokujący lot nad piaskiem.

Wynikiem 2.40 wygrał skok kierowca Wydawnictwa Tadeusz Szymański. On utrzymał się także na I miejscu w „ringo". Miał w międzyczasie mocno skwaszoną minę, gdy w strzałach piłeczką do mini-bramki, młodsza kucharka Łódzkiego Wydawnictwa — Małgorzata Jaszczak — zbierała zasłużone gratulacje za niezawodność oka.

— Dziewczyno! — zawołał ktoś z boku — żebyś tak dobrze gotowała, jak strzelasz, to dopiero byłby raj na ziemi! Złośliwy przerywnik nie zyskał aprobaty otoczenia, a to dowodzi, że w stołówce Łódzkiego Wydawnictwa obiady pracownicze nie są jeszcze najgorsze.

W rzutach lotką, starszy inspektor Wydawnictwa, Tadeusz Jezierski, nikomu nie dał się prześcignąć, zaliczając na tarczy same dziesiątki. Miał jednak w innych konkurencjach kilka potknięć i one przetasowały go na III miejsce w ogólnej klasyfikacji wieloboju. Triumfatorem zawodów został kierowca wydawnictwa — Tadeusz Różalski.

Na podium były oczywiście tylko trzy miejsca dla najlepszych, ale każdy z zadowoleniem żegnał Ośrodek w Sulejowie, w którym z okazji 35-lecia RSW „Prasa" zorganizowało Łódzkie Wydawnictwo swą spartakiadę, licznie obsadzoną przez uczestników różnego wieku.

Dobrze, że organizatorzy tej imprezy potraktowali ją jako zabawę na świeżym powietrzu, eliminując z niej forsowne biegi, bo w przeszłości dochodziło niekiedy do tego, że bez odpowiedniego treningu — długodystansowcy, po zakończeniu zawodów, nie mogli przebiec nawet kilku metrów do tramwaju...

WŁODZIMIERZ LACHOWICZ

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Murchison Morks w gronie znajomych filatelistów opowiada historie niezwykłej serii znaczków z napisem FEDERACJA STANÓW EL DORADO — POCZTA BŁYSKAWICZNA, którą odziedziczył po ojcu. Jeden z tych znaczków nalepił na list zaadresowany do swego przyjaciela Harrisa i już nazajutrz Harris przyleciał z Bostonu do Nowego Yorku. List, który uprzednio tajemniczo zniknął ze stołu Morksa, w przeciągu kilku minut dostarczony został do Bostonu, co więcej — był ostemplowany...

ROBERT ARTHUR

2

Przesyłka do raju

„FEDERACJA STANÓW EL DORADO". Stempel był okrągły, tak jak nasze, a w środku, gdzie zazwyczaj znajduje się data i godzina wysłania było jedno słowo: czwartek.

„Dziś jest czwartek — zauważył Harry. — **Czy było już po północy, kiedy nakleiłeś znaczek?".**

„Tak — potwierdziłem — **To dziwne, ale ci ludzie z El Dorado nie zwracają uwagi na dokładny czas".**

„To tylko potwierdza nasze przypuszczenia, że to jakiś egzotyczny kraj — stwierdził Harry. — **Sam wiesz, że czas nie ma znaczenia w tropikach. Ale chciałem powiedzieć, że ten stempel z czwartku dowodzi, że El Dorado jest jakimś krajem Ameryki Środkowej, tak jak przypuszczałeś. Gdyby był gdzieś na wschodzie to miałby stempel ze środy, prawda? Z powodu różnicy czasu."**

„A czy nie byłby to piątek? — spytałem z powątpiewaniem, bo niewiele wiem o tych komplikacjach z datami. **„W każdym razie możemy łatwo to sprawdzić w atlasie. Dziwne, że dotąd na to nie wpadłem".**

Harry rozpogodził się. **„Oczywiście** — przytaknął — **Gdzie masz atlas?"** Ale okazało się że nie mam w domu atlasu. Zadzwoniliśmy więc do księgarni w centrum, żeby przysłali nam najnowsze wydanie atlasu, największego jaki mają w sprzedaży. Czekając na dostarczenie go, raz jeszcze obejrzeliśmy list, zastanawiając się nad sposobem jego przesłania.

„Poczta Błyskawiczna — dumał Harry. — **Faktycznie. Bije pocztę lotniczą na głowę. Skoro ten list od czasu kiedy straciłeś go z oczu do momentu kiedy upadł na podłogę w moim pokoju, został przetransportowany nie tylko stąd do Bostonu, ale po drodze zaliczył jeszcze Amerykę Środkową, został tam ostemplowany i dopiero dotarł do Bostonu, jego przeciętna szybkość musiała wynosić..."**

Szybko policzyliśmy i wyszło nam ponad 3000 km/min. Spojrzeliśmy jeden na drugiego.

„Boże — westchnął Harry — **Federacja Stanów El Dorado może i jest egzotycznym krajem, ale wymyślili coś wspaniałego. Zastanawiam się dlaczego nic o tym nie słyszeliśmy?"**

„Może trzymają to w tajemnicy — zauważyłem — **Ale chyba nie, bo te znaczki leżą u mnie od kilku lat, a wcześniej jeszcze były u ojca".**

„Mówię ci, coś w tym jest — martwił się Harry. — **Gdzie jest reszta znaczków? Czekając na atlas możemy zrobić z nimi parę prób"**

Wyjąłem pozostałe cztery znaczki i wręczyłem je Harremu. Harry miał zacięcie artystyczne, toteż aż gwizdnął z podziwu kiedy je zobaczył. Obejrzał wszystkie z uwagą, ale tak, jak przypuszczałem, najbardziej spodobał mu się znaczek za 3 dolary, ten z dziewczyną, pamiętacie?

„Boże! — wykrzyknął Harry — **Jaka piękna!"**

Odłożył go jednak na bok i obejrzał resztę. Potem odwrócił się do mnie: **„Najbardziej zdumiewa mnie w nich to, że te rysunki są jak żywe. Wiesz co bym powiedział, gdybym nie wiedział co to jest? Że to są fotografie!"**

„Fotografie? — wykrzyknąłem zdumiony, a Harry przytaknął. **„Obaj wiemy, że to niemożliwe** — dodał. — **Jednorożce, Neptuny i bożki nie biegają po ulicy czekając aż je ktoś sfotografuje".**

Przyznałem, że odniosłem takie samo wrażenie. Ale ponieważ obaj zgodziliśmy się że jest to niemożliwe, wróciliśmy do sprawy transportu listu.

„Mówiłeś, że nie było cię w pokoju, kiedy list znikł — zauważył Harry — **To znaczy, że nie widziałeś tego. Nie wiesz co się stało kiedy nakleiłeś znaczek na list".**

Przyznałem mu rację, a Harry pogrążył się w zadumie. W końcu spojrzał na mnie.

„Myślę — powiedział — **że powinniśmy sprawdzić jak to było, wysyłając coś przy pomocy któregoś z pozostałych znaczków".**

Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej, sam nie wiem. Przytaknąłem z zapałem. Trzeba było tylko zastanowić się co wysłać i do kogo.

Myśleliśmy nad tym dobrą chwilę. Żaden z nas nie znał nikogo z kim chciałby podzielić się tym dziwnym odkryciem. Będąc razem nie mogliśmy korespondować między sobą.

„Mam — wykrzyknął w końcu Harry. — **Wyślijmy coś do samego El Dorado."**

Zgodziłem się na to chętnie, ale nie pamiętam już jak to się stało, to zamiast listu postanowiliśmy wysłać Tomasza, mojego mocno już podstarzałego i schorowanego syjamskiego kota. Pomyślałem sobie, że będzie to dobry sposób na skrócenie jego cierpień. Podróż z prędkością 180000 km/godz z pewnością załatwi to szybko i bezboleśnie.

Tomasz spał na poduszce chrapliwie dysząc. Znalazłem kartonowe pudło odpowiednich rozmiarów, zrobiliśmy w nim parę otworów dla wentylacji. Teraz wziąłem Tomasza i wsadziłem go do pudła. Otworzył leniwie oczy, spojrzał na mnie nieprzytomnie i zapadł w drzemkę. Z wyrzutami sumienia zamknąłem wieczko i zawiązaliśmy pudło.

„Teraz — powiedział Harry z zadumą — **pozostaje sprawa adresu. Myślę, że każdy adres będzie dobry dla naszych celów."**

Wziął pióro i napisał pospiesznie: **„P. Henry Smith. Pola Elizejskie 731. Nirvana. Zjednoczone Stany El Dorado."** Pod spodem dopisał: **„Ostrożnie! Szkło!"**

„A..." zacząłem — ale Harry przerwał mi.

„Nie — powiedział — **pewnie, że nie znam żadnego takiego adresu. Wymyśliłem go sobie. Ale listonosz przecież nie będzie o tym wiedział, prawda?"**

„A co będzie jeśli..." zacząłem znowu, ale miał gotową odpowiedź zanim zadałem pytanie.

„Myślę, że trafi do biura zwrotów — powiedział — **Jeśli zdechnie, pozbędą się go. Jeśli przeżyje, jestem pewny, że dobrze się nim zaopiekują. Sądząc po znaczkach jest tam chyba przyjemnie".**

To rozwiało moje wątpliwości i Harry wybrał znaczek — 50 centów, poślinił go i dokładnie nakleił na paczce. Cofnął się o krok chowając ręce.

Przez chwilę nic się nie działo.

I kiedy Harrego zaczęło już ogarniać zwątpienie, paczka z Tomaszem uniosła się powoli w powietrze, obróciła jak igła kompasu i poszybowała z rosnącą prędkością w kierunku okna.

Mijając futrynę leciała już z prędkością konia wyścigowego. Wyleciała poza budynek. Podbiegliśmy do okna. Szybowała w kierunku zachodnim, nad drapaczami chmur na Manhattanie.

Kiedy tak gapiliśmy się na nią stawała się coraz mniej widoczna i chwilę później znikła zupełnie. Twierdziłem, że to z powodu prędkości. Podobnie zachowuje się kula wystrzelona z pistoletu.

Ale Harry był innego zdania. Potrząsnął głową przecząco, kiedy odchodziliśmy od okna.

„Nie — zaczął — **to chyba nie tak. Zauważyłem, że ..."**

Nigdy nie dowiedziałem się, co zauważył, bo zamarł z otwartymi ustami w połowie słowa. Patrzył się na coś za moimi plecami, więc odwróciłem się, żeby zobaczyć co go tak zdumiało.

Za oknem znowu widać było paczkę, która znikła nam przed chwilą z pola widzenia. Zawisła na moment nieruchomo, powolutku wleciała do pokoju, obniżyła lot i wylądowała delikatnie na stole, który opuściła nie więcej niż 2 minuty temu.

Rzuciliśmy się do niej.

Paczka była starannie ostemplowana. Na dodatek w rogu, dużymi literami purpurowym tuszem ktoś dopisał: „ZWROT, ADRESAT NIEZNANY".

„No" — wykrztusił w końcu Harry. Nie było to najtrafniejsze stwierdzenie, ale było to wszystko, co mogliśmy z siebie wydusić. Ze środka paczki dobiegały rozpaczliwe wrzaski Tomasza. Rozciąłem sznurki i zdjąłem pokrywę. Tomasz wyskoczył z żywością, jakiej nie okazywał od lat.

Nie można było zaprzeczyć, że króciutka podróż do El Dorado zamiast przerwać jego koci żywot, uzdrowiła go. Wyglądał jakby mu ubyło co najmniej 5 lat.

Harry oglądał pudełko na wszystkie strony. **„Nie rozumiem** — stwierdził — **jak to możliwe, że mój wymyślony adres istnieje naprawdę. Przysięgam, że go wymyśliłem".**

„Nie tylko to jest dziwne — dodałem — **Paczka wróciła, a przecież nie podaliśmy adresu zwrotnego".**

„Faktycznie — przytaknął Harry. — **A oni mimo to wiedzieli, gdzie ją odesłać".**

Myślał jeszcze przez chwilę, potem odłożył pudełko. **„Zaczynam wierzyć w to** — zaczął z dziwną miną — **że kryje się w tym o wiele więcej niż przypuszczamy. Prawda jest chyba o wiele ciekawsza, niż nam się wydaje. Moja teoria o Federacji Stanów El Dorado jest następująca".**

Ale nie zdradził mi swojej teorii. Trzydolarowy znaczek znowu przykuł jego uwagę.

Wyszeptał, bardziej do siebie niż do mnie, czasem zdarzały mu się takie archaiczne wstawki — **Jaka ona piękna. Boska! Mając taką modelkę malarz mógłby namalować..."**

„Raczej szybciej zapomniałby o malowaniu" — wtrąciłem. Harry przytaknął.

„Racja. Ale wydaje mi się, że w końcu namalowałby największe dzieło swojego życia."

Spoglądał na znaczek niemal pożądliwie. **„To dziewczyna** — stwierdził — **na którą czekałem całe życie. Za możliwość zobaczenia jej dałbym, dałbym... wszystko"**

„Obawiam się, że musiałbyś się pofatygować do El Dorado — powiedziałem od niechcenia, ale Harry wziął to za dobrą monetę: **„Pojadę. Już się zdecydowałem. Słuchaj, sądząc po znaczku to El Dorado musi być fajnym miejscem. Co byś powiedział na to byśmy się wybrali razem? W końcu nic nas tu nie trzyma i..."**

„Jechać tam po to tylko, żeby zobaczyć tę dziewczynę?" — zaoponowałem.

„A czemu nie, masz lepszy powód? — spytał. — **Ja bym znalazł jeszcze parę innych. Na przykład klimat. Spójrz na kota. Ta krótka wycieczka odmłodziła go. To muszą być zdrowe okolice. Może ciebie też odmłodzą. A poza tym..."**

Nie musiał już wyliczać dalej. Przekonał mnie. **„Dobrze"** — zgodziłem się. — **Popłyniemy pierwszym statkiem. Ale gdzie..."**

„Zastanów się — przerwał mi Harry. — **Pomyśl przez chwilę. Dziewczyna musiała pozować malarzowi, a szef poczty w El Dorado na pewno go zna. Więc pójdziemy prosto do szefa. On da nam adres tego malarza, a ten skieruje nas do dziewczyny. Czy może być coś prostszego?"**

„Rzeczywiście. Nie przyszło mi do głowy, że to takie proste". Niecierpliwość Harrego zaczęła mi się udzielać.

„Być może nie będziemy musieli płynąć statkiem — zastanawiałem się — **Może jest jakiś samolot. To skróciłoby..."**

„Statek! — prychnął Harry. Ghodził tam i z powrotem po pokoju machając rękami. — **Samolot! Jeśli chcesz, to proszę, ale ja mam lepszy pomysł. Jadę tam jako przesyłka pocztowa!"**

R-s. P. Ułatowski

Miałem nieco obiekcji, ale Harry rozproszył je bardzo szybko. Przecież Tomasz odbył podróż tam i z powrotem bez szwanku. Skoro mógł kot, to my nie będziemy gorsi.

Pozostała jeszcze sprawa adresu. Nie byłoby przecież sensu zostać haniebnie odesłanym z powrotem i to z tak błahego powodu.

„Mam i na to sposób — powiedział dumnie Harry kiedy zgłosiłem mu swoje obawy. — **Pierwszą osobą, do której się zwrócę będzie szef poczty. Na pewno ktoś taki istnieje. A przesyłka zaadresowana do niego dojdzie najszybciej. Więc dlaczego nie załatwić wszystkiego za jednym zamachem i nie wysłać się wprost do niego?"**

To rozwiało resztę moich wątpliwości. Plan był wspaniały, lepszego chyba w życiu nie widziałem.

„I może — dodał Harry z rosnącym podekscytowaniem — **już dzisiaj zjem kolację z tą ślicznotką. Wino i owoce granatu w złotym świetle księżyca. Faun przygrywa nie opodal na fujarce, nimfy piąsają na trawie."**

„A co — czułem, że muszę przygotować go na ewentualne rozczarowanie — **jeśli twoja piękność wyszła za mąż?"**

Potrząsnął głową. **„Nie wyszła. Przeczucie mi to mówi. Po prostu intuicja! Więc do dzieła! Mamy trzy znaczki warte razem 9 dolarów. Powinno starczyć. Jestem szczuplejszy, a ty ostatnio przytyłeś jak widzę. Ja się wyślę za 4 dolary, to znaczy wezmę znaczek za trzy i dolara. Dla ciebie zostaje ten za 5 dolarów. Jeśli chodzi o adres, to napiszmy go na karteczkach i przyczepimy na przegubie ręki. Masz papier? O, tu jest coś w szufladzie. Daj mi długopis. Ten będzie dobry."**

Napisał i wręczył mi gotowe karteczki. Na obu adres był ten sam: **„BIURO NACZELNIKA POCZTY. NIRVANA, FEDERACJA STANÓW EL DORADO. OSTROŻNIE! SZKŁO!"**

„Teraz — powiedział — **przyczepimy to na ręce."**

Nagle zabrakło mi odwagi. Mimo wspaniałych perspektyw myśl o udaniu się w nieznane i to w taki sam sposób jak Tomasz całkowicie zbiła mnie z tropu.

Powiedziałem, że dołączę do niego trochę później. Przypłynę pierwszym statkiem, albo przylecę samolotem i spotkamy się na przykład w największym hotelu w mieście.

Harry był rozczarowany, ale niecierpliwość nie pozwalała mu na dyskusje. **„Dobrze** — zgodził się — **ale jeśli z jakiegoś powodu nie byłoby statku ani samolotu weźmiesz ten ostatni znaczek żeby dojechać?"**

Obiecałem, że tak. Podał mi prawą rękę i przymocowałem mu kartkę z adresem. Wyjął dolarowy znaczek, poślinił i nakleił na kartce. Szykował następny, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

„Za minutę — mówił — **a może i szybciej będę chyba w najpiękniejszym kraju, jaki człowiek może sobie wymarzyć."**

„Poczekaj!" — krzyknąłem i poleciałem otworzyć drzwi. Nie wiem czy mnie usłyszał. Akurat podnosił drugi znaczek do ust kiedy odwróciłem się — i to był ostatni moment, kiedy go widziałem.

Kiedy wróciłem niosąc paczkę — bo był to posłaniec z księgarni z atlasem, który zamówiliśmy — Harrego już nie było.

Na środku pokoju siedział Tomasz, wpatrzony w okno. Firanka jeszcze się ruszała. Wyjrzałem, ale nigdzie nie było śladu Harrego.

Pomyślałem, że pewnie nakleił ten znaczek, który miał w ręce, nie wiedząc że wyszedłem z pokoju. Wyobraziłem sobie jak dostarczają go do biura i niemal widziałem zdumioną minę naczelnika poczty.

Przyszło mi do głowy, że teraz mogę nareszcie sprawdzić gdzie jest ta Federacja Stanów El Dorado. Odpakowałem atlas i zacząłem szukać.

Kiedy skończyłem, siedziałem w milczeniu jeszcze przez dobrą chwilę. Od czasu do czasu zerkałem na moją kartkę z adresem i znaczek, leżące na biurku. W końcu zdecydowałem się.

Wstałem i wziąłem torbę Harrego. Na szczęście było lato, więc miał w niej lekką odzież. Dołożyłem do tego trochę swoich rzeczy, które mogłyby mu się przydać: karton papierosów, pióro — gdyby chciał mi coś napisać.

Włożyłem też na wszelki wypadek Biblię.

Zamknąłem torbę. Przymocowałem kartkę z adresem. Na adresie dopisałem: **HARRY NORRIS**, nakleiłem znaczek i odsunąłem się na bok.

Za chwilę torba uniosła się w powietrze, poszybowała do okna i zaczęła coraz szybciej niknąć w dali.

Powinna dotrzeć na miejsce zanim Harry zdąży opuścić biuro naczelnika. Miałem nadzieję, że przyśle mi kartkę albo da jakoś znać, że ją otrzymał. Ale nie odezwał się więcej. Może nie mógł.

Morks skończył, jakby opowiedział już wszystko. Ale Malcolm, który nie zauważony przez nikogo opuścił naszą grupę, teraz energicznie przepychał się z powrotem trzymając w ręku atlas.

„Więc to się przydarzyło twoim cennym znaczkom — powiedział z lekką drwiną w głosie. — **Ciekawe. Ale chciałbym coś wyjaśnić. Mówiłeś, że znaczki były z Federacji Stanów El Dorado. Właśnie szukałem w atlasie, ale niczego takiego w nim nie ma."**

Morks spojrzał na niego spokojnie. **„Wiem** — powiedział.

— Dlatego właśnie po przejrzeniu atlasu nie dotrzymałem obietnicy danej Harremu i nie dołączyłem do niego. Żałuję tego. Kiedy pomyślę, że Harry korzysta tam...".

„Ale nie ma sensu żałować tego, co zrobiłem. Nic na to nie poradzę. Nerwy mnie zawiodły, kiedy stwierdziłem że nie ma Federacji Stanów El Dorado — na Ziemi, oczywiście".

Pokiwał głową ze smutkiem. **„Chciałbym wiedzieć skąd mój ojciec wziął te znaczki"** — zamruczał cicho, jakby do siebie i pogrążył się w pełnym zadumy milczeniu.

Tłumaczyła:
ANNA ZASTAWNIK ■

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Henry Kuttner

1915 — 1958

Urodził się w Los Angeles. Zainteresował fantastyką dzięki miesięcznikowi „Weird Tales" i swój debiut wskazujący na wpływ H. P. Lovecrafta i podziw dla niego, opublikował właśnie tam („The Graveyard Rats", marzec 1936). Kryzys uniemożliwił mu studia i dopiero pod koniec życia kontynuował naukę. Wyjąwszy okres służby wojskowej i schyłek życia, stale pisał. Swoje utwory drukował w wielu magazynach, np. w „Thrilling Wonder Stories", „Startling Stories", a zwłaszcza w „Astounding Science Fiction". Używał licznych pseudonimów, najczęściej podpisywał się „Lewis Padgett". W roku 1940 poślubił Catherine L. Moore, także autorkę fantastyczną. Od tego momentu począwszy, w zasadzie każde opowiadanie czy większy utwór pisali wspólnie. Najchętniej używali pseudonimu Lawrence O'Donnell.
Kuttner jest znakomitym przykładem pisarza, który startował w tanich („pulp") magazynach, by stopniowo przekształcić się w kompetentnego stylistę i twórcę tych niezwykłych pomysłów, bez których nie może istnieć fantastyka. Jego twórczość tak obfita i różnorodna, potrafiła zaspokoić najróżniejsze gusta. Pisał Kuttner fantastykę grozy (vide debiut), „sword and sorcery" (dział Fantasy, po polsku „miecz i czary"; np. seria opowiadań, których bohaterem jest Elak z Atlantydy), SF na serio i na wesoło (albo przynajmniej to, co uchodziło za humor w latach młodości SF), Science Fantasy (powieści Fantasy, ale z racjonalnymi elmentami SF u podstaw)... Śmierć Kuttnera, jakże przedwczesna, była wielką stratą dla rzeszy miłośników fantastyki, jak i dla samego gatunku.
Najbardziej znaną i najwyżej cenioną powieścią Kuttnera jest „Fury" (1950, inny tytuł: „Destination Infinity"), o przymusowych kolonistach na Wenus, ich adaptacji do miejscowych warunków i życiu w podwodnych miastach, a także o osiągnięciu nieśmiertelności. Wstępem do tej powieści jest opowiadanie „Clash by Night", opisujące wojnę atomową na Ziemi. Inną, równie chętnie tłumaczoną powieścią jest „Mutant" (1953) o rasie telepatów prześladowanej przez post-atomowe społeczeństwo. „Valley of the Flame" (1964) to historia rasy ludzi-jaguarów, której czas przeminął, a ostatni przedstawiciele żyją w amazońskiej dżungli (ta odmiana fantastyki nosi nazwę „lost race").
Opublikowano ok. 10 tomów opowiadań Kuttnera, ale mimo to jeszcze wiele czeka na wydanie w formie książkowej, podobnie jak kilka powieści. Niestety, okres popularności Kuttnera przypadł na lata 50 i 60, obecnie należy on do minionej epoki; współczesna publiczność anglosaska pasjonuje się inną, nowocześniej pisaną i inaczej pojmowaną SF.
Szkoda, że ten utalentowany autor jest tak mało w Polsce znany. Ale na szczęście już niedługo będziemy mogli poznać przynajmniej cząstkę dorobku Kuttnera. Wydawnictwo „Iskry" w przygotowywanej do druku serii zeszytów klasycznej SF zaplanowało dwa poświęcone Kuttnerowi (m. in. z opowiadaniem „Clash by Night"), natomiast w „Serii z kosmonautą" jest przewidziany (na 1984—5?) zbiór pt. „Dumny robot".
Dotąd przetłumaczono na polski następujące opowiadania Kuttnera:
1) „Dumny robot" (Proud Robot), w tomie „W stronę czwartego wymiaru", 1958
2) „Dzień, który się nie liczy" (Year Day), w tygodniku „Przekrój" nr 927 z 1963 r.
3) „Szczęśliwe zakończenie" (Happy Ending) (w maszynopisie).

MAREK S. NOWOWIEJSKI

Cmentarne szczury

HENRY KUTTNER

Stary Masson, stróż jednego z najstarszych i najbardziej zaniedbanych cmentarzy w Salem, był w stanie wojny ze szczurami. Wiele pokoleń temu przybyły one z portów i zamieszkały cmentarz. Była to kolonia niezwykle wielkich szczurów i, kiedy Masson objął posadę po niewytłumaczonym zniknięciu poprzedniego stróża, postanowił je przepędzić. Najpierw nastawiał na nie sidła i podsuwał pod wyloty nor zatrute jadło, potem próbował je wystrzelać, ale wszystko bez skutku. Szczury pozostały mnożąc się i rojąc po cmentarzu wygłodniałymi hordami.

Były wielkie. Nawet jak na „mus decumanus", który osiąga czasem długość piętnastu cali nie licząc gołego, różowoszarego ogona. Masson widział czasem przemykające sztuki wielkości sporego kota, a kiedy grabarze natrafili parokrotnie na ich nory, ocenił, że cuchnące tunele miały dostatecznie duży przelot, aby mógł się przez nie przedostać człowiek na czworakach. Statki z odległych portów przybywające wiele lat temu do butwiejącej przystani Salem przywoziły dziwne ładunki.

Czasami Masson zastanawiał się nad niezwykłą wielkością nor. Przypominał sobie różne dziwne i niepokojące legendy, które słyszał czasem odkąd przybył do starożytnego Salem, gdzie straszyło. Legendy o półtrupich, nieludzkich istotach kryjących się w zapomnianych ziemnych norach. Dawne dni, kiedy Cotton Mather trzebił kulty zła, których wyznawcy czcili w okropnych orgiach Hekate i Czarną Wielką Matkę, już minęły. Ale ciemne domostwa o spadzistych dachach wciąż jeszcze pochylały się niebezpiecznie ku sobie poprzez wąskie, brukowane uliczki, a w podziemnych pieczarach i piwnicach kryły się jakoby bluźnierczе tajemnice i w dalszym ciągu były odprawiane stare pogańskie misteria wbrew prawu i rozumowi. Starzy ludzie kiwając mądrze głowami opowiadali, że pod przeklętą ziemią salemskiego cmentarza są rzeczy jeszcze gorsze niż robactwo i szczury.

Istniał też jakiś dziwny strach przed szczurami. Masson czuł do okrutnych małych gryzoni odrazę i respekt, gdyż znał niebezpieczeństwo czające się w ostrych, błyszczących kłach nie mógł jednak zrozumieć niewytłumaczalnej trwogi, jaką objawiali starzy ludzie wobec opuszczonych i zaszczurzonych domów. Słyszał coś niecoś o jakichś wampirowatych stworach mieszkających głęboko pod ziemią, które jakoby umiały wzbudzać posłuch szczurów i rządzić nimi niczym straszliwą armią. Szczury, jak mówili starzy, były posłańcami kursującymi między tym światem, a starożytnymi, ponurymi pieczarami głęboko pod powierzchnią Salem. Mówiono, że na podziemne nocne uczty kradzione są ciała z grobów cmentarza. Opowiadano historię Pieda Pipera, ponurą legendę kryjącą przerażające bluźnierstwo, o czarnych jaskiniach w Avernus, które wydały spłodzone piekielną mocą stwory nie wychodzące nigdy na światło dnia.

Masson nie zwracał uwagi na te opowieści. Nie zaprzyjaźniał się nad miarę z sąsiadami, a w istocie, starał się jak mógł ukryć obecność szczurów przed obcymi. Dochodzenie, jak sądził, oznaczałoby otwieranie wielu grobów i, o ile to, że niektóre trumny były pogryzione i puste, można by było przypisać działalności szczurów, o tyle Massonowi trudno byłoby wyjaśnić dlaczego ciała leżące w niektórych trumnach były zmaltretowane.

Złoto dentystyczne jest najczystszej próby i nieboszczykowi nie usuwa się sztucznych zębów. Ubranie, rzecz jasna, to inna sprawa, gdyż przedsiębiorstwo pogrzebowe daje normalnie tanie ubranie ze zwykłego materiału, które można łatwo rozpoznać. Ale złoto, to co innego. A czasem zdarzali się studenci medycyny i mniej szanujący się lekarze którym potrzebne były ciała nieboszczyków, a którzy nie dbali zanadto o ich pochodzenie.

Jak dotąd, Masson skutecznie przeciwdziałał wszelkim dochodzeniom. Gwałtownie zaprzeczał istnieniu szczurów, mimo że ograbiały go one czasem z łupu. Masson nigdy nie troszczył się o nieboszczyka po dokonaniu swej ponurej kradzieży, natomiast szczury wywlekały niechybnie całe ciało wygryzioną w trumnie dziurą.

Rozmiary tuneli budziły czasem niepokój Massona. Dziwne było też, że dziura była zawsze wygryziona w szczycie trumny, a nigdy od góry, czy z boku. Wyglądało to jakby szczury wykonywały swą pracę pod kierownictwem jakiegoś przedziwnie inteligentnego przywódcy.

Teraz stał w rozkopanej mogile wyrzucając na bok ostatnią łopatę mokrej ziemi. Padało. Drobny deszcz siąpił od tygodni z nasiąkłych wilgocią czarnych chmur. Cmentarz leżał w żółtej, lepkiej glinie, z której, wymyte w deszczu nagrobki, wystawały na obraz nierównych szyków wojska. Szczury wycofały się do nor i nie było ich widać od wielu dni. Ale ponurą, zarośniętą twarz Massona żłobił grymas. Trumna, na której stał była drewniana.

Pogrzeb odbył się kilka dni temu, ale Masson do tej pory nie odważył się na odkopanie trumny. Jakiś krewny zmarłego przychodził często na grób nawet podczas deszczu. Ale o tak późnej godzinie już na pewno nie przyjdzie, myślał z szyderczym uśmiechem Masson, żeby w nie wiem jak wielkim smutku był pogrążony. Wyprostował się i odłożył łopatę na bok.

Z wysokości wzgórza, na którym leżał starożytny cmentarz, widział przebijające w deszczu migocące światła Salem. Wyjął z kieszeni elektryczną latarkę. Teraz będzie potrzebna. Ujął w rękę łopatę, pochylił się i przyglądał się mocowaniu wieka.

Nagle zesztywniał. Poczuł pod stopami niespokojne drżenie i skrobanie, jakby się w trumnie coś poruszyło.

Przez chwilę stał sparaliżowany przesądnym strachem i natychmiast, gdy tylko zdał sobie sprawę z przyczyny odgłosów, wypełniła go wściekłość. Szczury go znów uprzedziły!

W napadzie złości Masson zaatakował mocowanie wieka trumny. Podłożył ostrze łopaty pod brzeg deski i podważył na tyle, aby dokończyć dzieła gołymi rękami. Otworzył zimny strumień światła latarki w głąb trumny.

Deszcz kropił po białym atłasie wyścielającym trumnę. Była pusta. Masson dostrzegł jakiś ruch w szczycie skrzyni i skierował latarkę w tę stronę.

Zobaczył wygryzioną w trumnie dziurę prowadzącą w ciemność. A w niej znikał właśnie czarny, bezwładnie wleczony pantofel. Masson uświadomił sobie, że szczury były od niego tym razem szybsze zaledwie o kilka minut. Zeskoczył w dół puszczając latarkę i łapiąc za but. Latarka spadła do trumny i natychmiast zgasła. But wyrwał się z uchwytu. Masson usłyszał ostry, podniecony pisk. Znalazł latarkę i skierował jej światło do nory.

Tunel był duży. Musiał być duży, gdyż inaczej nie można by nim wlec trupa. Masson zastanawiał się, jak wielkie musiały być szczury, aby były w stanie ciągnąć ludzkie ciało, ale naładowany rewolwer w kieszeni przydał mu animuszu. Gdyby to był zwykły trup, Masson byłby zapewne raczej zostawił szczurom ich łup, niż pchał się w ciasną norę, ale zwrócił był uwagę na niezwykłe piękne spinki w mankietach koszuli i szpilkę w krawacie z niewątpliwie prawdziwą perłą. Bez wahania przypiął latarkę do paska i wczołgał się do nory.

Była wąska, ale można się było nią przecisnąć. Przed sobą widział w świetle latarki czarne półbuty wleczone po mokrej ziemi dna tunelu. Szedł norą jak mógł najszybciej, od czasu do czasu ledwo przeciskając swój chudy tułów między jej ścianami.

Powietrze w norze odurzało stęchłym odorem padliny. Postanowił, że jeżeli nie dogoni zwłok w ciągu minuty, wycofa się. Spóźniony strach zaczął się wkradać w jego mózg, jak robactwo, ale zachłanność popychała go naprzód. W swojej pogoni na czworakach kilkakrotnie minął wyloty odgałęziających się tuneli. Ściany nory były wilgotne i oślizłe i dwukrotnie oberwały się za nim ze stropu grudy ziemi. Za drugim razem zatrzymał się i wykręcił głowę, aby obejrzeć się za siebie. Oczywiście nie zobaczył nic dopóki nie odpiął od paska latarki i nie skierował jej do tyłu.

Zobaczył za sobą kilka grud i nagle zdał sobie sprawę ze swego przerażającego położenia. Jego puls przyspieszył na myśl o możliwości zapadnięcia gruntu i postanowił zaniechać swego pościgu mimo że już prawie dogonił trupa i wlokące go niewidzialne stwory. Nie pomyślał dotąd o jednej rzeczy — nora była za wąska, aby zawrócić.

Przez chwilę ogarnęła go panika, ale przypomniał sobie boczny tunel, który dopiero co minął i poczołgał się wstecz, aż do niego wrócił. Wsunął w wylot nogi na tyle, aby móc zawrócić, a potem zaczął szybki odwrót, mimo bólu w posiniaczonych kolanach.

Wciekły ból przeszył mu nogę. Poczuł jak ostre zęby zatapiają się w jego ciało i wierzgnął jak szalony. Usłyszał przenikliwy pisk i tupot wielu małych nóg. Zaświeciwszy latarką za siebie, Masson aż wciągnął spazmatycznie ze strachu powietrze. Zobaczył z tuzin wielkich szczurów obserwujących go uważnie, błyszczącymi w świetle latarki, wąskimi oczkami. Były to ogromne, niekształtne zwierzęta wielkości kota. Za nimi dostrzegł jeszcze w ruchu ciemny kształt, który na błysk latarki usunął się szybko w cień. Masson zadrżał na widok tak niewiarygodnych rozmiarów.

Światło powstrzymało je przez chwilę, ale powoli zaczęły znów się zbliżać, a ich zęby jaśniały w bladym elektrycznym świetle matowym żółtym odblaskiem. Masson sięgnął po rewolwer, wyplątał go z kieszeni i starannie wymierzył. Był w niewygodnej pozycji i starał się wcisnąć nogi w wilgotne ściany tunelu, aby nie wsadzić pocisku we własną stopę.

Przetaczający się grzmot wystrzału ogłuszył go na chwilę, a chmury dymu zmusiły do kaszlu. Kiedy mógł już coś usłyszeć a dym opadł, zobaczył, że szczury uciekły. Schował z powrotem rewolwer i zaczął szybko pełznąć wzdłuż tunelu, a wtedy znów, drepcząc i podbiegając dopadły go.

Zaroiły mu się u nóg tnąc i piszcząc jak obłąkane, aż Masson wrzasnął okropnie, sięgając jednocześnie po broń. Strzelił nie celując i miał szczęście, że nie ustrzelił sobie stopy. Tym razem szczury nie odstąpiły tak daleko, ale Masson pełzł szybko wzdłuż nory gotów do strzału na pierwszy znak ataku.

Usłyszał z tyłu tupot i skierował ostry strumień światła za siebie. Wielki, szary szczur zatrzymał się i obserwował go. Długie strzępiaste wąsy drgały mu, a oślizły, goły ogon poruszał się powoli z boku na bok. Masson krzyknął i szczur wycofał się.

Pełznąc, zatrzymał się na chwilę odetchnąć przy czarnym wylocie odgałęzienia tunelu, kiedy nagle zobaczył na wilgotnej glinie, o kilka jardów przed sobą, bezkształtną masę. Przez moment sądził że to ziemia oberwała się ze stropu nory, ale za chwilę rozpoznał ludzkie ciało.

Była to brunatna, skurczona mumia, która ku okropnemu przerażeniu Massona, poruszała się.

Pełzła ku niemu, i w bladym świetle latarki zobaczył nacierającą nań przerażającą nieruchomą twarz. Pozbawiona czucia, trupia czaszka osadzona na od dawna martwym tułowiu była ożywiona jakimś piekielnym instynktem. Szklistość oczu, rozdętych i wybałuszonych, zdradzała, że to było ślepe. W miarę posuwania się ku Massonowi trup wydawał słaby jęk, a jego rozpadające się, spękane wargi były rozciągnięte w uśmiechu przerażającego głodu. Masson zamarł w otchłani przerażenia i obrzydzenia.

Zanim trwoga zdołała sparaliżować go całkowicie, Masson zdołał rzucić się gorączkowo w boczną norę. U swoich stóp usłyszał odgłos skrobania i jęk podążającego w ślad za nim trupa. Obejrzał się przez ramię, przeraźliwie krzyknął i począł desperacko przedzierać się przez ciasny tunel. Czołgał się z trudem, a ostre kamienie kaleczyły mu dłonie i kolana. Błoto zalepiało mu oczy, ale nie odważył się zatrzymać nawet na krótką chwilę. Gramolił się gorączkowo, łapiąc powietrze, klnąc i modląc się histerycznie.

Szczury atakowały go z piskiem triumfu, a w ich oczach lśnił okropny blask głodu. Masson już omal nie uległ ich złowrogim zębom nim zdołał je pobić silnymi ciosami. Przejście było coraz ciaśniejsze. W gorączkowej trwodze kopał, wrzeszczał i strzelał dopóki kurek nie opadł na pustą gilzę. Ale w końcu odparł je.

Pełznąc spostrzegł, że znalazł się pod dużym kamieniem osadzonym w stropie tunelu i orającym mu boleśnie plecy. Poczuł, że pod naciskiem jego ciała kamień jakby ustąpił i w strwożonym mózgu Massona zaświtała nowa myśl. Gdyby tak zwalić kamień i zablokować tunel!

Ziemia była mokra i lepka od wielu deszczów. Masson niemal uniósł się do góry rozkopując rękami glinę wokół kamienia. Szczury znów były blisko. Widział znowu ich oczy, w których odbijał się blask latarki. Rozkopywał z pośpiechem grunt. Kamień poddawał się. Chwycił go i próbował obruszać ciągnąc tam i z powrotem.

Szczur podchodził blisko — był to ten sam potwór, którego zauważył już poprzednio. Szary, trędowaty, obrzydliwy, przybliżał się z obnażonymi, żółtymi zębami, a razem z nim nadciągał jęczący w swej wędrówce ślepy trup. Masson szarpnął kamień z całej siły. Poczuł, jak się osuwa, odwrócił się i popełznął dalej wzdłuż tunelu.

Za sobą usłyszał tąpnięcie osuwającego się kamienia i nagły, przeraźliwy skrzek agonii. Na nogi posypały mu się grudy ziemi. Ciężkie brzemię przygniotło mu stopy i oswobodził je z trudnością. Cały tunel zapadał się!

Łapiąc spazmatycznie powietrze Masson rzucił się w trwodze do przodu, a przemoczona ziemia osuwała się za nim. Nora zwęziła się do tego stopnia, że ledwie mógł już wykonywać jakieś ruchy rękami i nogami, aby jako tako przesuwać się naprzód. Zwijając się jak węgorz poczuł nagle pod palcami rozdzierający się atłas, a głową trafił na twardą przeszkodę, zagradzającą mu dalszą drogą. Poruszył nogami i stwierdził, że nie były przygniecione zapadającą się gliną. Leżał płasko na brzuchu, a gdy spróbował się podnieść, uczuł strop tuż, o kilka cali nad grzbietem. Przeszył go paniczny strach.

Przypomniał sobie, że kiedy ślepe monstrum zastąpiło mu drogę, rzucił się w przerażeniu w boczny tunel — to był tunel bez wyjścia. A teraz leżał w trumnie, w pustej trumnie, do której dostał się dziurą wygryzioną przez szczury!

Chciał obrócić się na plecy i nie mógł. Wieko trumny unieruchamiało go w bezwzględny sposób. Zebrał się w sobie i naparł. Ale wieko było niewzruszone. Ale gdyby nawet udało mu się wyjść ze skrzyni, to w jaki sposób przekopać się przez warstwę pięciu stóp ubitej ziemi!

Dyszał. Potwornie śmierdziało i było nieznośnie gorąco. W paroksyzmie strachu darł i szarpał atłas w strzępy. Jeszcze jedna bezowocna próba wbicia stóp w zawalony tunel blokujący odwrót. Gdyby tylko mógł się odwrócić, mógłby przekopać się do powietrza... powietrza...

Przerażenie przeszyło mu pierś jak rozpalone do białości żelazo i pulsowało w gałkach ocznych. Czuł, że głowa mu puchnie coraz bardziej i bardziej, aż nagle znów usłyszał triumfujący pisk szczurów. Zaczął krzyczeć jak obłąkany, ale nie był w stanie ich odpędzić. Przez chwilę jeszcze miotał się histerycznie w swoim wąskim więzieniu aż uspokoił się łapiąc powietrze. Powieki mu opadły. Szczerniały język wysunął się z ust. Zapadał w czerń śmierci z bijącym w uszy szalonym piskiem szczurów.

Przekład:
ALEKSANDER RODZIEWICZ

Rys. Krzysztof Dzikowski

KOLUMNA AJENCYJNA

Od Ajenta

Nie bez wzruszenia, tremy i licznych obaw przyjąłem prowadzenie tej kolumny. Przyjąłem ją po ajencie niezwykle solidnym, pracowitym i rzetelnym, utalentowanym na dodatek. Moim najgorętszym pragnieniem jest nie zawieść (jak się to pisze? „Zawieść" czy „Zawieźć"?) Drogich Czytelników, dać im do rąk produkt równie dobry — a szczerze mówiąc — zdecydowanie lepszy. Wraz z grupą moich aktualnych współpracowników czytałem kolumnę ajencyjną z dużą uwagą. Imponowała mi erudycja poprzedników, choć co tu ukrywać — czytaliśmy rubryki literackie w różnych pismach na wyższym poziomie. W zachwyt wprowadzała nas wysoka jakość artystyczna grafiki — co nie znaczy, żebyśmy w swoim długim i bogatym życiu nie widzieli lepszych rzeczy. Dowcip prezentowany na tej kolumnie doprowadzał nas do łez! Tym niemniej zdarzało nam się już bardziej uśmiać...

Nie będę ukrywał, że żywię uczucie podziwu i szacunku dla mego poprzednika, że tak gospodarnie prowadził tę kolumnę, dbając o kieszeń Czytelników i wydatki wydawcy. Nie mam jednak zamiaru kryć, że odziedziczyliśmy po poprzedniej ekipie spore długi, które mozolnie będziemy spłacać, mimo iż za naszą — właśnie — namową wydawca obniżył od nowego roku ocenę „Odgłosów". Na wysoką cenę pisma wpływały głównie duże wydatki reprezentacyjne poprzedniego Ajenta.

Jeszcze raz ściskając jak najserdeczniej i najszczerzej dłoń mego znakomitego poprzednika, życząc Mu wszystkiego najlepszego i obiecując dołożenie wszelkich starań, aby nie obniżyć niezwykle wysokiego poziomu jego osiągnięć, pragnę także poinformować, że grupa moich współpracowników, z wyjątkiem Młodszego Brata Mlecznego Ajenta I i Starszego Kuchcika, których zaangażowałem ze względu na poprzednie zasługi, nie składa się z ludzi, którzy kiedykolwiek mieli coś wspólnego z gastronomią — przeciwnie, wszyscy byliśmy pracownikami pewnego Zjednoczenia, które uległo likwidacji niestety. Przekwalifikowaliśmy się na trzytygodniowym kursie, co na tle ogólnie wysokiego wykształcenia naszej ekipy (przeciętna — półwyższe, jeden doktorat!) powinno zagwarantować wysoki poziom naszej produkcji.

AJENT II
(b. Naczelnik Wydziału)

JESZCZE JEDNA WAŻNA ROCNICA

Omały włos nie przegapiliśmy niezwykle ważnej, 20 rocznicy, związanej z odkrywczą i głośną publikacją Jana Huszczy, poświęconą twórczości poetyckiej Kaliksta Łasiczki.

Jan Huszcza, wieloletni przyjaciel wyżej wymienionego poety, odziedziczył po nim szereg niezbyt starannie zachowanych rękopisów. Część z nich opublikował w „Odgłosach" przed dwoma dziesiątkami lat i wreszcie w roku 1962, nakładem WŁ, wydał obszerny zbiór „Wierszy wybranych" Kaliksta Łasiczki we własnym wyborze, z obszernym wstępem oraz z przypisami mgr Marii Cackiewiczówny. Ponieważ autor wyboru pragnął, aby plon działalności literackiej Kaliksta Łasiczki (cytujemy): „dotarł do setek życzliwych rąk" redakcja „Odgłosów", pragnąc przychylić się do szlachetnych zamierzeń zaprzyjaźnionego z nami poety, postanowiła zaprezentować obszerny wybór z pracy Jana Huszczy w dwóch kolejnych odcinkach, poprzedzając go wstępem, napisanym do tegoż wyboru przez samego Jana Huszczę.

„Na pozór tak mało zostawił po sobie mój serdeczny przyjaciel, Kalikst Łasiczka, długoletni prokurent firmy „Kwiatkowski i S-wie"! 1/2 kg szpagatu, jeden gors miękki, siemię lniane dla kanarków, mydło toaletowe „Malta", fajka, gitara o trzech strunach, płaszcz reglanowy i pułapka na świerszcze — to prawie wszystko!

A jednak wśród tych skromnych pamiątek, które częściowo trafiły do mnie, a częściowo do rąk jego dość lekkomyślnej i odznaczającej się liberalizmem obyczajów żony, Heleny, znalazł się również gruby, oprawiony w tekturę brulion, zawierający nie tylko miesięczne sprawozdania finansowe z działalności w firmie, ale i wiersze notatki i spostrzeżenia, fraszki, listy, fragmenty utworów dramatycznych.

Pozostawiając fachowcom szczegółową analizę i ocenę tych wierszy, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo zasługują one na uwagę inteligentnego czytelnika i miłośnika literatury ojczystej. (...)

Kalikst Łasiczka, syn Zenona Łasiczki i Pelagii z Bonez-Zbrujewiczów, urodził się w roku 1898 w małym miasteczku Polski Centralnej, w Skromnej Miłosnej. Tam spędził swoje życie, z pogodną melancholią czekając na śmierć, która nastąpiła w roku 1945.

Nawet na łożu boleści, myślał nie o sobie, lecz o najbliższych i ostrzegał: „Nie jedzcie nigdy odgrzewanych buraczków duszonych!" Słowa te powtarzał do ostatniej chwili!...

Dziś owe słowa brzmią dla nas jak nakaz, jak testament. Czyż muszę dodawać, iż nie wolno ich brać d o s ł o w n i e?

Był Łasiczka typowym przedstawicielem zdeklasowanego drobnomieszczaństwa, czego dowodzi choćby wiersz „Marzenia prokurenta firmy „Kwiatkowski i S-wie". Myślał o awansie społecznym i jednocześnie zdawał sobie sprawę z bezsensowności tego marzenia: „Gdybym skrzydła miał sokole, to bym został pułkownikiem..."

Z czasem nawet i te marzenia poety obniżają swój lot. W jednej z późniejszych, jak się wydaje, fraszek mówi wyraźnie: „Gdybym miał chociaż krzywe nogi, to zostałbym kawalerzystą"...

Kawalerzystą nie został. Ten typ awansu społecznego (ściślej: kariery) był bowiem zastrzeżony przede wszystkim dla ziemiaństwa. Los ofiary uwarunkowań społecznych zabarwił się dodatkowym tragizmem: opuszcza go żona, zawodzi miłość do niejakiej Agaty Pyzik, która wolała sanacyjnego karierowicza, Klemensa Pocełujewa, dyrektora hurtowni soli, a przy tym, jak niektóre źródła podają, eks-legionistę, w niedalekiej zaś przyszłości — jednego ze smutnych bohaterów szosy zaleszczyckiej, jeśli nie faktycznego, to już na pewno — potencjalnego!

Dostrzega znakomity poeta tragedię swojej klasy, gdy mówi: „Sklepikarze cicho jęczą, chcą by dać im lewatywę"...

Gdzie indziej poeta woła: „Wszędzie kłamstwo i obłuda"... Albo też i demaskuje: „A cóż minister? Człowiek przecie!".

(ciąg dalszy życiorysu w następnym numerze)

PRÓBA PERSWAZJI

A cóż minister? Człowiek przecie!
Tyle, że więcej może kłamie...
Ale tak samo trwa w klozecie
i otrzepuje z wapna ramię!

WESTCHNIENIE

Ja mam na kartki nieco mąki,
a krowy trawę żrą, morową,
bo dla nich miedze, dla nich łąki...
Ach, jakże chciałbym zostać krową!

MARZENIE PROKURENTA FIRMY „KWIATKOWSKI I S-WIE"

Gdybym skrzydła miał sokole,
to bym został pułkownikiem,
by co wieczór chodzić w pole,
płoszyć zbójców śmiałym krzykiem.

Szedłbym sobie złotą niwą
i szumiałyby mi wierzby
nad tą drogą, nad tą siwą:
„Pułkowniku, strzeż się świerzbu!"

Lecz ja jestem prokurentem:
zamiast skrzydeł — szalik z włóczki
i odciski trzy na piętach...
i firmowe, skromne druczki...

BALLADA O MARII TULELEWICZOWEJ Z JEZIORAN

W Jezioranach huczy wicher,
łka skrzypcowa, srebrna aria...
Wisi, dynda coś na strychu:
może gacie, może Maria...

Jeśli gacie, to w porządku...
Jeśli Maria — no, to chryja!
Wszak mówiłem jej od piątku,
że pokrzywka przecież mija.

DO ŻONY, KTÓRA UCIEKŁA AUTOBUSEM

Los nasz mógłby być piosenką,
lecz uciekłaś autobusem:
po cóż było ci, Heleńko,
się zadawać z tym garbusem?

Ty, Heleńko, miałaś przecie
i kanarka... i patefon...
Cóż ja poczną w wieku kwiecie,
nie zastąpi cię telefon!
Stygnie zupa, dal, hen, szlocha,
bo w mym domu srom i zgaga:
Kalikst bardzo Hele kocha
i o powrót stale błaga...

Zdjęcie powyższe zamieszczamy na specjalne życzenie jednego z naszych Nieocenionych, Szanownych Czytelników.
Nie kierując się żadnymi innymi uczuciami oprócz altruizmu, staramy się usatysfakcjonować zarówno naszego Drogiego Czytelnika, jak — jesteśmy o tym głęboko przekonani — wielu innych Drogich Czytelników, jak i samą Pannę Basieńkę, jej to bowiem konterfekt oglądają Państwo na zamieszczonym zdjęciu. Wyjaśniamy przy okazji, że ani naszego Drogiego Czytelnika ani też Panny Basieńki osobiście nie znamy. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby na specjalne życzenia naszych innych Drogich Czytelników reprodukować zdjęcia P.T. Sz. Pań i Panien Zoś, Staś, Irenek, Halinek, Elżbietek itd itp.

CAŁA PRAWDA O AJENCIE I

Mój obecny szef. Ajent II (b. Naczelnik) jako człowiek z dużym doświadczeniem dyplomatycznym poniekąd (tak, tak, w zjednoczeniach to była dyplomacja!) nie może napisać całej prawdy o Ajencie I i w artykule wstępnym nie szczędzi mu pochwał bynajmniej. Mnie natomiast (za cichą zgodą szefa!) wypada...

Ajent zaangażował mnie razem z moim parszywym bratem jako spółkę autorską, ponieważ podaliśmy się za jego mlecznych braci i wzruszył się, kanalia...

Nie potraktował nas jednak jak rodziny i kazał pracować, czego mu nigdy nie zapomnimy. Gażę płacił drań rzadko i niechętnie, mimo, iż z naszej działalności przedstawialiśmy nie tylko utwory literackie najwyższej jakości (A co?), to jeszcze rachunki, ponieważ specyfika nas zmuszała do tzw. konsumpcji, co kto jak kto, al ajent mógłby zrozumieć...

Skoro jednak tak się z nami obszedł, nie widzę żadnych powodów, aby śmiało i bezkompromisowo nie obnażyć i wychłostać biczem słusznej i pryncypialnej krytyki jego prawdziwe oblicze!

Był to — prawdu skazać — drań i cynik, pisali za niego różni tacy (mówił o nich „murzyni", co dodatkowo go obciąża jako kryptorasistę). Forsę i dziewczyny to on lubił, a jeszcze wypić owszem także, prawie tak jak my z bratem. Dorobił się na tej ajencji, choć stale piszczał o podatkach. Zwolniony był jak wiadomo...

Zaprzyjaźniony fotoreporter złapał go, jak teraz, w damskim towarzystwie naśmiewa się z redakcji, wydawnictwa i najdroższych Czytelników.

Kreślę się z niesłychanym szacunkiem uprzejmie przypominam o nie zrealizowanych rachunkach, z nadzieją na lepszą współpracę z Nowym Kierownictwem.

MŁODSZY BRAT MLECZNY AJENTA I

Rodzynki z importu bez kartek

Kobieta jest dobra: potrafi wybaczyć mężczyźnie wszystko, nawet jeśli nie ponosi on za nie winy.

* * *

Tak bardzo bał się odpowiedzialności, że podrabiał swój własny podpis.

* * *

Nawet w karetce reanimacyjnej bełkotał: „Nie uczcie mnie żyć".

* * *

Planowo odkładał swoje plany.

* * *

Czy kowale własnego szczęścia powinni przestrzegać przepisów o bezpieczeństwie pracy?

PROSTO Z GŁOWY

CHINY i reszta świata

1.

Jestem człowiekiem starym. Za moich młodych lat nadawano dzieciom imiona Hipolit, Leon, Walenty. Hipolit i Leon modne były przeważnie w salonach, Walenty w suterenie.

Dzisiaj modny jest Robert. I w suterenie i w salonach. Na szczęście stare sutereny nie zniknęły, a nowe salony powstały. Dlatego dowód na egalitaryzację naszego życia społecznego można przeprowadzić w sposób tak genialnie prosty.

2.

Jestem człowiekiem starym i pamiętam tę noc w Adrii, gdy rozochocony Wieniawa w pięknym mundurze, stanął w asyście eleganckich oficerów naprzeciwko Wańkowicza. Spotkali się u szczytu szerokich schodów na salę (widzę to jak dziś).

— Bijmy się do sportowemu! — powiedział Wieniawa.

— Chętnie — odpowiedział Wańkowicz — ale gdy obaj będziemy w gaciach!

Pierwszy celny cios w Wieniawę zakończyłby się bowiem dla Wańkowicza fatalnie. Asysta eleganckich oficerów rzuciałaby się bronić honoru munduru. Wieniawę w gaciach mógłby natomiast Wańkowicz grzmocić do woli.

Czy jednak Wieniawa w gaciach to był jeszcze Wieniawa?

3.

Ostatnio wezwał mnie do szczerej wymiany poglądów pewien funkcyjny, który wypłynął po raz kolejny na kolejnej fali (a już, już wydawało się, że utonie!).

— Chętnie — odpowiedziałem — ale gdy obaj będziemy w gaciach.

Obraził się, ponieważ sądził, że robię aluzję do jego dworzyszcza letniskowego, zbudowanego z reglamentowanego modrzewia w minionym okresie. Okres minął, a dworzyszcze stoi, więc co tu po aluzjach?

4.

Przed pierwszą wojną światową byłem w Chinach. Chińczycy uczyli się właśnie demokracji po długim okresie izolacji od reszty świata. Reszta świata od dawna już wtedy wiedziała, że demokracja może być wszystkim Chińczycy myśleli, że tylko demokracja. Kiedy zrozumieli pomyłkę było już za późno — mieli już cesarza, który tytułował się całkiem inaczej. I choć książeczki jego oprawiano nie w jedwab ale w czerwone płótno nie zmieniło to bynajmniej istoty.

5.

Nie należy bowiem przesadnie wierzyć szyldom. Często wchodzę do rzeźnika, pytając czy już przywieźli nowe gazety. Ludzie patrzą wtedy na mnie z politowaniem a ja przecież dobrze wiem co robię. Byłem w Chinach jeszcze przed pierwszą światową wojną.

Xawery

1 Spojrzenie znad szachownicy

„Żółta Łódź Fabryczna"

— *Patrzę, coś przechodzi* — zwykł mawiać jeden z moich przyjaciół, — *A to przechodzi wszelkie pojęcie.*

No i rzeczywiście. To, co nawypisywał Marek Kasz w sążnistym reportażu na całą kolumnę pt. *„Żółta Łódź Fabryczna"* istotnie przechodzi wszelkie pojęcie, najśmieszniejsze zaś, iż rzecz opublikował „Przegląd Tygodniowy", organ Aleksandra Rowińskiego, któremu Łódź tak całkiem nie powinna być obca.

Oczywiście nie obrażamy się, byłoby to bowiem głęboko prowincjonalne. Niczego też nie prostujemy, byłoby to bowiem głęboko nudne. Poinstruujemy natomiast pana Marka Kasza i to trzykrotnie, jak żurnalista żurnalistę, jak bywalec bywalca, wreszcie jak szachista szachistę.

2.

Otóż, jeżeli żurnalista nie wie, czego szuka, a jeżeli nawet wie, a nie umie znaleźć, jak w dym wali z tym swoim garbatym kłopotem po prostu do innych żurnalistów. My tu w Łodzi pracujemy planowo i z głową, całe miasto mamy podzielone na piony i rejony, jeżeli — dajmy na to — coś ma wybuchnąć na stacji Łódź-Olechów, to temat ten pilotuje wprawdzie „Express", lecz barwny reportaż zastrzeżony jest dla Gieni Iwanickiego („Odgłosy"). Boniek przynależy do Bogusia Kukucia („Głos Robotniczy"), choć segment faktycznie przynależy do Bońka, natomiast małe kawałki — Bońka, nie segmentu — podnajmują koledzy z pozostałych gazet codziennych, takoż Bogda Madej i Andrzej Makowiecki (oboje — „Odgłosy"). W tejże firmie uzyskać także można adresy łódzkich literatów, których lista na Romanie Gorzelskim bynajmniej się nie zamyka.

Barwne wspomnienia z dziennikarskiej przeszłości snuje nie tylko Adam Ochocki, lecz również — na łamach „Głosu" — Feliks Bąbol.

W tymże „Głosie" — choć mogłaby to być także jakakolwiek inna gazeta — dowiedziałby się też Pan z pewnością, kolego Kasz, że w centrum Łodzi wybudowano tyle nowych domów, wieżowców nie wieżowców, plombowców nie plombowców, że starczyłoby na całą sztuczną szczękę, a z niektórymi i tak nie byłoby jeszcze co zrobić.

Gastronomia — jak i rzemiosło również — przypada w pierwszym rzędzie „Dziennikowi Łódzkiemu". Tylko, przepraszam bardzo, stołeczny frajer chadza do „Tivoli", w „Dzienniku" byłby Pan o tym rzetelnie poinformowany.

Sensacjami — z Nardellim i magistrem Uchnastem włącznie — zawiaduje, rzecz zrozumiała, „Express Ilustrowany". Tamże oduczanie hipnozą od palenia, gościnne występy biorobota i inne urocze kawałki. Z przepisywania „Expressu", daję na to słowo honoru, można wcale nieźle wyżyć parę miesięcy, a jeżeli coś dołoży się od siebie — to i dłużej.

3.

Co do „żółtej przepustki" otwierającej wrota do tak zwanego Klubu Dziennikarza, źle się Pan, kolego, do sprawy zabrał. Wchodzi się „na pewniaka", „na twarz", albo „na nazwisko" jeżeli nie ma się już tej pewności siebie na twarzy wymalowanej. Można być przecież — do licha — umówionym na kawę z redaktorem A, B, C, D no i tak dalej, nie wspominając o niżej podpisanym Jerzym P. Dorzucę wszakże na pociechę, że gdyby wśród spychających Pana ze schodów brutali znalazł się kierownik klubu, powrót do Warszawy na twardej ławce osobowego pociągu byłby całkiem, ale to całkiem niemożliwy. Już raczej karetką pogotowia, na szczęście i do tej instytucji mamy swoje dziennikarskie dojścia.

4.

Wreszcie co do szachów, całą sprawę rozstrzygnąć trzeba będzie bowiem po dżentelmeńsku, jeżeli nie na ubitej ziemi, to przy szachownicy przynajmniej.

Otóż „na trzy ruchy do przodu" myśli dziś byle elektromóżdżek, głuptak cyfrowy, który się do szachów zabiera, zaś nawet najbardziej zarozumiały zawodnik XX wieku, niejaki Fischer, nigdy nie obiecywał że każdy, kto z nim zagra, *„przegra najdalej w trzydziestu trzech ruchach, żeby miał się zesrać w portki"* (cytuję Pana, nie dodając, kogo Pan cytuje, boć w końcu czytelnik „Przeglądu" też musi mieć swoją przyjemność).

Proponuję więc taką umowę: zadzwoni Pan do „Odgłosów" i zapyta o Jerzego P., „Odgłosy" skierują Pana do „Expressu", gdzie też zapyta Pan o Jerzego P., aż w końcu umówimy się na partyjkę w łódzkim klubie żurnalistów. Zostanie Pan wpuszczony bez przepustki, ugoszczony tym, co w bufecie akurat się znajdzie, jeżeli zaś przegram w trzydziestu trzech ruchach, postaram się postąpić zgodnie z wysuniętym postulatem. No, ale również i odwrotnie.

Łączę pozdrowienia

JERZY P. ■

2 Zdarzenia i zwierzenia

Polska po roku

„Polska po roku" — takie wiodące hasło numeru grudniowego znalazłem wypisane na okładce miesięcznika „Zdanie", pisma ludzi myślących.

Oczywiście, myślących różnie i nie zawsze tak samo, ale przecież myślących. Dziś, pewien etap pisma zostaje zamknięty. O tym, że pewien etap pisma został zamknięty, dowiedziałem się z komunikatu prasowego, mówiącego, że nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora naczelnego „Zdania". To, oczywiście, może jeszcze niewiele znaczyć, ale zamknięty jest przecież rocznik pisma wydawanego w okresie stanu wojennego.

Nie mam zamiaru wystawiać miesięcznikowi cenzurek, od początku jednak uderzała mnie w „Zdaniu" pewna krakowska — rzec można — specyfika. Podobnie, jak w „Życiu Literackim", także w „Zdaniu" znajdowało się różne sądy i opinie, czasem nawet jak gdyby sobie przeczące, czasem nawet w jednym i tym samym numerze. Z jednej strony chwalebna jest taka otwartość pisma, z drugiej zaś zachodzi podejrzenie — czy może raczej pytanie — o linię czasopisma.

Wszystko to jednak fraszka wobec faktu, że „Zdanie" redagowane jest znakomicie, że miało parę fascynujących materiałów, że redagują je ludzie myślący, choć różniący się nieco poglądami. Dla mnie osobiście lekkim zgrzytem brzmiały nieraz felietony Macieja Szumowskiego pełne aluzyjek — może frustracji? Ale to świetne pióro, więc przeczytać zawsze było warto, choć niektóre podteksty brzmiały mi dość dwuznacznie. Także i w grudniowym numerze „Zdania" jest felieton tego autora, felieton z którym generalnie trudno się nie zgodzić, ale pisze jednocześnie Szumowski że „system praw nie zastąpi instynktu moralnego" że trzeba szanować tych, którzy mają odwagę trwać przy swoich racjach bez względu na konsekwencje.

Wszystko to jest oczywiście prawda, ale nieco mętna, dwuznaczna i nieprecyzyjna. Co to znaczy instynkt moralny? Przecież dla różnych ludzi może on oznaczać coś zupełnie różnego. Co to znaczy szacunek dla trwających przy swoich racjach, bez względu na konsekwencje? Czy także szacunek dla podziemia, dla bezrozumnych, głupich bojkotów? Świetnie i sugestywnie pisane felietony Szumowskiego roją się od takich niejasności.

Dalsze uwagi dotyczyć już będą owego tytułowego hasła „Polska po roku" Jaka ona jest! Otóż to! Najbardziej odpowiada mi publikacja Tadeusza Hołuja, który woła: „Narysujcie mi Polskę najbliższej przyszłości, należę bowiem do milionów Polaków, którzy nie mogą powiedzieć z czystym sumieniem, że mają jasną, klarowną wizję tej przyszłości, takiej, jaka może i powinna zaistnieć! I pisze dalej Hołuj, że stan niepewności podsycają uporczywie także ci, którzy w bełtaniu świadomości upatrują swe polityczne zadanie.

To prawda — można te słowa odnieść także do niektórych autorów samego „Zdania", o czym już była w tym felietonie mowa.

A w istocie jest tak, że wszystkie zdarzenia z ostatnich lat i miesięcy, poczynając od nerwowych dyskusji w partii jeszcze przed Sierpniem i rosnącej zewnętrznej apatii mas — z wewnętrznym, prywatnym ich wzburzeniem — w akcie niewiary w słuszność proponowanej drogi — złożyły się na proces demistyfikacji świadomości społeczeństwa — jak uczenie pisze Józef Lipiec — a co oznacza po prostu ujawnienie fikcji haseł głoszonych gromko przez lata.

Jeśli obracamy się w obrębie hasła „Polska po roku", to wszystkie drogi zaprowadzą nas do postawienia pytania o stosunek ludzi do socjalizmu oraz do kwestii, dlaczego to pytanie w ogóle w Polsce zostało postawione.

Józef Lipiec odpowiada tak: Teza partii, że nie socjalizm zawinił, lecz jego wypaczenia, została wypowiedziana zbyt późno w stosunku do potrzeb posierpniowej świadomości społeczeństwa. Owa teza — niepodważalna w swojej słuszności — padła już niestety na grunt obsiany obficie i z dużą propagandową maestrią przez interpretacje antysocjalistyczne, często zresztą o agenturalnym rodowodzie.

Świadomość potoczna ma bowiem to do siebie, że na jej spontaniczność wpływ mają przede wszystkim: szybkość docierania z sugestywnym tłumaczeniem zjawisk oraz prostota, a czasem i prostactwo — schematów objaśniających. Pod tym względem propaganda antytustrojowa wykonała swoje zadanie wzorowo, czyniąc w świadomości społecznej szkody nie mniejsze i rodząc potem nie mniejsze frustracje — od osławionej propagandy sukcesu.

Polska po roku — jaka jest? Myślę, że jeszcze tego dokładnie nie wiemy i rozumiem rozpaczliwe wołanie Tadeusza Hołuja: „Narysujcie mi Polskę!" Z bloku publikacji miesięcznika „Zdanie", ba, z całego rocznika 1982 tego świetnego pisma, też takiej odpowiedzi nie uzyskamy, bo uzyskać nie możemy.

Ale na to pytanie musimy sobie w końcu odpowiedzieć. Trudność porozumienia rozbija się o brak kultury politycznej, tolerancji, o brak ukształtowanego instynktu państwowego. I nie ma co ciągle podliczać, w jakim stopniu należy obciążyć za to władzę, na ile ciąży na nas świadomość historyczna, a jaką częścią winy obdarzyć społeczeństwo. Jeśli tego nie zrozumiemy, to dalej możemy się licytować, ale czas nie stoi w miejscu i już dziś wiadomo, kto za ten rachunek będzie płacił. My wszyscy.

JERZY WILMAŃSKI ■

3 Sport

Powrót

Jak zapewne wielu Czytelnikom już wiadomo, bo pisała o tym prasa codzienna i pisma sportowe, Hubert Wagner ponownie obejmuje prowadzenie kadry polskich siatkarzy. Naszym siatkarzom po odejściu Huberta Wagnera jakoś się nie wiodło. Dziś jest to szósta drużyna na świecie. Niby to nie jest złe miejsce, ale przecież polscy siatkarze byli mistrzami olimpijskimi i mistrzami świata. Stale być na samym szczycie nie można, ale każdy kibic marzy o tym, aby jego ulubieńcy byli choć w pobliżu tego szczytu. Marzy więc jeśli nie o pierwszym to o drugim lub trzecim miejscu na świecie. Szóste go nie satysfakcjonuje. Siatkarzy zresztą również. Huberta Wagnera także.

To dobrze, że Hubert Wagner ponownie obejmuje polską reprezentację w piłce siatkowej. Ale fakt ten nasuwa pewne refleksje. Nie mnie tylko, bo wielu już dziennikarzy wybrało się do Huberta Wagnera, aby z nim porozmawiać o jego powrocie do reprezentacji. Ale Hubert Wagner zastrzega się, że to nie jest powrót, że po prostu stało się to, co stać się musiało. Po Olimpiadzie w Montrealu nieuchronnym było jego odejście, choć decyzja w tej sprawie dojrzewała i dojrzała wcześniej. Tak teraz, nieuchronne jest objęcie przez niego reprezentacji. Ale to są inne czasy, inni ludzie, inne zadania i inna siatkówka. Czy więc jest to powrót?

Tak myśli Hubert Wagner i trudno mu odmówić logiki w takim rozumowaniu, racji i niezgodności z rzeczywistością. Wszystko to prawda. Ale mimo to wątpliwości pozostają. I nie dlatego, abym wątpiła w kwalifikacje znakomitego polskiego trenera.

Pierwszym powodem jest wątpliwość, czy my lubimy fachowców. Hubert Wagner bez wątpienia jest fachowcem. Jest — jak on sam określa — „prawdziwym profesjonalistą". Tak wprawdzie określił akurat Zbigniewa Bońka, ale to określenie w pełni odnosi się i do niego. Prawdziwy profesjonalista zdaniem H. Wagnera „wie czego chce, potrafi bronić swoich racji i to bronić mądrze, ma charakter". Wszystkie te cechy sam posiada również.

Więc czy my lubimy takich? Otóż obawiam się, że nie. Owszem mamy szacunek dla fachowca, ale takiego, co to przyjdzie i kran zreperuje, naprawi telewizor, pralkę czy lodówkę, zedrze z nas skórę i jeszcze upomni się o kieliszek czegoś mocniejszego, bo mu w gardle zaschło. Takich fachowców to my lubimy. Ale tych, którzy swoje umiejętności wykazują w innych dziedzinach, na przykład w sporcie, to my raczej nie lubimy. Mówimy coś o szacunku. Może i podziwiamy, ale zaraz szukamy jakiejś plamki, aby ideał nie był przypadkiem niepokalanie biały. Więc Kazimierz Górski ma fumy w nosie, Ryszard Kulesza był za miękki, Jacek Gmoch biegał z komputerem i narobił machlojek, Piechniczek ma swoje koncepcje, a Hubert Wagner to... kat. Katuje tych biednych siatkarzy i zmusza ich, aby zdobywali złote medale na olimpiadach i mistrzostwach świata. Nie, takich my stanowczo nie lubimy!

Ta niechęć znajduje nawet wyraz w prasowych enuncjacjach. Trafnie podpatrzył to sam Hubert Wagner. Powiedział on reporterowi „Sztandaru Młodych":

— „Najzabawniejsze jest, że dziennikarze głoszą wszem i wobec, że dojść do czegoś można tylko dzięki pracy, a jak ktoś uczciwie pracować zaczyna, widzą w tym wynaturzenia. Błędne koło. Sami sobie zaprzeczają. To fakt, od głupiej roboty można się tylko nabawić żylaków. Nie wiem tylko, dlaczego mówiąc o pracy rozumie się u nas przez to robienie łopatą. Tymczasem organizacja, planowanie, słowem cała praca umysłowa poprzedza pracę fizyczną. Taka jest kolejność, chcąc uniknąć pracy bezmyślnej".

Druga moja wątpliwość bierze się ze świadomości istnienia czegoś takiego, jak bezinteresowna zawiść. Nie lubimy tych, którym się powodzi, choć wiemy doskonale, że żaden z nas nie potrafi trenować siatkarzy, a wielu w ogóle nigdy nie grało w siatkówkę. I co więcej — do występów zespołu Huberta Wagnera nie oglądało się gry w siatkówkę nawet w telewizji. Ale jemu się udało. Dziś mało kto pamięta przezycia jakich doznał dzięki grze polskiej drużyny. Wstawało się w nocy, aby tylko nie przegapić transmisji z występu Polaków. To minęło. W pamięci pozostało, że Hubert Wagner musiał odejść, mimo że jego drużyna zdobyła dwa złote medale i dwa mistrzowskie tytuły. Ale był... katem! I ta nuta skrywanej radości: powiodło się, ale w końcu przegrał. Musiał odejść. Nikt po nim nie zrobił tego, co on. Ale to już się nie liczy.

I oto Hubert Wagner wraca. Nie będzie miał lekkiego życia. Wszyscy będą mu patrzyli na ręce i byle niepowodzenie wyolbrzymiali. Kibice, działacze, inni trenerzy, sami sportowcy. Będą się cieszyli z tych niepowodzeń, bo u nas bardzo się nie lubi, jak komuś coś się udaje, jak ktoś wie, czego chce i umie bronić swoich racji, czyli jeśli jest fachowcem. Bo my jednak fachowców nie lubimy.

Hubertowi Wagnerowi życzę powodzenia i dalszych złotych medali.

BOGDA MADEJ ■

4 PROBA PERSWA

Jak namawiano mnie do strajku

Czytałem właśnie esej o heterach w świątecznym numerze „Odgłosów", gdy zabrzęczał dzwonek u drzwi. Najpierw raz — przeciągle, potem dwa razy — krótko; najwyraźniej wedle jakiegoś umówionego szyfru. Zaintrygowany otwieram drzwi i widzę mężczyznę, którego nie znam. Z oczu Jan Serce, z zamaszystości gestu porucznik Borewicz. Zawahałem się. — Jestem emisariuszem — powiedział ni to salutując, ni to markując uchylanie kapelusza. Boże, myślę sobie, emisariusz, jak dawno nie słyszałem tego słowa, zaraz, zaraz, no tak romantyzm, Edward Dembowski, powstanie, ale dzisiaj... wtedy w klapie jego płaszcza błysnął jakiś znaczek. Nie były to jednak ani maszerujące z biało-czerwoną flagą litery, ani emblemacik Zjednoczenia „Grunwald".

— Jestem emisariuszem — powtórzył. I już miałem zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, stan wojenny jeszcze trwa, a ja nie mam czasu na internowanie, gdy zapytał: — Ma pan samochód? Zacząłem coś bąkać że owszem, niby tak, ale właściwie... — No właśnie — powiedział nieznajomy i nie czekając na jakikolwiek gest wkroczył do pokoju.

Z czarnej teczki wyjął plik zapisanych ręcznie kartek. Na moje ciekawskie spojrzenie odrzekł: żaden z aktorów nie zechciał nam wynająć willi na drukarnię, zresztą Zachód nie zwraca na nas uwagi, zaraz pan zrozumie dlaczego.

Do diabła, pomyślałem, alem się wpakował w kabałę. Będzie mnie namawiał abym podpisał jakiś protest. Sytuacja jak z bezdebitowej powieści Tadeusza Konwickiego. Ale dlaczego ja — pytam się w myślach, powtarzając słowa bohatera wspomnianej powieści — ja z kolaborancką kartą a tu emisariusz... No słucham — mówię nie bez desperacji.

— Jest nas prawie trzy miliony — zaczął, a ja chciałem dodać coś sceptycznie o dziesięciu, ale nie dał sobie przerwać. — Jest nas prawie trzy miliony. Szykanowanych, wyzyskiwanych i ciemiężonych. A ilu z nas ginie każdego miesiąca!? Nas — właścicieli samochodów — wyjaśnił podniesionym głosem. — Coraz więcej zakazów. Nawet tu u pana na Widzewie zauważyłem tablicę, którymi obstawiono całe osiedle. „Zabrania się", „grozi się" etc. Czy pana to nie oburza? Benzyna droga, a będzie jeszcze droższa, drogi fatalne, a będą jeszcze gorsze. W warsztatach tych prywatnych i państwowych musimy się poniżać, aby zechcieli z nami rozmawiać. Części zamiennych brak. Zdrożały ubezpieczenia, zdrożeje też opłata rejestracyjna. Jednym słowem samochód zaczyna kosztować każdego z nas tyle co NASE kosmiczny wahadłowiec „Columbia". NASA nie zbankrutuje, ale my? Czy pan się zastanowił co dalej?

Wzruszenie odebrało mi głos, więc tylko pokiwałem głową, że nie. Popatrzył na mnie nie bez satysfakcji i zapytał: — Masz pan komputer? Tak, to proszę sprawdzać. Załóżmy, że my, właściciele samochodów natychmiast, bez ostrzeżenia i bez żadnych pogotowi strajkowych, przestajemy od pierwszego stycznia jeździć. Odstawiamy samochody i przestajemy płacić wszelkie opłaty. Najpierw załamie się komunikacja komunalna, wyobraża pan sobie sytuację, gdy nagle trzy miliony kierowców przesiądzie się do autobusów i tramwajów? Tak ale to sprawa drugorzędna. Liczy pan teraz! Trzy miliony razy 35 litrów (średnio oczywiście) razy 30 zł (też średnio) razy 12 miesięcy to jest 37 miliardów 800 milionów zł rocznie. Dalej: 3 miliony razy 5 tys (średnio ubezpieczenie) to jest 15 miliardów. Opłaty rejestracyjne około miliarda. Nie liczę już mandatów, bo to gdzieś około kilkuset milionów. Teraz warsztaty i części zamienne. Załóżmy, że skromnie licząc, każdy właściciel wydaje na naprawy sto złotych miesięcznie czyli rocznie mamy też około 4 miliardów zł. Zsumujmy to wszystko razem. Ile panu wyszło? Prawie 60 miliardów tak? Już nie liczę olejów i innych drobiazgów. Wyobraża pan sobie ten wstrząs gdybyśmy przestali nagle płacić te 60 miliardów?

— No tak — mówię i przypominam sobie wszystkie konferencje prasowe Urbana, Krasińskiego i innych ministrów. — Im więcej pieniędzy na rynku, bo gdzieś trzeba byłoby te 60 miliardów wydawać, tym wyższa inflacja — próbuję argumentować — nie wyprodukujesz, to nie będzie co dzielić, czym więcej złotówek tym bardziej puste półki...

— Aaa, zawracasz pan głowę tę telewizją! Boisz się pan konfrontacji?! My musimy wygrać, choć Zachód nam nie pomoże; jest pan w stanie wyobrazić sobie, co by tam się stało, gdybyśmy wyeksportowali tę naszą rewolucję? Tu jest deklaracja. Zastanów się pan, a ja jeszcze przyjdę — obiecał i wyszedł.

Naczytał się „Veta" i słowa wprowadza w czyn. Ale na wszelki wypadek sporządzam tę notatkę. Potem w kolegium, jak znalazł. Taka deklaracja lojalności powinna przekonać każdego ludowego ławnika.

GRZEGORZ GAZDA ■

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Kaźmierczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olszewska (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wroń ska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysci 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 54, L-2.

Czym jest Antarktyda? — na to jedno pytanie można dać wiele przeciwstawnych odpowiedzi. Szósty kontynent ukazuje się wyspecjalizowanym badaczom jako świat złowrogi, ale i piękny, fundatorom wypraw jako skarbnica bogactw naturalnych, ale i niedostępne Eldorado, politykom jako jedyny zdemilitaryzowany kontynent stanowiący wzór pokojowej współpracy, ale równocześnie jako potencjalny przedmiot waśni i wrogości.
Gdy przed 22 laty dwanaście państw podpisywało Traktakt Antarktyczny otwierający wszystkim krajom możliwość badań na szóstym kontynencie, nie spodziewano się, że kryje on takie skarby jak i nie brano pod uwagę, że wraz z odkryciami narastać będą sprzeczności i spory. Dziś odmienne interesy dzielą nie tylko członków ekskluzywnego klubu antarktycznego, ale i klub od reszty świata. „Biały świat skolonizował ostatni skrawek planety, bogaci chcieliby zmonopolizować dla siebie skarby ukryte pod lodami Antarktydy" — rozlegają się w ONZ głosy państw rozwijających się.
Czym więc jest Antarktyda i czym być powinna?

Przepychanka na lodach Antarktydy

Antarktyka jest pojęciem szerszym niż Antarktyda, gdyż obok szóstego kontynentu obejmuje również obszar polarny i subpolarny na półkuli południowej.

Granice Antarktyki przebiegające przez obszar oceanów Atlantyckiego, Indyjskiego i Spokojnego wyznacza tzw. linia antarktycznej konwergencji przechodząca między 48 a 60 stopniem szerokości geograficznej południowej, na której chłodne wody antarktyczne schodzą w dół pod warstwę cieplejszych wód subantarktycznych.

Linia Antarktyki zaznacza się na trzech wspomnianych oceanach szybką zmianą temperatury powierzchniowej warstwy wody i przyspieszonym topnieniem gór lodowych.

Obszar Antarktyki wynosi w przybliżeniu 52,5 miliona kilometrów kwadratowych.

Ląd na południu naszego globu ma bardzo krótką historię, został bowiem odkryty zaledwie 134 lata temu. Jeszcze przed kilkudziesięcioma laty Antarktyda była zupełnie nieznanym obszarem świata. Brytyjski badacz polarny Robert Falcon Scott, który zginął w czasie tragicznie zakończonego wyścigu do Bieguna Południowego w 1912 r. nazywał Antarktydę „miejscem strasznym i budzącym lęk".

Dzisiaj wprawdzie istnieje już regularna linia lotnicza łącząca ZSRR z Antarktydą — liczy ona 20 tys. km. — ale nadal nawet najlepiej wyposażone ekspedycje naukowe narażone są na niezmiernie trudne i niebezpieczne warunki życia w tamtejszym klimacie. W tym nieskończenie białym świecie otoczonym przez lodowate wody, temperatura osiąga niekiedy około minus 80 stopni C., a prędkość wiatrów przekracza nawet 300 km na godzinę. Dla nieostrożnych i niedoświadczonych badaczy wielkie niebezpieczeństwo stanowią olbrzymie szczeliny niespodziewanie pojawiające się w lodzie, które mogą pochłonąć ludzi i maszyny. W czasie zadymek i zamieci, gdy ginie linia horyzontu, tragicznie kończą się loty samolotów prowadzonych nawet przez wytrawnych pilotów.

Kontynent Antarktydy wielkości Europy i Stanów Zjednoczonych ma wygląd odstraszający i groźny, ale stanowi świat niezwykłej wręcz piękności. Poza wielkim płaskowyżem i wyniosłymi górami, są tu wulkany i lodowce. W czasie lata polarnego słońce w ciągu sześciu miesięcy świeci nieprzerwanie 24 godziny na dobę.

Wroga życiu, jak by się wydawało, Antarktyda, stała się ogromnym laboratorium badawczym. Obecnie działa tu 66 stacji prowadzonych przez 20 krajów. Stałe stacje utrzymują ZSRR (7), Argentyna (6), USA i Wielka Brytania (po 4), Australia i Chile (po 3), RPA (2), Francja, Japonia, Nowa Zelandia i Polska (po 1). Program badań prowadzonych w warunkach nie zakłóconych konfliktami politycznymi czy gospodarczymi, jest niezwykle bogaty. Ma on na celu zwłaszcza poznanie wpływu Antarktydy na klimat świata, ale też wyjaśnienie wielu o mniejszym znaczeniu zagadek, jak na przykład co się składa na to, że zwierzęta wytrzymują w tak ostrym klimacie i jaki jest wpływ promieniowania kosmicznego na ziemię.

Wielce kosztowne badania na Antarktydzie mają nie tylko znaczenie naukowe, ale i polityczne. — Nasza obecność na Biegunie Południowym posiada wymowę symboliczną. Będąc na miejscu w białym piekle zachowujemy status pierwszego wśród równych — powiedział Bernard Lottau z Narodowej Fundacji ds. Nauki w Waszyngtonie.

Oczywiście, surowy klimat i odległość Antarktydy od zamieszkanych kontynentów świata czynią tę strefę nieprzydatną dla osadnictwa. Jest też wątpliwe, aby w najbliższej przyszłości rozwinęło się tam górnictwo. Kraje zainteresowane Antarktydą patrzą jednak daleko wprzód — w sytuacji gdy nastaną sprzyjające warunki chcą być udziałowcami w eksploatacji bogactw tego kontynentu. Prawo do decydowania o przyszłości Antarktydy i udział w eksploatacji jej bogactw różne państwa starają się zdobyć właśnie poprzez prowadzone tam badania.

Kiedy rok 1959 ogłoszono Międzynarodowym Rokiem Geofizycznym wiele państw skoncentrowało swą uwagę na Antarktydzie: utworzono na tym kontynencie stałe stacje i bazy, opracowywano wieloletnie plany badań naukowych w strefie antarktycznej. Dwanaście państw posiadających swe placówki na Antarktydzie i współpracujących w badaniach naukowych pod szyldem „stałej współpracy" postanowiło zawiązać ekskluzywny klub antarktyczny. W wyniku przeprowadzonych rozmów członkowie tego klubu podpisali 1 grudnia 1959 r. „układ antarktyczny", który wszedł w życie na okres 30 lat począwszy od 1961 r. Do klubu jako trzynastego sygnatariusza przyjęto później Polskę.

W skład klubu weszło przede wszystkim siedem krajów zgłaszających roszczenia do części Antarktydy: Wielka Brytania, która ma pretensje do 60 proc. kontynentu, Nowa Zelandia traktująca Dependencje Rossa jako własne terytorium. Australia, która pragnie przywłaszczyć sobie trzecią część Antarktydy, Argentyna traktująca jako część własnego państwa Falklandy-Malwiny oraz Południową Georgię, Norwegia zgłaszająca roszczenia do Ziemi Królowej Maud i wysp Bouveta i Piotra I oraz Chile, które chce sprawować suwerenność nad częścią Antarktydy między 53 a 90 stop. dług. geogr. zachodniej. Rewindykacje terytorialne Wielkiej Brytanii Argentyny i Chile w dużej mierze pokrywają się. Jako państwa nie posiadające roszczeń terytorialnych, do klubu antarktycznego należą: USA, ZSRR, Belgia, Francja, Japonia i Polska.

Historia polskich badań na biegunie południowym rozpoczęła się w 1897 r., kiedy to z wyprawą belgijską wyruszyli na Antarktydę H. Arctowski i A. B. Dobrowolski.
Po raz pierwszy polska flaga pojawiła się na szóstym kontynencie w 1959 r. Wciągnęła ją na maszt grupa polarników pod kierunkiem S. Z. Różyckiego i W. Krzemińskiego w stacji radzieckiej „Oazis", przekazanej w darze Polsce.
Kilkakrotnie też polscy naukowcy uczestniczyli w radzieckich wyprawach naukowych. W latach siedemdziesiątych dotarły w rejon Antarktydy polskie statki badawcze. Pierwszym polskim jachtem, który dobił do wybrzeża białego kontynentu była „Gedania".
W 1961 r. Polska zgłosiła akces do „klubu antarktycznego", który skupiał wówczas 12 członków. Dopiero w lecie 1977 roku kraj nasz stał się trzynastym sygnatariuszem układu w sprawie Antarktyki.

UKŁAD ANTARKTYCZNY

Układ przewiduje m. in. utrzymanie w mocy poprzednio zgłoszonych praw lub roszczeń do „antarktycznego tortu" demilitaryzację i denuklearyzację Antarktyki, co praktycznie oznacza zakaz przeprowadzania doświadczeń z bronią atomową i składowania odpadków nuklearnych, prawo wszystkich państw do prowadzenia badań naukowych i instalowania baz, możliwość zwołania w 30 lat od chwili wejścia układu w życie konferencji rewizyjnej na żądanie jednego lub kilku państw członków komitetu konsultacyjnego. Jednakże ani USA, ani ZSRR nie uznają roszczeń terytorialnych poszczególnych krajów do Antarktydy.

W układzie, który przede wszystkim powinien zagwarantować ochronę środowiska, nie ma jednak żadnych klauzul uniemożliwiających realizację tego rodzaju interesów. Nieprecyzyjny jest również układ w kwestii wykorzystania bogactw naturalnych w strefie przyległej do Antarktyki. Wiadomo już jednak, że niektóre państwa jak USA i siedem państw zgłaszających roszczenia terytorialne sprzeciwia się jakimkolwiek ograniczeniom w tej dziedzinie. Oponują przeciwko temu stanowisku zwłaszcza ZSRR i Japonia.

Z pewnością sygnatariuszom układu antarktycznego przyświecały uczciwe cele. Ale jest to tylko jedna strona medalu. Druga strona wydaje się być bliższa prawdy: do Antarktydy mają równe prawa zarówno członkowie ekskluzywnego klubu jak wszystkie inne państwa. Czy bowiem jest winą Maroka lub Haiti, że nie stać ich na zorganizowanie ekspedycji polarnych? I czy te państwa ubogie nie mają potrzeb surowcowych? Pozostaję jednak kwestią, jak w praktyce kraje rozwijające się mogłyby korzystać z „komory skarbów" na Antarktydzie.

Antarktyda, szósty kontynent, zajmuje centralną część południowego obszaru polarnego czyli Antarktyki.
Około 95,5 proc. powierzchni lądu pokrywa czasza lodowa; jej grubość przeciętnie wynosi 1,5 km, w niektórych jednak miejscach przekracza 4 km.
Kontynent Antarktydy otrzymuje mniej opadów niż Sahara, mimo to znajduje się tu prawie 2/3 światowych zasobów wody pitnej w postaci lodu, którego objętość w przybliżeniu wynosi 30 mln m sześc. Gdyby cała ta czasza stopniała trzeba by ewakuować wszystkich mieszkańców wybrzeży na ziemi; poziom oceanów podniósłby się o 45 — 90 metrów.
Co roku łamie się i topnieje 1,4 mln ton lodu. Niekiedy góry lodowe zajmują powierzchnię równą obszarowi Luksemburga.
Prawie tysiąc kilometrów dzieli Antarktydę od najbliższego punktu na innym kontynencie — od Przylądka Dobrej Nadziei. Od października do marca na Antarktydzie panuje ciemność. Najniższa temperatura, którą zmierzono, wyniosła tu minus 89 stopni C. Nic dziwnego, że na Antarktydzie nie ma prawie żadnego życia — spotyka się tylko małe bezskrzydłe insekty i wodorosty.

Dążenie do zinternacjonalizowania Antarktydy skłoniło szereg krajów do zgłoszenia postulatu, aby szósty kontynent został oddany jako obszar powierniczy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Doświadczenia wykazują jednak, że Narody Zjednoczone nie są po prostu w stanie sprawować odpowiedzialnej i skutecznej kontroli nad wspólnym dziedzictwem ludzkości. ONZ i podległe jej wyspecjalizowane organizacje stają się w coraz większym stopniu instytucjami politycznymi. Wiele więc państw nie należących do klubu antarktycznego w poszukiwaniu kompromisowych rozwiązań głosi hasło utrzymania Antarktydy jako rezerwatu ekologicznego, w którym zabroniona byłaby wszelka ingerencja człowieka.

SKARBY POD LODEM

Nasza planeta ma ograniczone rozmiary. Po badaniach więc, które miały na celu ustalenie potencjalnych bogactw na zaludnionych kontynentach i na dnie mórz, przyszła kolej na zagadkowy „biały świat".

Najważniejsze znaczenie miałoby odkrycie tam pokładów ropy naftowej. Amerykańskie statki badawcze „Eltanin" i „Glomar Challanger" natrafiły podczas wstępnych wierceń na gaz ziemny i minerały wskazujące na obecność ropy naftowej. Niedawno koncern Texas Geophysical Co z Huston podjął starania o zorganizowanie konsorcjum składającego się z 20 koncernów naftowych, które by przeprowadziło gruntowne rozpoznanie złóż naftowych na Antarktydzie. Oblicza się, że tylko to przedsięwzięcie kosztowałoby 3,5 miliarda dolarów. Tymczasem amerykański Urząd Geologiczny szacuje, że tylko w rejonie Morza Weddela (porównuje się je z basenem Maracaibo w Wenezueli) można by uzyskać co najmniej 45 miliardów baryłek ropy. Obok tego należy się również spodziewać wielkich zasobów gazu ziemnego.

W morderczym klimacie na Antarktydzie znajdują się bodaj największe w świecie zasoby rud żelaza. Jedna z ekspedycji naukowych wykryła olbrzymią górę żelaza — zalega ono w 100 metrowej grubości warstwie ciągnącej się na przestrzeni 120 km. Ten rezerwuar, jak się oblicza, może pokryć obecne zapotrzebowanie świata na okres... 200 lat.

Na terytorium wielkości Polski znajdują się pokłady węgla. Niestety, jest on zanieczyszczony popiołami, siarką i innymi substancjami, co czyni go, przynajmniej w zastosowaniu obecnych technologii, mało przydatnym. W wielu rejonach „białego kontynentu" odkryto tantal i lit używane do produkcji stopów o wysokim stopniu wytrzymałości, a także ślady rud złota, platyny, chromu, miedzi, molibdenu itp. Od dłuższego czasu śmigłowce różnych krajów mierzą intensywność promieniowania ścian skalnych by ustalić czy znajduje się tu również uran. Związek geologiczny Antarktydy z Afryką Południową, Australią i Ameryką Łacińską (prałąd Gondwana rozdzielił się przed 100 milionami lat) wskazuje, że można oczekiwać na Antarktydzie wielkich zasobów rud o dużym znaczeniu strategicznym.

Nauka dysponuje już dziś urządzeniami i techniką zapewniającymi eksploatacje bogactw w takich warunkach jakie właśnie panują na Antarktydzie. Przykład mogą stanowić kanadyjskie wiercenia między górami lodowymi w Arktyce czy radzieckie wiercenia w strefie ostrych mrozów i wiecznej zmarzliny na Syberii. Układ antarktyczny nie wyklucza również eksploatacji bogactw w tej strefie świata; w układzie mówi się tylko o zachowaniu żywych zasobów Antarktyki. Wątpliwe jednak, aby sygnatariusze tego traktatu zgodzili się na ryzyko naruszenia równowagi przyrodniczej: badania nad ewentualnymi skutkami rozwoju kopalnictwa nie są jeszcze zakończone. Wiadomo już jednak, że największy opór stawiano by wobec zamiarów rozpoczęcia wierceń i eksploatacji ropy. Rozprzestrzenienie ropy na wodach wokół Antarktydy, które charakteryzują się bardzo niskimi temperaturami a zatem i małą możliwością strącenia tej substancji, zagrażałoby istnieniu fauny morskiej i mogłoby być przyczyną całkowitego jej wymarcia.

Innym ważnym bogactwem, o które rozgorzał już spór, jest niewielka czerwona krewetka, zwana krylem. Zasoby kryla którym odżywiają się wieloryby, wynoszą, według szacunków brytyjskich, 100 milionów ton rocznie i są dwukrotnie większe niż światowe połowy ryb. W sytuacji gdy floty rybackie osiągają coraz gorsze rezultaty połowów, kryl mógłby stanowić największy rezerwuar morskich protein. Dyskusję sygnatariuszy układu antarktycznego w sprawie wielkości przyszłych połowów kryla przerwały jednak niekorzystne wyniki badań nad zastosowaniem go jako dodatku do żywności dla ludzi czy jako pokarmu dla zwierząt. Ostatecznie jednak w początku ubiegłego roku (1982) podpisano Konwencję w sprawie Antarktycznych Żywych Zasobów Morskich.

* * *

Komitet Konsultacyjny państw-sygnatariuszy „konstytucji antarktycznej" jak dotychczas skutecznie powstrzymuje roszczenia terytorialne niektórych państw w stosunku do szóstego kontynentu. Co będzie jednak jeśli z różnych powodów bogate państwa wysoko uprzemysłowione utracą dostęp do surowców strategicznych na południu Afryki czy w Ameryce Łacińskiej? Czy wówczas uda się powstrzymać je przed złamaniem Traktatu Antarktycznego?

Wielu wybitnych naukowców zarówno ze Wschodu jak i Zachodu stara się ostudzić zapędy niektórych instytucji i koncernów planujących przedsięwzięcia geologiczne na Antarktydzie. Przestrzega się przed jakimkolwiek nieodpowiedzialnym naruszeniem równowagi przyrody w tym obszarze, który posiada decydujący wpływ na klimat ziemski i którego naruszenie mogłoby doprowadzić do katastrofalnych skutków dla ludzkości.

Wysiłki Komitetu Konsultacyjnego zmierzające do utrzymania prawnego status quo i zapobiegania wszelkim przedwczesnym przedsięwzięciom o charakterze gospodarczym a także ochrona ryb w oceanach wokół Antarktydy, to przykład właściwej współpracy międzynarodowej. Rozwiązywanie w gronie sygnatariuszy układu wielu trudnych problemów stanowi też przykład zgodnego i przezornego działania na rzecz pokoju. Szkoda jednak, że dotyczy to tylko nie zamieszkanego kontynentu.

HENRYK SROCZYŃSKI

„Plaża" pingwinów antarktycznych.

Foto: CAF